Stron 12

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 1 zł

W NUMERZE:

wieś

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX | Warszawa, dn. 21-28 grudnia 1952 r. | Nr 51-52 (385-6)

STALIN O POKOJU

Rok 1924:

MASY ludowe wiedzą, że Władza Radziecka pierwsza rozpoczęła atak przeciwko wojnie imperialistycznej i rozpocząwszy atak, podcięła wojnę. Masy ludowe widzą, że Związek Radziecki jest jedynym krajem walczącym przeciwko nowej wojnie. Sympatyzują one z władzą radziecką dlatego, że jest ona chorążym pokoju między narodami i niezawodną tarczą przeciwko wojnie.

Rok 1925. XIV Zjazd:

WALKA o pokój, walka przeciwko nowym wojnom, demaskowanie wszystkich kroków, które są czynione w celu przygotowania nowej wojny, demaskowanie takich kroków, które chorągwią pacyfizmu osłaniają faktyczne przygotowywanie wojny — oto nasze zadanie.

Rok 1927. XV Zjazd:

UTRZYMANIE stosunków pokojowych z krajami kapitalistycznymi jest dla nas zadaniem koniecznym. Podstawą naszych stosunków z krajami kapitalistycznymi jest stwierdzenie możliwości współistnienia dwóch przeciwstawnych systemów. Życie całkowicie to potwierdziło.

Rok 1927. Do amerykańskiej delegacji robotniczej:

UWAŻAM, że istnienie dwóch przeciwstawnych systemów — systemu kapitalistycznego i systemu socjalistycznego — nie wyklucza możliwości takich porozumień. Sądzę, że porozumienia takie są możliwe i celowe w warunkach pokojowego rozwoju. Wywóz i przywóz są najbardziej odpowiednim gruntem dla takich porozumień... to samo można powiedzieć o dziedzinie dyplomatycznej. Prowadzimy politykę pokoju i gotowi jesteśmy podpisać z państwami burżuazyjnymi pakty o nieagresji. Prowadzimy politykę pokoju i gotowi jesteśmy zawrzeć porozumienie w sprawie rozbrojenia do całkowitego zniesienia armii stałych włącznie, co zadeklarowaliśmy wobec całego świata jeszcze na konferencji genueńskiej. Oto macie podstawę do porozumienia w dziedzinie dyplomatycznej.

Rok 1934. XVII Zjazd:

NASZA polityka zagraniczna jest jasna. Jest to polityka zachowania pokoju i wzmożenia stosunków handlowych ze wszystkimi krajami. ZSRR nie ma zamiaru zagrażać komukolwiek, ani — tym bardziej — napaść na kogokolwiek. Jesteśmy za pokojem i bronimy sprawy pokoju. Ale nie boimy się gróźb i gotowi jesteśmy odpowiedzieć ciosem na cios podżegaczy wojennych. Kto pragnie pokoju i dąży do rzeczowych stosunków z nami, ten zawsze znajdzie u nas poparcie. Ci zaś, którzy spróbują napaść na nasz kraj — otrzymają druzgocący odpór, aby na przyszłość odechciało im się wtykać swój świński ryj do naszego radzieckiego ogrodu.

Rok 1944:

ZADANIE polega nie tylko na tym, aby wygrać wojnę, lecz również na tym, aby uniemożliwić zrodzenie się nowej agresji i nowej wojny, jeśli nie na zawsze, to przynajmniej na długi okres czasu.

Rok 1946. Rozkaz Ministra Sił Zbrojnych ZSRR:

ROZGROMIENIE i zlikwidowanie głównych ognisk faszyzmu i agresji światowej doprowadziły do głębokich zmian w życiu politycznym narodów świata, do poważnego wzrostu ruchu demokratycznego wśród narodów. Masy ludowe, nauczone doświadczeniem wojny, zrozumiały, że losu państw nie można powierzać rządom reakcyjnym, które kierują się ciasnymi, kastowymi, egoistycznymi i antynarodowymi celami. Dlatego właśnie, nie chcąc dłużej żyć na starą modłę, narody biorą losy swych państw we własne ręce, wprowadzają ład demokratyczny i prowadzą aktywną walkę przeciwko siłom reakcji, przeciwko podżegaczom do nowej wojny. Narody świata nie chcą, by powtórzyły się nieszczęścia, jakie przynosi wojna. Nieugięcie walczą one o utrwalenie pokoju i bezpieczeństwa...

Cały świat mógł się przekonać nie tylko o potędze państwa radzieckiego, lecz także o sprawiedliwym charakterze jego polityki, opierającej się na uznaniu równouprawnienia wszystkich narodów, na poszanowaniu ich wolności i niezawisłości. Nie ma żadnych podstaw do wątpienia o tym, że Związek Radziecki również w przyszłości pozostanie wierny swej polityce — polityce pokoju i bezpieczeństwa, polityce równouprawnienia i przyjaźni narodów.

Rok 1951. Rozmowa z korespondentem „Prawdy":

POKÓJ zostanie utrzymany i utrwalony, jeżeli narody ujmą w swe ręce sprawę utrzymania pokoju i będą broniły jej do końca. Wojna może stać się nieunikniona, jeżeli podżegaczom wojennym uda się omotać siecią kłamstw masy ludowe, oszukać je i wciągnąć do nowej wojny światowej.

Rok 1952. „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR":

WSPÓŁCZESNY ruch w obronie pokoju ma na celu zmobilizowanie mas ludowych do walki o utrzymanie pokoju, o zapobieżenie nowej wojnie światowej. A zatem ruch ten nie zmierza do obalenia kapitalizmu i ustanowienia socjalizmu — ogranicza się on do demokratycznych celów walki o utrzymanie pokoju... Być może, że przy określonym zbiegu okoliczności walka o pokój rozwinie się gdzieniegdzie w walkę o socjalizm ale nie będzie to już współczesny ruch na rzecz pokoju, lecz ruch na rzecz obalenia kapitalizmu.

Rok 1952. XIX Zjazd:

GDY w latach 1918 — 1919, w czasie zbrojnej napaści burżuazji angielskiej na Związek Radziecki, robotnicy angielscy organizowali walkę przeciwko wojnie pod hasłem: „ręce precz od Rosji", było to poparcie, poparcie przede wszystkim walki własnego narodu o pokój, a następnie również poparcie Związku Radzieckiego. Gdy towarzysz Thorez lub towarzysz Togliatti oświadczają, że ich narody nie będą walczyły przeciwko narodom Związku Radzieckiego, to jest to poparcie, przede wszystkim poparcie walczących o pokój robotników i chłopów Francji i Włoch, a następnie również poparcie pokojowych dążeń Związku Radzieckiego. Ta szczególna cecha wzajemnego poparcia tłumaczy się tym, że interesy naszej partii nie tylko nie są sprzeczne, lecz, przeciwnie, pokrywają się całkowicie z interesami miłujących pokój narodów. Co się tyczy Związku Radzieckiego, to jego interesy są w ogóle nieodłączne od sprawy pokoju na całym świecie.

HASŁO KAŻDEGO CZŁOWIEKA

„BYŁ jest i będzie poetą nadchodzącego szczęścia i symbolem jedności ludzi przeciw śmierci". Tak określił treść życia i nieśmiertelnej twórczości Pawła Eluard inny wielki poeta Francji — Aragon.

Nie jest sprawą przypadku, że hasło tak szerokie, tak wszechobejmujące, padło z ust komunistów. Kiedy nad Europą zatrzasnęło się czarne wieko okupacji, komuniści podjęli sztandar walki. Komuniści podjęli rzucone w błoto sztandary wolności i niepodległości narodów, komuniści, o wschodzie Października, rzucili ponad rządy i trony proste, a tak trudne słowa: POKÓJ ŚWIATU!

Wielkie prawdy płyną bowiem od czoła ludzkości. Wielkie — bo ważkie, twórcze, konieczne i życiodajne pod każdą szerokością globu. I trudne — tak trudne właśnie jak walka życia ze śmiercią. A tak oczywiste i jasne, jak samo życie, jak dzień powszedni, szary dzień pracy w fabryce i sklepiku, na polu i w biurze, przy codziennych zabiegach gospodarskich i tworzeniu arcydzieł.

Samobójstwo to rozpacz. A rozpaczą nie mogą żyć ani ludzie, ani narody. Dlatego żaden naród nie pragnie zniszczenia i śmierci, swojej, czy cudzej. Aby człowieka uczynić mordercą, trzeba najpierw by przestał być człowiekiem. Są wśród Amerykanów mordercy. Za czasów Wilsona krzyżowali Murzynów na Haiti. Dziś stawiają krzyże na Korei, ofiarą krwi koreańskich żołnierzy wolności przywracając blask znaku pohańbionego w faszystowskich krucjatach. To prawda, na ziemi Lincolna wyrośli mordercy. Nie chodzi o ślepe narzędzia, tępych, nieszczęsnych oprawców, którzy istotnie nie wiedzą co czynią. Korzenie zbrodni kryją się w sztabach i gabinetach, w skarbcach bankowych, bilansach i dywidendach.

Ale Amerykanie nie są narodem morderców. Chcą godziwego zarobku, chcą pewności pracy, chwili wytchnienia wieczorem i paru groszy na czarną godzinę. Chcą dzieci posyłać do szkół, nie na front, wykierować na ludzi, nie zabójców. A jednak Amerykanie, chociaż są wielkim i potężnym narodem, nie wiedzą o swojej sile. Nie wiedzą, że od ich woli zależeć mogą rządy ich kraju, że ich wola, sprzęgnięta z wolą stu innych narodów świata, przekreślić może wojnę, przywrócić narodom wolność, odsunąć od nich na zawsze czarne widmo śmierci.

Dlatego na wiedeńskim Kongresie Narodów przedstawicielka Chin, wdowa po wielkim rycerzu wolności, założycielu demokracji chińskiej, wzywała demokrację Stanów Zjednoczonych do odrzucenia kłamstw, spojrzenia w prawdę i wysnucia wniosków zgodnych z interesem szarego obywatela Ameryki. Dlatego do sumienia obywateli Ameryki odwołała się przedstawicielka Korei pytając, czy zgodne z ich wolą synowie ich plamią ręce krwią synów jej ziemi.

Nie ma bowiem imperialistycznych narodów, są tylko imperialistyczne rządy i grupy, samozwańczo w imieniu narodów uprawiające politykę wojny. Dlatego Kongres Wiedeński stał się KONGRESEM POWSZECHNOŚCI. Jedność przeciw śmierci, jedność woli pokoju złączyła wszystkich. Nikogo już nie przeraża stawiany przez propagandę wojenną znak równania — komuniści pragną pokoju. Cóż stąd? Nie tylko oni. Pokoju chcą narody socjalistyczne i niemniej gorąco chcą go narody żyjące w orbicie kapitalizmu. Różne ustroje mogą więc istnieć obok siebie w pokoju, wojna zagraża wszystkim jednakowo; niezawisłość, bezpieczeństwo i wolność wszystkich ludów związane są niepodzielnie ze sobą. Gdy walec zaborczy niweluje teren pod przyszłe działania wojenne, miażdży mrówki zarówno w mrowiskach kolonialnych, jak i w metropoliach. W dziesiątkach krajów jak śnieżny nalot trądu rozsiane bazy wojenne tworzą krawędź wielkiej pokrywy, jaką imperializm nacisnąć chce na świat, by go zadławić.

Imperializm zaskakuje narody, budując bez ich wiedzy punkty wypadowe i bez ich wiedzy przykładając żagiew podpala a dla wzniecenia nowych pożarów. Wojna, gdziekolwiek się toczy, jest zbrodnią. A w świecie, po którym krąży atomowy szaleniec, stanowi ciągłą groźbę.

Można być wrogiem komunizmu, być pacyfistą integralnym, księdzem katolickim, czy muzułmańskim duchownym, lub nawet przedstawicielem niektórych kapitalistycznych kół gospodarczych, za wyjątkiem monopolistów albo przedstawicielem interesów wyzwalającej się kolonii. To wszystko dzieli. Ale gdy żołdak na tronie republiki milionerów grozi wojną, znikają różnice. Linia podziału odcina narody od obozu morderców. Eisenhower zostaje sam.

Taki jest sens i taka pierwsza nauka Wiednia. Nauka druga wskazuje, że rozpętany szaleniec tylko wówczas poskramia swoje zapędy, gdy czuwa nad każdym jego krokiem jednolita, zmobilizowana i czynna opinia światowa. Wiedeń był wielkim aktem mobilizacyjnym. Walka o pokój trwa, a zakończyć się może i musi tylko całkowitym zwycięstwem.

Żyjemy w czasach spełniania się legend i marzeń. Lat temu 1952 spłynęła na świat zapowiedź pokoju ludziom dobrej woli. Zadaniem naszego pokolenia jest wcielić ją w życie, urzeczywistnić jedność ludzi przeciw śmierci, otworzyć bramy świata nadchodzącemu szczęściu.

Andrzej Skiba

PABLO NERUDA

CHCĘ...

Chcę ziemi i ognia, chcę chleba, cukru, pszenicy,
morza, książek i roli dla wszystkich ludzi. Dlatego
błąkam się dziś bezdomny. Wyrok zdrajcy mnie ściga
a jego sykofanci, jak horda małp tresowanych,
chcą zetrzeć moje imię.

Stałem z tym, który jest prezydentem*) u wejścia
kopalni, owej pustyni zapomnianego świtu,
stałem z nim i wołałem do mych cierpiących tam braci;
„Już nie będziecie więcej chodzić w łachmanach i szmatach,
już nie powita was dzień bez chleba, powstaniecie
jako prawdziwi synowie swego kraju. Nareszcie
podzielimy się całym czystym cudem lasu.
podzielimy się jego pięknem. Oczy kobiet
nie będą już nigdy płakać nad swoimi dziećmi"
Ale gdy zamiast światłość i miłość z nim dzielić,
na ciemność, głód i mękę skazali człowieka,
tego, co ich przysięgom uwierzył, tego co odzyska
swą moc, podobną drzewu, potężną i czułą —
wtedy nie byłem już z lichym mianowańcem,
lecz z tamtym bezimiennym. Byłem z moim ludem.

Chcę, aby mój kraj był dla mego ludu.
Chcę, aby świetliste sploty mego kraju
dzień jasny opromienił.
Chcę ukochania światła i ukochania orki,
Chcę wymazać bez śladu linię, którą kreślą
w nienawiści, by lud mój pozbawić chleba.

Spolszczyła **Irena Tuwim**

*) Aluzja do prezydenta Chile — Gonzalesa Vidali, który wybrany głosami demokracji, przeszedł na pozycje jej wrogów.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

ZIEMIA OWOCÓW I SŁOŃCA

1.

Ziemio kanałów, ryżu i winogron,
Ziemio szeroka i hojna,
Tyś mi podała rękę swoją dobrą,
Gdy mnie z ojczyzny wygnała wojna.
Ziemio Aliszera Nawoi,
Ziemio prastarej kultury
I nowych przeobrażeń stalinowskich,
Twój chleb mnie karmił, twój strumień poił,
Kiedy wśród twoich bawełnianych pól
Tęskniłem za ojczyzną,
Twój człowiek mnie pocieszał:
„Ujrzysz ją wkrótce wolną!"

2.

Pod twoim słońcem i wiatrem
Z twoim człowiekiem
Zieloną piłem herbatę.
Gdy było na świecie ciemno,
Ostatnim plackiem
Twój człowiek dzielił się ze mną.

Pod winogradem dojrzałym
Z twoim człowiekiem
Pieśń azjatycką śpiewałem.

W dalekim Uzbekistanie
Z twoim człowiekiem
Mówiłem o Lechistanie.
O dawnym i o przyszłym —
Ludowym,
Przejrzystym jak fale Wisły.

3.

Tu nad grobowcem Tamerlana
Nie westchnie dzisiaj żaden człowiek,
Bo przemoc będzie zapomniana
I — zapomniani jej wodzowie!

Tylko dzień praży go upałem,
Tylko wiatr suchy nad nim wieje,
Piach grzebie gorzką jego chwałę
I zasypuje jego dzieje.

Jego imienia pieśń, rozwiana
Na wietrze, nie powtórzy w słowie,
Bo przemoc będzie zapomniana
I — zapomniani jej wodzowie!

A to, co dobre, to nie zginie.
Minął Tamerlan, zginął carat.
Pieśń o Leninie i Stalinie
Spiewa dziś Taszkient i Buchara.

I będzie śpiewać, póki ziemia
Karmi się słońcem, poi deszczem,
Dopóki z walki i z natchnienia
Rodzą się strofy pieśni wieszczej.

4.

Wielbłądy idą po piachu
I cienie ich — po piachu.
Niosą bawełnę białą,
A cienie ich — sczerniałą.
Słońce zwolna zachodzi,
Wieczór zwolna nadchodzi
I słowik z pieśnią przyszedł,
Jak róż fergańskich Aliszer.
Mój sąsiad Kadyr właśnie
Opowiada mi baśnie,
Miesiąc nad winogradem
Idzie baśni tych śladem,
A potem ten sam Kadyr
Walczył i szedł na zwiady.
W winogradowej Ferganie
Dostałem list niespodzianie!
„Przede mną wasza rzeka.
Jestem w Warszawie. Czekam!"...
Ja byłem jeszcze w Ferganie,
A Kadyr już w Lechistanie...

5.

Pozdrawiam Cię, Kadyrze, z wolnej Polski naszej,
Pozdrawiam Cię, Kadyrze, z polnej Polski naszej,
Pozdrawiam Cię z Warszawy światłem wyzwolonej.
Każdym kłosem i kwiatem wsi Polskiej wyzwolonej.
Kolumną Zygmuntową pozdrawiam Cię z dala
I gołębiem nad głową pozdrawiam Cię z dala,
Wysokim budownictwem i walką z rasizmem
Pozdrawiam Cię, Kadyrze i Twoją ojczyznę,
I każdym rusztowaniem, co sięga obłoków,
Pieśnią, pracą, oświatą i walką o pokój,
Trasą W - Z pozdrawiam, nowej pieśni nutą,
Dymem Łodzi Fabrycznej, Śląskiem, Nową Hutą
I ludźmi, co na ziemi naszej gospodarzą!
Niech ptaki polskie pieśń mą uzbeckim przekażą!

Włodzimierz Słobodnik

LUDWIK MAJ

Z WYZNAŃ I DOŚWIADCZEŃ

DO potężnego głosu milionów serc, bijących wdzięcznością dla Wielkiego Stalina, niech mi będzie wolno dołączyć i głos mojego serca — małorolnego chłopa z Podhala — gdyż Stalinowi zawdzięczam to, że stałem się człowiekiem, że zdobyłem prawo do dumy ze swoich czynów.

Kim byłbym dzisiaj, gdyby nie Stalin? Zdrajcą mej klasy i mojej Ojczyzny, w najlepszym razie zgorzkniałym emerytem, przeklinającym drogę swojego życia. Od najmłodszych lat „wychowywał" mnie „Piast", zapuszczający głęboko na naszym Podhalu swe zdradzieckie korzenie. Przed wojną jako chłopiec przejmowałem wpływy idealistyczne „Wici", po wyzwoleniu znalazłem się w PSL i — otumaniony — poszedłem za Mikołajczykiem, a więc w rezultacie do walki z Partią. Nie mogłem się jako „ludoman" pogodzić z kierowniczą rolą klasy robotniczej, wierzyłem, że decydować o losach narodu powinni chłopi — bo „chłop potęgą jest i basta". Zamykałem oczy na walkę klasową, toczącą się wewnątrz chłopstwa i nawoływałem za PSL-owskimi wodzirejami do solidaryzmu klasowego, aby „nie dać się rozbić". Zwiodło mnie dodatkowo i to jeszcze, że do naszej komórki PPR wkręciło się z początku kilku łajdaków, reakcjonistów i złodziejaszków — walkę z nimi przeniosłem na całą partię i jeszcze później, gdy uwolniła się od tego balastu, powtarzałem brednie, że partia chce chłopów krzywdzić.

Wątpliwości zaczęły się budzić we mnie dopiero wtedy, gdy spostrzegłem, że naokoło mnie zgrupowali się wszyscy, z którymi walczyłem przed wojną i których nienawidziłem głęboko swoim biedniackim instynktem, że wychwalają mnie najgorsze łajdaki i reakcjoniści — począwszy od pokumanych dopiero co z okupantem miejscowych spekulantów i wyzyskiwaczy, a skończywszy na reakcyjnym klerze. Fałszywa duma i zacietrzewienie nie pozwoliły mi jednak wycofać się z zajętych pozycji. Wtedy rękę wyciągnęła do mnie Partia.

W r. 1947 zwrócił się do mnie tow. Harnis, kier. personalny Komitetu Powiatowego, warszawski robotnik i poradził od serca: Ty lubisz czytać, *czytaj więc Maju, czytaj Stalina.*

Poszedłem za tą radą. Przez dwa lata przekuwałem „*Zagadnienia leninizmu*", słowo po słowie, kartka po kartce, przez 2 lata wchłaniałem mądrą naukę stalinowską i mocowałem się ze sobą we własnej duszy, aż poki wszystko nie stało się dla mnie jasne — i dyktatura proletariatu i walka klasowa i rola Partii — i wtedy pojąłem ogrom swojego błędu, ogrom krzywdy, jaką wyrządziłem Partii i naszym chłopom. Postanowiłem odrobić to, co zepsułem. Nie łatwo mi przyszło stanąć przed obliczem gromady i jasno powiedzieć o swoich błędach — o błędach, które nadal jeszcze popełniało wielu takich samych biedaków, jak ja. Rozpocząłem pracę od nowa.

Od tego czasu moim nierozłącznym nauczycielem i przyjacielem w pracy są książki Stalina.

*

Jest jeszcze w naszej pracy sporo braków i niedociągnięć, sporo jeszcze drobnych, ale przecież dotkliwych bolączek psuje na codzień krew pracującym chłopom.

W jaki sposób usunąć te braki i niedociągnięcia? Stalin wskazuje: trzeba rozwijać szeroką oddolną kontrolę społeczną, trzeba, aby działacze przysłuchiwali się czujnie krytycznemu głosowi mas pracujących.

Niestety, spotykamy jeszcze w naszym powiecie, „działaczy", którzy nie biorą sobie do serca tego ważkiego wskazania.

Z powodu niechlujnej roboty takich właśnie „działaczy" w gromadzie Sidzina przeszło 100 gospodarzy od 3 lat opłaca podatki i wszelkie inne świadczenia od gruntów, których... nie posiadają. Fakty: Chorąży Karol ma zapisane 6 ha ornych gruntów, a faktycznie posiadał 3,5 ha. Podobnie Syć Stanisław, Krupa Władysław, Migos Władysław, Wieczorek i wielu innych. Załatwia się ustalanie tych gruntów już przeszło rok, z dnia na dzień chłopom się obiecuje — a chłopi jak płacili niesłusznie tak i płacą dalej. Krytyka sobie, a PRN w Myślenicach też sobie...

Inne przykłady: Prezes GS i prezes ZSCh z Bystrej odgrażają się zespołowi redagującemu gazetkę gromadzką, który słusznie skrytykował ich za pijaństwo. Członek PZGS w Myślenicach Szymański oskarżony przez chłopów o kumanie się z kliką spekulantów, groził prokuratorem, ale powiązania z kliką nie zrywa. Kierownik sklepu GS Smętek chodzi już trzy miesiące obrażony na młodzieżowego korespondenta Dańkę za drobną w gruncie rzeczy krytykę — i tak możnaby snuć litanię tego rodzaju działaczy, którzy wzbraniają się uznać oddolną krytykę i tłumią ją, nie przebierając w środkach. Tym ludziom warto przypomnieć ważkie słowa Stalina: „*Nie możemy się obejść bez samokrytyki. W żaden sposób nie możemy... Bez niej nieuniknione są zastój, gnicie aparatu, wzrost biurokratyzmu, podcinanie skrzydeł twórczej inicjatywie klasy robotniczej*" (Dzieła, t. 12, str. 175).

I my im o tym sami przypominamy — a robimy to na łamach naszych gazetek gromadzkich, tej potężnej broni mobilizującej chłopów wokół sprawy oddolnej kontroli społecznej. W naszej gminie nie da się więcej stłamsić krytyki chłopskiej — przekonało się o tym już kilku takich, pożal się boże działaczy, którzy wylecieli z trzaskiem z GRN-u i Gminnej Spółdzielni.

*

Nie ma chyba w Polsce 2-go rejonu, któryby tyle zyskał na polityce uprzemysłowienia kraju, co nasze przeludnione, ubogie i gospodarczo nie samowystarczalne Podhale. Wystarczy wspomnieć, że w samym tylko powiecie myślenickim znalazło zatrudnienie w przemyśle 17 000 chłopów. A przecież i u nas — jak wszędzie w kraju — gdy tylko dadzą się odczuć takie czy inne przejściowe trudności — pojawiają się tu i ówdzie szeptane teoryjki, szerzone przez różnego rodzaju pogrobowców Mikołajczyka i Gomułki, którzy chcieliby zahamować nasz rozwój i zdemobilizować chłopów w łamaniu trudności.

Mamy i u nas w okolicy takich „filozofów" kułackich, jak Franciszek Szczepaniak z Jasienicy, Wojciech Trop z Sidziny i paru jeszcze innych. „Po cóż — mówią — spieszyć się z rozwojem przemysłu, jeżeli pociąga to za sobą trudności? Czy nie lepiej zrobić to nieco wolniej, ale za to mocniej postawić gospodarkę rolną?"

Gospodarkę — rzecz jasna — indywidualną, bo na Podhalu — powiadają oni — warunków pod spółdzielczość produkcyjną nie ma. Ziemia płytka, gorzysta, traktor nawet się nie obróci...

A jakaż w tej całej gadaninie brzmi „czuła" nutka troski o chłopa, o interes narodu polskiego, ba, o socjalizm nawet — tylko, że droga do tego socjalizmu — powiadają — trochę inna, nie taka szybka, spokojna.

Jest naszym obowiązkiem demaskowanie i rozbijanie tego rodzaju wrednych teorii a z walną pomocą przychodzi nam tutaj znowu bogate doświadczenie budownictwa socjalizmu w ZSRR.

„*Zadanie polega tu nie na tym* — wskazuje Stalin — *by zniżyć tempo rozwoju przemysłu do poziomu rozwoju gospodarki zbożowej (ta zawikłałaby wszystko i spowodowałaby cofni cie się rozwoju) lecz na tym, by podciągnąć rozwój gospodarki zbożowej do tempa rozwoju przemysłu i podnieść tempo rozwoju gospodarki zbożowej do poziomu zapewniającego szybkie posuwanie się naprzód całej gospodarki narodowej, zarówno przemysłu jak i rolnictwa*" (Dzieła Stalina t. 11, str. 266).

Poza tym innej drogi do socjalizmu nie ma. Bo jakżeż można nawet myśleć o zwiększeniu wydajności rolnictwa bez rosnącego stale dopływu maszyn, nawozów sztucznych itp., które gwarantuje dopiero rozbudowa ciężkiego przemysłu? Zwolennicy zwalniania tempa rozwoju przemysłu są więc zwolennikami ciężkiej pracy chłopa i zacofania gospodarczego. Są oni zwolennikami powrotu do przeludnionych wiosek Podhala dziesiątków tysięcy chłopów z przemysłu i wydania ich znowu na łup głodu, nędzy i wyzysku bogaczy.

Oto treść tej ich 3-ciej drogi, o której Stalin mówił, że w rzeczywistości to droga *druga* — prowadząca z powrotem do kapitalizmu.

Kierując się wskazaniami Stalinowskimi, daliśmy — chłopi z Bystrej — twardą odprawę tym wszystkim zamaskowanym sługusom kułackim.

Nasz plan przebudowy gminy, który już wchodzi w stadium realizacji — przewiduje pełne wsparcie przemysłu socjalistycznego — podstawowego źródła naszego rozwoju. Wesprzemy go kilku tysiącami mocnych rąk do pracy, które odpłyną z naszych przeludnionych wiosek. Wesprzemy go także podniesieniem naszej produkcji rolnej — będziemy podnosić ją nie tylko każdy z osobna, lecz także *wspólnym*, gromadzkim wysiłkiem (np. wspólnie zagospodarujemy postwiska), wdrażając chłopstwo do przejścia na tory gospodarki socjalistycznej — jedynie zdolnej zapewnić chłopu dobrobyt, a rosnącemu przemysłowi — wystarczającą bazę aprowizacyjną.

Ludwik Maj

TEOFIL KOWALCZYK

PISMA STALINA — DROGOWSKAZAMI WSI

WIOSNĄ 1952 r. ciszę górskich pól w Kopańcu rozdarł łoskot traktorów. Szło nowe. Odzyskaną ziemię, głęboko jak nigdy dotychczas, przeorały nowoczesne pługi. Ileś tam mechanicznych koni powiodło cichą i zacofaną gromadę wiejską w przyszłość. Sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej — Blaniarz odetchnął z ulgą. Kopaniec ruszył naprzód.

W gromadzie dokonał się olbrzymi przełom. Rozpoczęła swoją działalność spółdzielnia produkcyjna. Dwudziestudziewięciu chłopów porzuciło stare formy indywidualnego gospodarowania i włączyło się do socjalistycznego budownictwa. Ale zanim ziemię przeorały głęboko traktory — postępowa myśl musiała jeszcze głębiej przeorać dusze ludzkie. A już najgłębiej partyjny aktyw gromadzki musiał ugruntować swoją rewolucyjną świadomość. Bez tego iść w przyszłość nie można.

Wszystko, co wielkie, wartościowe i przełomowe nie przychodzi łatwo. Triumfalny wjazd traktorów na kopanieckie pola nie dokonał się za pośrednictwem czarodziejskiej różdżki. Zwycięstwo osiąga się niejednokrotnie po gorzkich porażkach i potknięciach, z których kierownictwo partyjne potrafi wyciągnąć naukę. Nie brak ich było i w Kopańcu. Jeżeli dzisiaj wieś jest jedną z przodujących gromad w powiecie, jeżeli wywiązuje się z dostaw dla Państwa, jeżeli ramię w ramię z klasą robotniczą realizuje wielki program budowy podstaw socjalizmu — to niewątpliwie jej kierownictwo polityczne przyswoiło sobie stalinowskie metody pracy na wsi. Bo tylko one gwarantują zwycięstwo.

Nie tak dawno tutaj, gdzie dziś rozwija się kolektywna kultura rolna, gdzie szumią kłosami spółdzielcze łany, kwaśniał niedowład, a kierownictwo Podstawowej Organizacji Partyjnej popełniało kardynalne błędy. O założeniu spółdzielni produkcyjnej nie można było wtedy myśleć.

FAKTY

W jesieni 1950 r przeprowadzono tu akcję skupu zboża. Kopaniec jest typową wsią średniacką. Przeciętny areał ziemi wynosi tu 8 do 10 ha na jedno gospodarstwo, przy czym połowa gruntu przypada na łąki i lasy, jak to bywa w okolicach górskich. Ziemia nie jest zbyt urodzajna, wymaga dużej staranności w uprawie.

Jednym z mieszkańców Kopańca jest Tomaszewicz Jan, który razem ze swoim bratem objął dawną 20 hektarową gospodarkę. Brat zagospodarował 10 ha, Jan również 10 ha w czym 2,5 ha lasu i 3,5 ha pastwisk. Jan był dobrym rolnikiem. Posiadał 3 krowy, 3 jałówki, 5 świń, (z których 3 zakontraktował), 2 konie i 3 owce. Pracował sam z żoną i utrzymywał 3 nieletnich dzieci.

W czasie jesiennej akcji skupu zboża Tomaszewicz Jan zadeklarował początkowo 10 m, następnie zaś po perswazjach trójki gromadzkiej zgodził się dostarczyć 20 m, — tyle, ile jego brat. Decyzją GRN w starej Kamienicy wyznaczono mu jednak 30 m. I tu zaczęła się tragedia. Tomaszewicz zaprotestował wobec trójki gromadzkiej, oświadczając, że jego gospodarka tyle nie wytrzyma. Trójka gromadzka, w skład której wchodzili Nowakowski Marian, sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej, sołtys Kopytko Wacław i Ulbych Stanisław ogłosiła Tomaszewicza za opornego kułaka, przedstawiła sprawę w GRN i uzyskała nakaz przeprowadzenia przymusowych omłotów. Nakaz został bardzo skrupulatnie wykonany.

Ale i tego było za mało Nowakowskiemu. W miejscowym sklepie spółdzielczym wywiesił on własnoręcznie ogłoszenie, aby Tomaszewiczowi jako kułakowi i wrogowi Państwa Ludowego nie sprzedawać artykułów pierwszej potrzeby.

Czy na tym już wszystko się skończyło? Nie. Wiosną 1951 r. kiedy chłopi kontraktowali len, jęczmień i pszenicę jarą — Nowakowski zabronił miejscowemu przedstawicielowi PZGS Morańskiemu Maciejowi zawarcia kontraktu z Tomaszewiczem.

Co na to gromada?

Opinia gromady obróciła się przeciwko sekretarzowi Podstawowej Organizacji Partyjnej. Jak się później okazało — kierował się on podszeptami brata Tomaszewicza — Antoniego który żył z Janem Tomaszewiczem w ciągłej kłótni.

Tomaszewicz po „operacji" przymusowego omłotu nie wywiązał się z dostawy zakontraktowanych 3 świń, a na wiosnę 1951 r. stracił dwa konie, które padły z braku treściwej paszy. A zatem powstały szkody zarówno natury politycznej jak i ekonomicznej.

Tomaszewiczowi padły z wycieńczenia konie, ale za to polityczne przywództwo we wsi wypadło z rąk Nowakowskiego. Kto tutaj poniósł większą klęskę?

CO PISZE JÓZEF STALIN?

W referacie Stalina o wynikach prac XIV Konferencji RKP(b) w rozdziale „Polityka partii na wsi" czytamy:

„Główna rzecz polega teraz na tym, żeby skupić średniaków wokół proletariatu, zdobyć ich ponownie. Główna rzecz polega teraz na tym, żeby powiązać się z podstawową masą chłopstwa, podnieść jej poziom materialny i kulturalny i ruszyć naprzód razem z tą podstawową masą po drodze do socjalizmu. (...) budować socjalizm razem z chłopstwem, koniecznie razem z chłopstwem i koniecznie pod kierownictwem klasy robotniczej. W związku z tym stoją przed nami dwa podstawowe zadania na wsi:

1) dopiąć tego by gospodarstwo chłopskie zostało włączone do ogólnego systemu radzieckiego rozwoju gospodarczego (...) poprzez spółdzielczość.

2) stopniowo ale stale przeprowadzać linię likwidowania dawnych metod administrowania i kierownictwa na wsi, linię ożywienia Rad, linię przekształcenia Rad w prawdziwie obieralne organy, linię krzewienia na wsi zasad demokracji radzieckiej".

A dalej:

„Niezbędne jest, żeby komuniści na wsi wyrzekli się wypaczonych form administrowania. Kieruje ten, kto ożywia Rady i tworzy aktyw chłopski wokół partii na wsi". (Tom VII, str. 128, 129, 131, 132).

ANALIZA FAKTÓW

Jak w świetle referatu Stalina wygląda sprawa Tomaszewicza z r. 1950? Jakie stanowisko powinien był zająć Nowakowski?

Załatwienie sprawy Tomaszewicza było zaprzeczeniem „krzewienia zasad demokracji radzieckiej na wsi". Powiększony wymiar planu zboża, a następnie przymusowy omłot, to „wypaczon forma administracyjna". Wymiar był najwyższy we wsi. Trójka gromadzka pominęła milczeniem protest chłopa, nie zreferowała sprawy w GRN, a ta z kolei nie potrudziła się przeprowadzić kontroli i wydała nakaz omłotu bez wysłuchania zainteresowanego rolnika.

Czynnik politycznego samorządu, jakim jest Rada Narodowa na terenie gminy nie spełnił roli czynnika krzewienia zasad demokracji, nie wciągnął średniaka w orbitę swojej działalności, by razem z nim iść po drodze do socjalizmu, chociaż ten średniak od tego się nie uchylał. Wybrano do załatwienia sprawy drogę najłatwiejszą, a dla socjalizmu szkodliwą.

Przedstawiciel GRN Drzyzga Jan powinien był wstrzymać się z wykonaniem przymusowego omłotu i wpłynąć na Nowakowskiego, aby sprawę Tomaszewicza rozpatrzeć na posiedzeniu Prezydium Rady, poddać wymiar ponownemu rozważeniu i wysłuchać głosu chłopa. W ten sposób Tomaszewicz by odczuł, że istnieje praworządność i władza ludowa, *jego władza*.

A już w żadnym wypadku Nowakowski nie powinien był wywieszać w sklepie spółdzielczym plakatu z zakazem sprzedawania Tomaszewiczowi artykułów pierwszej potrzeby jako wrogowi Państwa Ludowego. Tomaszewicz średniak, „wyczekuje" ale — jak pisze w innym miejscu Stalin — „po to jest średniakiem żeby wyczekiwać". Rzeczą partii i organów władzy ludowej jest wyzwolić go z wyczekiwania i skłonić go do wspólnego marszu z klasą robotniczą.

Tomaszewicz został pokrzywdzony materialnie. Klęska organizacji partyjnej na wsi była większa. Nie łatwo było odzyskać zaufanie gromady i raz utraconego kierownictwa. Klęska była tym poważniejsza, że Nowakowski nie potrafił „stworzyć aktywu chłopskiego wokół partii" i ożywić Gm. Rady Narodowej, co — jak pisze Stalin — jest warunkiem kierownictwa. Postępowanie w sprawie Tomaszewicza nie jest zgodne z tezą Stalina „żeby powiązać się z podstawową masą chłopską, podnieść jej poziom materialny i kulturalny i ruszyć naprzód z tą podstawową masą po drodze do socjalizmu". Podstawową masę chłopstwa w Kopańcu stanowią średniacy. Organizacja partyjna w Kopańcu zapomniała o tej tezie Stalina i nie wypełniła swojej kierowniczej roli.

Dzięki czujności wyższych instancji partyjnych sprawa wypłynęła jednak na wierzch i została sumiennie zbadana. Nowakowski wraz z przedstawicielem GRN Drzyzgą Janem i sołtysem Kopytko Wacławem został pociągnięty do odpowiedzialności karnej.

WNIOSKI

Kiedy Stalin pisał swoje tezy „Polityki partii na wsi" — Związek Radziecki wchodził w okres socjalistycznego budownictwa, a więc znajdował się w podobnej jak my od trzech lat sytuacji. Toczyła się walka o pozyskanie dla tego budownictwa chłopa średniaka, bez którego przebudowa ekonomiczna i polityczna wsi nie jest możliwa. Walka ta w Związku Radzieckim została wygrana dzięki strategii, której zasady opracował Wielki Wódz światowego proletariatu. Jego pisma stanowią niewyczerpaną skarbnicę wskazań nie tylko w skali ogólnonarodowej, ale i w codziennej praktyce, w pracy na codzień, w akcjach skupu, w kontraktacjach i przy organizowaniu spółdzielni produkcyjnych. Trzeba je nie tylko czytać, ale pilnie analizować w praktyce, konfrontować z naszą pracą, wyciągać nauki z fałszywych kroków i popełnionych błędów.

W Kopańcu organizacja partyjna przeprowadziła krytykę i wyciągała wnioski z własnych błędów.

Usunęła z kierownictwa nieodpowiednich ludzi. Oparła się na aktywistach gromadzkich, którzy umieją każdą sprawę rozpatrzeć w perspektywie zadań do jakich powołana została na wsi Podstawowa Organizacja Partyjna, a nie z punktu widzenia osobistych porachunków z sąsiadami. Żywiej interesuje się życiem i potrzebami gromady oraz warunkami gospodarczymi chłopów. Potrafi rozmawiać z ludźmi, przekonywać ich i zawsze udzielać pomocy. Do lamusa przeżytków odłożone zostały metody, którymi posługiwał się Kopytko Wacław i Nowakowski Marian. Zresztą ludzi tych już nie ma w Kopańcu. Dopięła tego, że gospodarstwa chłopskie zostały włączone do ogólne systemu socjalistycznego rozwoju gospodarczego przez zorganizowanie spółdzielni produkcyjnej. Zgodnie ze wskazaniami Stalina pozyskała silny aktyw chłopski przez co uzyskała więź z masami. Przez ściślejsze powiązanie się z Komitetem Powiatowym P.Z.P.R. w Jeleniej Górze uzyskała silniejszą pozycję organizacyjną. Przez to samo stała się ona w Kopańcu rzeczywistym kierownikiem politycznym gromady, zdobywając z powrotem redutę utraconą przez Nowakowskiego i Kopytkę. „*Samokrytyka jest oznaką siły, a nie słabości naszej partii*" — mówi Stalin. —*Tylko silna partia, tkwiąca korzeniami w życiu i krocząca ku zwycięstwu może sobie pozwolić na tak nieubłaganą krytykę swoich własnych niedociągnięć*". Partia zwyciężyła w Kopańcu na całej linii. Osiągnęła przede wszystkim to, co Stalin w okresie początkowym budownictwa socjalistycznego na wsi uważa za „rzecz główną": „*skupiła średniaków wokół proletariatu i ruszyła naprzód z tą podstawową masą chłopstwa do socjalizmu*"

Studiowanie pism Stalina jest obowiązkiem każdego działacza nawet na najniższym szczeblu organizacji politycznej i społecznej. Niech staną się one drogowskazami w przebudowie naszej wsi. Unikniemy wtedy błędów, nasze budownictwo socjalistyczne postępować będzie szybciej i sprawniej.

Teofil Kowalczyk

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

TWÓJ NAJPIĘKNIEJSZY PASIAK

Ty mnie, Jeruzal i ty, Gliniak
I ty Kołbieli słynna z prząślic
I ty, gdzie serce matki, Mińsku
I ty, Florencjo — nie obwiniaj,
Żem tu za dosyć nie podkreślił
Barw twej tkaniny w dniach ucisku,

Boś miała inne, żywsze barwy,
I z nich utkałaś szlak wzorzysty,
Piękniejszy od twych łąk w dni czerwca.
Nie wytrawiły, nie zatarły —
Carat, sanacja i faszyści —
Tych mocnych barw ludzkiego serca.

Bo spójrz na mapę: Mińsk i wioski,
Wszędzie znajome stare kąty.
Teren rzeźbiony słabo, płaski...
To tę uliczkę Kazikowski
Sczerwienił krwią w dziewięćset piątym,
To tu przedmieście buntu — Piaski.

Patrz dalej. Oto ostra zieleń
Zaraniarskiego Ludwinowa,
Gdzie wybuchł słynny strajk trzech wiosek;
Gdzie stała na młodzieży czele
Wiciarka, dziewczę - kwiat — Jurkowa,
W czas wojny — żołnierz, dzisiaj — poseł.

Oto zielona Józefina.
Tu stara Józefowa Gniatko,
Jak ty, z rosyjskiej książki, matko,
Gdy żandarmeria obstawiła
Wieś — a nie stało przy niej syna —
Sztandar SL-u ocaliła.

Tu bliżej kępy strzech Chmielewa —
Wieś przyfolwarczna kapepowska —
Gdzie wszystkie chaty, rzeczy — drzewa,
Lasem się stały, gdy padł rozkaz
Z AL i cicha wieś za torem
Z Wehrmachtem toczy bój i dworem.

A nie wyliczę, nie wymienię
Wszystkich, choć wspomnę leśną Mienię,
Z obław policji słynną, wskażę
Stojadła, gdzie w fabryce noży
Strajk Fogelnesta niegdyś trwożył
Jak kiedy grom zaświeci w twarze.

— Tak czerwień i soczysta zieleń —
Barwa klasowych ruchów bratnich —
Tworzy twój pasiak najpiękniejszy,
Ziemio dzieciństwa, coś w popiele
Witała wolność i w ostatni
Bój wkraczasz śmiało w Dniu Dzisiejszym.

Wichurą młotów w „Pepeerce".
(Fabryka mostów — dawny „Rudzki"),
Kosiarką w Rudnie już spółdzielczym —
Walczysz dziś, Ziemio, gdzie me serce,
O żniwo piękna, tęsknot ludzkich,
Których wyrazem są i tęcze
Twych dawnych krosien...

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca [illegible] br. urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy i miejscy przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy

DYZMA GAŁAJ

ZIEMIA KWITNĄCA

„NA terenach wschodnich — na terenach nadwołżańskich, na Uralu, Syberii, na Dalekim Wschodzie, Kazachskiej SRR i w republikach związkowych Azji Środkowej powstała potężna baza przemysłowa kraju — mówił tow. Malenkow. — Ogólna produkcja przemysłowa na tych terenach zwiększyła się do 1952 roku trzykrotnie w porównaniu z 1940 r. W r. 1951 tereny wschodnie dały około 1/3 całej produkcji przemysłowej ZSRR, przeszło połowę całej ilości stali i wyrobów walcowanych, prawie połowę całej ilości węgla i ropy naftowej i przeszło 40 proc. energii elektrycznej“ (XIX Zjazd KPZR).

Niemałe to osiągnięcia, jeśli zważymy wielkość, do której Malenkow porównuje produkcję Dalekiego Wschodu. W stosunku do 1929 r. przemysł radziecki wzrósł o 1166 proc., a w stosunku do 1913 r. 39 razy. Oznacza to, że przemysł ten zdolny jest tę samą wartość, którą przemysł carskiej Rosji wytwarzał w ciągu roku — wyprodukować w ciągu 9 dni. Jeśli porównamy tempo wzrostu produkcji przemysłowej od 1929 do 1951 r., to okaże się, że tempo to jest absolutnie najszybsze w ZSRR. Przemysł rozwijał się w tym czasie w Związku Radzieckim 12 razy szybciej niż w Stanach Zjednoczonych, 19 razy szybciej niż w Anglii, 34 razy szybciej niż we Włoszech i prawie 300 razy szybciej niż rozwijał się w tym czasie przemysł francuski.

O potędze tego przemysłu świadczyć może również i to, że sama tylko Ukraina Radziecka wytapia obecnie o wiele więcej surówki niż Francja, a trzykrotnie więcej niż Włochy, wydobywa półtora razy więcej węgla aniżeli Francja i Włochy łącznie. A przecież Ukraina nie jest najbardziej uprzemysłowioną Republiką Radziecką.

W referacie dla aktywu moskiewskiej organizacji RKP(b) w 1925 r. mówił Stalin: *„przemysł metalowy jest podstawową bazą przemysłu w ogóle, ponieważ ani lekki przemysł ani transport, ani paliwo, ani elektryfikacja, ani rolnictwo nie mogą być postawione na nogi bez potężnego rozwoju przemysłu metalowego. Wzrost przemysłu metalowego jest podstawą wzrostu całego przemysłu w ogóle i gospodarki narodowej w ogóle“* (Stalin, Dzieła, t. 7, str 134).

Z danych wynika, że w ZSRR produkcja środków produkcji, a więc głównie przemysłu metalowego, stale rozwija się szybciej, aniżeli produkcja środków spożycia. Liczby ilustrujące tempo rozwoju tych dwóch dziedzin przemysłu w latach 1940 — 1952 kształtują się jak 167 do 56 na korzyść działu pierwszego. Kraj Radziecki już dziś jest krajem metalu. Będzie nim stawał się w coraz jeszcze większym stopniu również na drodze do komunizmu. Stalin podkreśla tę konieczność w „Ekonomicznych problemach socjalizmu w ZSRR“. *Trzeba ... zapewnić ... nieprzerwany wzrost całej produkcji społecznej i przewagę wzrostu produkcji środków produkcji, gdyż tylko taka produkcja zabezpieczy w sprzęt przedsiębiorstwa przemysłowe, oraz pozwali na realizację reprodukcji rozszerzonej, koniecznej do odpowiedniego rozwoju gospodarki socjalistycznej.“*

*

JEST rzeczą niewątpliwą, że socjalistyczna industrializacja kraju powoduje b. poważne i wszechstronne konsekwencje. W rolnictwie np. przede wszystkim dlatego, że jest nieodzownym warunkiem kolektywizacji wsi. Zmechanizowanie procesów wytwórczych w tej dziedzinie przyczynia się po pierwsze do wzrostu wydajności z jednostki powierzchni, po drugie do zwolnieniai znacznej ilości rąk roboczych z rolnictwa dla innych dziedzin gospodarki i, po trzecie, pracę człowieka czyni mniej znojną i męczącą.

Pokażmy kilka liczb dotyczących częściowego wyposażenia technicznego rolnictwa Rosji carskiej i kilku republik radzieckich (np Uzbeckiej, Kazachskiej, Kirgiskiej, Turkmeńskiej i Tadżyckiej):

STAN POSIADANIA MASZYN I NARZĘDZI ROLNICZYCH

Wyszczególnienie w 5 republikach ZSRR	1952 r.	W Rosji carskiej 1909 r.
traktorów	121 tys.	—
kombajnów	23 „	—
różnych maszyn do sprzętu, siewu itp.)	102 „	—
pługów drewn.	—	2,2 mil.
soch drewn.	—	7,3 mil.
bron drewn.	—	17,7 mil.

To zestawienie kilku narzędzi wczoraj i dziś jakże potężnie i z jakimże triumfem obwieszcza wielkość, potęgę owego ustroju. Spójrzcie: główne narzędzie w 5-ciu republikach dziś to — traktor, główne zaś w Rosji carskiej to — miliony drewnionych bron. Za narzędziem dojrzyjcie i proces pracy, boć to jest istotą narzędzia. Zobaczcie prymityw, ciemnotę, nędzę, zwierzęce życie za młodu, starego, zgarbionego analfabetę · chłopa z tamtych czasów i spróbujcie sobie choćby w wyobraźni posadzić tamtego chłopa na dzisiejszy traktor. Nie pasuje. Traktorzysta to nie chłop z carsko-kapitalistycznej Rosji tak jak traktor, to nie drewniana brona, jak socjalizm, to nie kapitalizm. A jak to mądrze i pięknie przewidział Stalin w 1929 r. gdy pisał: *„Posuwamy się całą parą po drodze uprzemysłowienia ku socjalizmowi pozostawiając w tyle nasze odwieczne „rassiejskoje“ zacofanie. Stajemy się krajem metalu, krajem automobilizacji, krajem traktoryzacji. I gdy posadzimy ZSRR na automobil a chłopa na traktor — wtedy niechaj sprobują nas dogonić szanowni kapitaliści chełpiący się swoją „cywilizacją“ Zobaczymy jeszcze, które kraje będzie można wówczas „zaliczyć“ do zacofanych, które zaś do przodujących“* (Zag. len., str. 256).

Oto jak praktyka radzieckiego budownictwa rozwinęła pod tym względem Uzbekistan, kraj, który w większym stopniu niż inne w ZSRR był zacofany i nędzny. Czytajmy za Berią do jakiego stanu doprowadziła go partia pod mądrym kierownictwem Stalina:

„W Uzbekistanie radzieckim na każde 1000 ha obszaru zasiewów przypada 14 traktorów, podczas gdy we Francji na taki sam obszar przypada 7 traktorów, a we Włoszech — 4 traktory o znacznie mniejszej mocy. Rzecz jasna, że w zagranicznych krajach Wschodu ilość traktorów jest znikoma. Jeśli w Uzbeckiej SRR jeden traktor przypada na 70 ha obszarów zasiewów, to w Pakistanie jeden traktor przypada na 9 tys. ha, w Indiach — na 13 tys. ha, w Iranie — na 18 tys. ha zasiewów“.

Kołchoźnik siedzący na traktorze pokazał swój stosunek do kapitalistycznej „cywilizacji“ na polach od Stalingradu po Berlin i od Morza Śródziemnego prawie pod biegun. Patriotyzmu radzieckiego, gorącego umiłowania ojczyzny i nienawiści do faszyzmu nauczył go *ten etap*, który w ZSRR prowadził od dębowych zębów w bronie carskich czasów do traktoru-kombajnu epoki stalinowskiej. Etap trudny, ciężki, pełen burz i niesłychanie wytężonej pracy partii i klasy robotniczej, ale równocześnie etap pełen zwycięstw i sukcesów.

Kwitnie ziemia sowchozów i kołchozów radzieckich, bo kominami fabryk kwitną wszystkie zakątki tego olbrzymiego i bogatego kraju. Ziemia ta jest kwitnąca nie dlatego tylko, że w ciągu niespełna jednej pięciolatki potrafiła bez śladu zabliźnić straszliwe rany faszystowskich ciosów, które zniszczyły 98 tys. kołchozów, ok. 1800 sowchozów, prawie 3000 MTS-ów, 140 tys. traktorów, 49 tys. kombajnów i ponad 5 mil. innych maszyn rolniczych, 7 mil. koni, 17 mil. sztuk bydła, 20 mil. sztuk trzody chlewnej i 27 mil. owiec.

Ziemia ta jest kwitnąca również nie dlatego tylko, że już dziś produkcja z 1 ha jest wyższa aniżeli w wielu przodujących krajach kapitalizmu. Wystarczy powiedzieć, że w bieżącej pięciolatce na polach radzieckich średnia zbóż będzie się wahać od 17 do 22 q z 1 ha, a na terenach nawadnianych od 30 do 34 q z 1 ha, podczas gdy średnia w St. Zjednoczonych wynosi 10 — 12 q z 1 ha. Również olbrzymie osiągnięcia w zakresie uprawy buraka cukrowego dochodzące w południowych republikach radzieckich średnio do 400 — 425 q nie mają równych sobie w świecie.

Ziemia ta jest kwitnąca nie dlatego tylko, że już dziś potrafili ludzie radzieccy nawodnić miliony ha, a również osuszyć wiele zabagnionych dotychczas terenów, podnosząc tym samym wyniki produkcyjne radzieckiego rolnictwa.

Wielkość rolnictwa Zw. Radzieckiego polega nie tylko na osiągnięciach wyrażających się samą liczbą, lecz na tym, że w warunkach władzy socjalistycznej, przy kierownictwie tak głęboko mądrej i doświadczonej partii jaką jest KPZR i jej przywódca Stalin, przy istniejącym tempie rozwoju socjalistycznego przemysłu — w warunkach tych radziecka agrobiologia, a wraz z nią i praktyka rolnicza mogą rozwinąć się w sposób niespotykany w dziejach.



Mal. F. Szurpin

*

WEŹMY dla przykładu zagadnienie, które przy dzisiejszym stanie wiedzy rolniczej jest podstawowe: sprawę bilansu wód, tzn. sprawę uchronienia się w praktyce rolniczej od suszy lub nadmiaru wilgoci. To co zrobiono dziś w tej kwestii w Związku Radzieckim, tzn. nawodnienie lub przygotowanie już do nawodnienia dziesiątków milionów ha, osuszenie również wielu setek tysięcy ha ziemi a także zalesienie odpowiednich terenów w celu zatrzymania gorących, azjatyckich „suchowiejów“, wyraża swą wielkość w tym, że pokazuje całemu światu — tak związanemu z socjalizmem jak i kapitalizmem — że człowiek może, poznawszy istotę przyrody, wykorzystać te prawa, umiejętnie je włączyć do służenia człowiekowi. Przecież wielkość prac nawadniających w ZSRR polega przede wszystkim na tym, że w perspektywie ukazuje się możliwość nawodnienia (jeśli taka będzie potrzeba) całej nadającej się do użytkowania rolniczego ziemi na kuli ziemskiej.

Czy w warunkach kiedy będzie istniał problem budowy komunizmu na całej kuli ziemskiej, może być problem złej gleby, bagna lub pustyni? Nie. Jeśli ludzie dojdą do wniosku, że Saharę trzeba zmusić do tego, by wydawała plon, niewątpliwie potęga umysłu i działania ludzkiego dopnie celu mimo, że sprawa to w swej istocie bardzo trudna

Zuchwałość komunistów wobec kryjącej w sobie wiele tajemnic przyrody (tajemnic bynajmniej nie boskich jak to dawno udawadniało przyrodoznawstwo) jest głęboko ludzka a uzasadniona nieograniczoną możliwością poznania ludzkiego. Już w 1921 r. Lenin pisał do komunistów Kaukazu: *„Nawadnianie jest potrzebne bardziej niż cokolwiek innego i bardziej niż cokolwiek innego przeobrazi kraj, odrodzi go, pogrzebie przeszłość, ułatwi przejście do socjalizmu“.* W tymże roku Stalin bardzo mocno podkreślił konieczność zwiększenia wysiłków w Gruzji, Armenii i Azerbejdżanie nad nawadnianiem pól.

W 1924 r. u progu industrializacji kraju Stalin taki dał projekt: *„Postanowiliśmy wykorzystać wzmożoną gotowość chłopstwa uczynienia wszystkiego co jest możliwe w celu zabezpieczenia się w przyszłości od wypadków suszy i postaramy się wszechstronnie wykorzystać tę gotowość w celu poczynienia (wraz z chłopstwem) decydujących kroków w zakresie melioracji, podniesienia poziomu rolnictwa itp. Zamierzamy rozpocząć te prace od utworzenia najniezbędniejszego klina melioracyjnego w strefie Samara — Saratów — Carycyn — Astrachań — Stawropol...*

„Będzie to początek rewolucji w naszym rolnictwie“ (Stalin o rolnictwei str. 56).

Dziś miliony hektarów ziemi posiadają wilgoć w ilości wystarczającej. Istnieje łatwość w zastosowaniu najbardziej racjonalnych płodozmianów Łagodzą klimat kołchozowe, sowchozowe i państwowe pasy leśne ciągnące się na powierzchni w milionach hektarów. Przeobraża się przyroda.

W 1948 r. Rada Ministrów ZSRR i KC WKP(b) podjęły uchwałę o planie przeobrażenia przyrody w stepowych okolicach ZSRR. Był to plan opracowany przez Stalina. Woda jest nieodzownym czynnikiem wzrostu roślin. Ale może być i jest wykorzystywana przez ludzi radzieckich również jako niewyczerpane źródło siły. Elektrownia budowana w Kujbyszewie i Stalingradzie stanowi osiągnięcie nieznane w praktyce budownictwa światowego. Jedna tylko Kujbyszewska wytwarzać będzie 10 razy więcej energii aniżeli wszystkie elektrownie Rosji w 1917 r. i 3 razy więcej, aniżeli wszystkie elektrownie Polski w 1937 r. A przecież Stalingradzka będzie nie mniejsza, a budowane są również Kamska, Gorkowska, Miergaczewska, Ust-Kamieniogorska i inne. Pasy leśne, zbiorniki wód i elektryczna energia oddana do użytku rolnictwa terenów przykaspijskich przekształcą kraj ten w cudowną, o niesłychanej urodzajności oazę sadownictwa, warzywnictwa i hodowli. Ale równocześnie będą one przykładem dla całego świata, jak społeczeństwo w swej pokojowej pracy, (w pracy bez wyzysku i krzywdy innego pracującego), kierowane geniuszem Stalina przezwycięża, przeobraża i podporządkowuje własnym celom przyrodę.

*

ALE poza sprawą tego typu walki z przyrodą rolnictwo jest nie mniej zainteresowane i inną formą tej samej walki. Człowiek zmienia warunki środowiskowe dla rolniczej praktyki, dla siebie, ale pracuje także nad tym, by dostosować roślinę, czy zwierzę do danego, tymczasem jeszcze niezmienionego środowiska. W tym zakresie należałoby przedstawić istotę prac Miczurina — Łysenki i praktyki kołchozowej. Łysenko powiedział kiedyś, że jego nauka nigdy nie rozwinęłaby się bez kołchozowego ustroju, że agrobiologia, to nauka stworzona przez teorię materializmu dialektycznego i praktykę kołchozów.

Nauka to uczy, że np. urodzi się zboże w najtrudniejszych nawet warunkach, jeśli roślina uprawiana odpowiednio zostaje przygotowana do tych konkretnych warunków, jeśli rolnik umie ją do nich dostosować.

Nie rodziły się na Ukrainie ziemniaki. Wyradzały się. Prowadził nad nimi długie doświadczenia Łysenko. Wreszcie doszedł do źródła tej przyczyny. Okazało się, że oczka bulw, zalążki przyszłych roślin, rozwijają się pod krzakiem w lipcu, w okresie największych upałów. Upał powoduje starzenie się zalążka i niedojrzałej bulwy Zdawałoby się, że nie ma na to rady. A jednak... Naukowiec radziecki nie łatwo rezygnuje z walki. Znalazła się rada. W 1934 roku 18 kołchozów wzięło udział w doświadczeniu, w następnym roku prowadzono badania na obszarze 1600 ha w 500 kołchozach. Dziś ziemniaki na Ukrainie nie wyradzają się, nie starzeją. W kołchozie im. Dymitrowa zebrano 300 cent. z ha, w kołchozie im. Lenina — 500 cent. a kołchoźnica Chudobij już po raz trzeci zebrała ponad 700 cent. z 1 ha.

Jak brzmi „recepta“ Łysenki? Sadzić ziemniaki w takim okresie, by oczka bulw, zalążki przyszłych roślin, nie starzały się pod wpływem działania słońca. Czyli? Sadzić ziemniaki nie wiosną, lecz latem, w upał, by dojrzewanie następowało w okresie temperatury umiarkowanej zgodnej z wymogami ziemniaka.

W „Izwiestiach“ w 1939 r. ukazał się artykuł Łysenki, w którym pisał: „W roku ubiegłym, przed posiedzeniem Sesji Rady Najwyższej, tow. Stalin zapytał mnie, co należy zrobić, aby podnieść urodzajność prosa w suchych pł. wsch. rejonach. I natychmiast sam wyliczył podstawowe przyczyny, wskutek których proso daje małe plony. Podkreślił więc, że na proso zwracano mało uwagi, siano nie w porę, w źle przygotowaną glebę, nie dbano o nie, nie stosowano szerokorzędowych zasiewów, źle sprzątano, doprowadzano do dużych strat. Na ogół traktowano proso jako roślinę uprawową niższego rzędu“... (W. Safanow, Kwitnąca ziemia, str 217)

Przeciętny plon prosa wynosił wtedy 8 centnarów z ha.

Rozpoczęła się walka o proso. Kierował nią Łysenko. Uchwała KC zażądała zbioru co najmniej z 500 tys. ha już w następnym roku po 15 centn. z ha Znowu nadeszły dni walki z rośliną, z warunkami jej rozwoju, ze stosunkiem ludzi do tej rośliny Walkę wygrano. Niektóre kołchozy osiągnęły 50 centn. z ha, a kołchoźnik Abdull z zach. Kazachstanu zebrał na polewanych wodą polach po 68 centn. z ha. Kołchoźnicy czkałowskiego obwodu pisali: „Nasza ziemia jakby się odrodziła. Proso dochodzi do wysokości 90 cm. Najstarsi ludzie nie pamiętają takiego urodzaju! Nasz rejon jest najsuchszy Ani lasów, ani stawów, ani rzek — nie ma... W końcu czerwca temperatura dochodziła do 47 stopni. A jednak naszą radziecką nauką zwyciężyliśmy przyrodę i zmusiliśmy ją do poddania się“.

Następne lata przyniosły jeszcze lepsze wyniki. W 1943 r. kołchoźnik Czaganak Biersijew zebrał w Kazachstanie około 210 centn. prosa z 1 ha. Jest to prawdopodobnie najwyższy absolutny plon wszelkich zbóż, jaki został uzyskany dotychczas przez człowieka.

Zadanie postawione przez Stalina, przez partię, teoria naukowca i praktyka rolnicza ZSRR wykonały zwycięsko.

Tak samo zwycięsko zorganizowano rolnictwo na półwyspie Kola, udowadniając, że są duże możliwości rolnictwa w strefie polarnej. To samo z łysenkowską pszenicą nica Syberii. z bawełną. której granica upraw przesuwana jest systematycznie ku północy, z sadami, warzywami i wielu innymi roślinami.

Doświadczenia te mogły być prowadzone zwycięsko tylko dlatego, że w Związku Radzieckim istniał *ustrój kołchozowy*. Ten właśnie ustrój wystawił wiedzę rolniczą na taką próbę, jakiej nikt nie przewidywał przed kolektywizacją; postawił teorii do wykonania zadania. W wyniku działania teorii i praktyki powstała ludowa nauka, niezwykła, zuchwała, partyjna nauka, która wskazuje jak należy przeobrazić przyrodę, przebudować otaczający człowieka świat, która uczy i dokonuje stalinowskich zwycięstw... Nauka ta, to radziecka agrobiologia.

*

Kwitnąca ziemia Związku Radzieckiego, to wczorajsze zwycięstwa, dzisiejsze osiągnięcia i radosna perspektywa nieograniczonych możliwości ludzkiego poznania i zastosowania w praktyce — dla dobra wszystkich pracujących, dla ludzi. Kwitnąca ziemia, to ludzie umiejący walczyć, w partyzantce z faszystą, pod Stalingradem, Kurskiem, Warszawą, Wiedniem, to walczący Erenburg. Ażajew, Surkow, to Łysenko, Oparin. Lepieszyńska, to ludzie walczący przy pomocy mikroskopu, lancetu, czy obrabiarki i traktoru. To ludzie Stalina. Stalinowskiej epoki. To ludzie, którzy od niego uczyli się zwycięstw.

Dyzma Gałaj

PIOTR PAWLENKO

SIŁA SŁOWA

GDY mi jest ciężko, gdy zwątpienie we własne siły wyciska mi łzy z oczu, a życie domaga się szybkich i śmiałych decyzji, ja zaś przez słabość woli nie umiem ich powziąć — pamięć przywodzi mi na myśl jedno dawne zdarzenie opowiedziane mi niegdyś w Baku przez człowieka, który był na zesłaniu jakie czterdzieści lat temu.

Działa ono na mnie tak uzdrawiająco, tak umacnia i podnosi moją wolę, że z drobnej tej opowieści uczyniłem swój talizman, zamowę, owo właściwe każdemu tajemne zaklęcie. Jest to jakby mój hymn.

A oto treść zdarzenia opowiedziana w skrócie przypowieści, tak by można je było powtórzyć każdemu.

Działo się to na Syberii przed jakimi czterdziestu laty. Zesłańcy z różnych partii zebrali się potajemnie na międzypartyjną naradę. Referent miał przybyć z sąsiedniego osiedla. Był nim młody rewolucjonista o wielkim, głośnym już i świetnie zapowiadającym się nazwisku. Nie będę go wymieniać.

Czekano na niego długo. Nie zjawiał się.

Tymczasem niepodobna było odkładać narady i ludzie należący do innej niż referent partii nalegali, by zaczynać bez niego, gdyż, jak mówili, pogoda i tak nie pozwoli mu przybyć.

Pogoda była istotnie przeraźliwa. Wiosna w tym roku nadeszła wczesna, śnieg szybko topniał w słońcu i na odsłoniętych południowych zboczach rozmiękł tak dalece, że o jeździe psami nie było co nawet myśleć. Lód na rzece stał się kruchy i siny, a miejscami już ruszył, więc narty były niepewne i niebezpieczne, a na płynięcie łódką w górę rzeki, pod prąd, jeszcze za wcześnie: kry mogły rozbić wątłe naczynie, ponadto zaś wiosłowanie przeciw idącej krze było ponad siły najtęższego rybaka.

Zwolennicy czekania nie dawali jednak za wygraną. Znali tego, który miał przybyć.

— Przyjedzie! — powtarzali z uporem. — Jeśli powiedział, że będzie, to będzie na pewno!

— Okoliczności bywają silniejsze od nas! — irytowali się tamci.

Spór się zaogniał. Nagle za oknem wszczął się hałas i poruszenie wśród dzieci bawiących się koło domu, rozległo się szczekanie psów, a podnieceni rybacy pobiegli do rzeki.

Zesłańcy też wyszli z chaty i oczom ich ukazał się widok zadziwiający.

W górę rzeki, walcząc ze zbitą krą, wolno i zakosami posuwała się łódka. Na dziobie stał chudy mężczyzna w futrzanej kurtce i futrzanej czapce z nausznikami. W zębach trzymał dymiącą fajeczkę Spokojnymi, opanowanymi ruchami odpychał drągiem kry nacierające na łódkę.

Początkowo nikt nie zauważył w jaki sposób łódka płynie przeciw prądowi bez żagli i motoru. Gdy jednak ludzie zeszli do rzeki, wszyscy zakrzyknęli z podziwu: łódkę ciągnął biegnący wzdłuż brzegu zaprząg psów

Tego nikt jeszcze nawet nie próbował w tych okolicach i rybacy ze zdumieniem kiwali głowami.

Najstarszy rybak powiedział:

— Nasze ojce i dziady od tak dawna tu siedzą, a na taką rzecz żaden z nich nie wpadł.

I kiedy człowiek z fajką wyszedł na brzeg, pokłonili się jemu ze szczególnym szacunkiem:

— Przybysz, a obmyślił lepiej od nas wszystkich. Odważny człowiek!

— Wybaczcie mi, towarzysze, mimowolne spóźnienie Nowy to dla mnie środek lokomocji i trochę przeliczyłem się z czasem.

Nie wiem, czy tak właśnie było w rzeczywistości i czy nie ma zmyśleń fantazji w opowiedzianej przeze mnie poetyckiej noweli. Ale chcę, aby wszystko to było prawdą, albowiem nie znam nic prawdziwszego i lepszego nad tę opowieść o wierności słowu i o sile słowa.

Przełożył **Julian Stawiński**

MIKOŁAJ TICHONOW

ROZMOWA

(Z cyklu „Opowieści z Pakistanu")

BYŁA to najnędzniejsza jaką można pomyśleć, gliniana lepianka. W lecie ze sklepienia bez przerwy spadały na głowę i ramiona grudki wyschłej gliny, w okresie deszczów strumienie brudnej wody spływały po ścianach. I tylko patrzeć, a lepianka zwali się na swych mieszkańców i z całego domostwa pozostanie zwał mokrej, ciężkiej gliny — nic więcej.

Trzeba było ciągle pilnować dachu, aby zmienić na czas słomiane poszycie. Wewnątrz lepianki leżały rzucone na ziemię dwa stare kawałki wojłoku wyrudziałe ze starości. Na ziemi ustawiony był szereg puszek po konserwach, różnej wielkości, starannie wymytych. Zastępowały garnki, kubki, talerzyki i szklanki.

Z niewielkiego ogniska unosił się gorzki, sinawo zielony dym, gdyż obiad gotowano na wysuszonym nawozie. Innego opału nie było. W rogu były złożone dwa pocerowane koce.

Tak krzyczącego obrazu nędzy nie można sobie wymyślić. Nędza od wielu, wielu lat żyła w tej lepiance. Życie ludzkie upływało wśród gołych glinianych ścian bez wszelkiej nadziei na jakąkolwiek zmianę. Zmienić coś mogła tu tylko śmierć. A wtedy właściciela tych koców i puszek po konserwach złożą do trochę ciaśniejszej glinianej skrzynki i na tym wszystko się skończy.

Dzieci gospodarza przyglądały się nam z wielkim zaciekawieniem. Ponieważ w lepiance nikt nigdy nie widział żadnych książek, nasze odwiedziny zastępowały tym dzieciom ciekawie opowiedzianą bajkę, czy też sztuczki ulicznego fakira.

Zrobiłem dwa kroki w głąb lepianki i zobaczyłem na ścianie jakąś fotografię Trudno było zobaczyć ją dokładnie, gdyż w tam tym kącie było zupełnie ciemno. Zapaliłem zapałkę. Przede mną na ścianie zupełnie nagiej wisiała wycięta z jakiejś gazety fotografia Stalina.

Było to tak zadziwiające i tak niespodziewane, że zapytałem gospodarza:

— Skąd masz tę fotografię?

Nie młody już i pół nagi Pakistańczyk przesunął ręką po twarzy jak gdyby na znak szacunku i skubiąc swą szczeciniastą bródkę nie spiesząc się, powiedział:

— Wyciąłem ją z gazety „Imroz“. To fotografia Stalina.

— Wiem kogo przedstawia. Ale powiedz mi, czy umiesz czytać, czy przeglądasz gazety?

— Nie — odparł tamten — czytać ja nie umiem. Nie potrafię przeczytać tego, co piszą w gazetach O tym mówią mi inni. Ale wiem, kto to jest Stalin i czasami rozmawiam z nim...

— A jak z nim rozmawiasz?

— Mówię mu, kiedy jest mi bardzo ciężko: „Czy widzisz, jak my żyjemy? Czy ludzie mogą tak żyć?“ A on mi odpowiada: Widzę i wiem. Poczekajcie trochę. Wszystko będzie inaczej!“ Ja mu na to powiadam: „Wierzę ci! Gdybym nie wierzył, dawno bym skończył z tym moim nieszczęsnym bytowaniem“. Tak, ja w to wierzę. Wierzę, że oni — tu wskazał dzieci — oni żyć będą inaczej, zupełnie inaczej!

Przełożyła **Irena Tuwim**

MIROSŁAWA ŁOJEWSKA i IRENA SCHEUR

W KRĘGU PAWŁOWIC... W KRĘGU SZKOŁY ŚWIETLICOWEJ

GMINNA Rada Narodowa mieści się w Sędziszowie — małym miasteczku kieleckim. Wyniosły kościół, kilka odrapanych domków, kilka chałup pochylonych ku ziemi.

— Jest u was kulturalno-oświatowy kierownik?

— Właściwie nie ma, chociaż jeden taki młodzik, dopiero co przybył, ale jeszcze się w terenie nie orientuje. Poprzednik nie znał się na kulturze, przenieśliśmy go do wydziału wojskowego.

— A ten, co jest, skąd się wziął?

— Ze szkoły zawodowej w Sędziszowie.

— *A wychowankowie z Pawłowic?*

— No, są — jeden w POM-ie, drugi w GS-ie, obaj w biurowości.

Brzmi to wszystko nieprawdopodobnie. Wychowankowie szkoły świetlicowej w Pawłowicach nie przy swojej robocie? Jakże to?

Pytamy o świetlice gromadzkie Ani jednej czynnej. Zespoły artystyczne? Ani jednego. Czytelnicze? — ta sama odpowiedź. Co się tu dzieje? Może nasi rozmówcy nie znają po prostu terenu?

Do widzenia, panowie biurokraci idziemy do Pawłowic, na wieś!

×

A oto i wieś malowniczo rozłożona na wzgórkach. Już z dala widać kremowy, dawny pański dwór.

Ziemie tu na ogół dobre, przeważa zdecydowanie III klasa, trafia się dobra rędzina, trafia i lichy gatunek bielicy. Mimo tego powiat jędrzejowski nie należał w latach przedwojennych do bogatych. Jakże tu nie wspomnieć dramatycznych w swej wymowie cyfr: na każde 100 ha ziemi ornej przypadało 323 chłopów, podczas gdy 48 rodzin obszarniczych posiadało 20.228 ha! Straszliwy w tych stronach głód ziemi rozładowała z jednej strony reforma rolna, z drugiej szybko postępujące uprzemysłowienie.

W gminie Sędziszów przeważają wyraźnie średniacy. Dwa największe gospodarstwa liczą 12 i 14 ha, reszta waha się od 4 — 8 ha. Chłopi uprawiają żyto i pszenicę, z roślin przemysłowych głównie burak, ale nie brak też lnu, rzepaku i rzepiku. Duże dochody czerpią z uprawy tytoniu. Tradycje hodowlane rozwinęły się niedawno, dopiero w roku 1950. Dotąd 1 — 2 świnie na gospodarstwo stanowiły przeciętną, obecnie — 5 świń. Gorzej z hodowlą krów i mlekiem. Gmina nie posiada łąk, paszy stale brakuje. 45 proc. wykonania planu dostawy mleka ma swoją wymowę. Zboże odstawili chłopi w 90 proc., żywiec w ponad 70-ciu, lecz ziemniaki tylko w 31 procentach. Tak to się dzieje w skali całej gminy, choć nie brak oczywiście gromad przodujących, jak Lipie czy Piołunka. Same Pawłowice zbliżają się też do przodujących gromad.

Problem narzuca się z miejsca. W zakresie upraw pracochłonnych stoją chłopi gorzej. Nie zdołali poradzić sobie z wykopkami kartofli (powtarzamy — gmina odstawiła je zaledwie w 31 procentach!) ten i ów opóźnił wykopki buraków. Dlaczego tak się stało?

Przeglądamy wykaz pracujących poza rolnictwem w gromadzie Sędziszów. Na 380 gospodarstw tylko 4 nie zatrudniają członków rodziny w przemyśle. W gminie mieszka 6.239 ludzi, ale z tego w dużych warsztatach kolejowych w Sędziszowie pracuje około 1000 ludzi, do Kielc, Chęcin, Jędrzejowa i Wodzisławia jeździ codziennie do pracy prawie 3000 młodych. Stąd brak rąk do pracy na roli, groźny zwłaszcza wtedy, gdy źle funkcjonuje pomoc sąsiedzka. POM i GOM-y. A w sędziszowskiej gminie nie najlepiej z tymi sprawami.



Z tych danych wynikałoby — tak rozważałyśmy, wędrując do Pawłowic — że tutejszy średniak jest „otrzaskany w świecie". Młodzież uczy się w kilku miastach, starsi pracują na kilkunastu budowlach, a już pracownicy kolejowi — ci widzieli i Nową Hutę, byli na Śląsku i w naszych nadmorskich portach. Ich szerokie kontakty społeczne, bogate w doświadczenia i wrażenia życie może i powinno być zużytkowane dla ożywienia kulturalnego życia gminy. Jakże mają kapitalny materiał do gawęd o tym, jak się przemienia kraj, jak w rozmaitych stronach żyją ludzie!

Tymczasem?

14 gromad sędziszowskiej gminy posiada zaledwie 2 świetlice, z tego jedna należy do kolejarzy, druga mieści się w Pawłowicach. Te 14 gromad posiada do dyspozycji zaledwie 2.518 książek, rozrzuconych po 6-ciu punktach bibliotecznych. A stałych czytelników... 314 na przeszło 6000 ludzi! Żadna gromada nie brała dotąd udziału w Konkursie Czytelniczym ZSCh. Istnieje praktycznie tylko jeden zespół czytelniczy w Książnikach, składający się z byłych analfabetów, dwa inne to po prostu szkolne dzieci, czytające wspólnie lekturę.

Informacje z GRN okazały się więc w znacznej mierze prawdziwe. Ale w takim razie co sądzić o słynnej przecież Szkole Świetlicowej, która mieściła się do niedawna w Pawłowicach, ostatnio rezyduje w Rożnicy (10 km. dalej. Dlaczego pod okiem „studiujących świetlicowców nie ożywiły się świetlice w okolicznych wsiach? Dlaczego nie ma tu zespołów artystycznych?

×

W Pawłowicach napięcie nasze wzrosło, choć obserwacje i rozmowy żadnego rozwiązania nie przyniosły. Przeciwnie — zaostrzyły problem, uczyniły go jeszcze bardziej dramatycznym.

Tutaj spółdzielnię produkcyjną próbowano zakładać dwa razy Zaangażowała w walce o nią swój autorytet Szkoła Świetlicowa. Wychowankowie ruszyli w teren z „Cichym Donem", ale ta literacka metoda zakładania spółdzielni nie poskutkowała. Chłopi posłuchali fragmentu, poczym przestali przychodzić do świetlicy. Było to w roku 1950.

Spółdzielnia powstała dopiero w dwa lata później Chętnych spośród fornali znalazło się 6-ciu, z chłopów nie przystąpił nikt. Wtedy to szkoła oddała swoje 32 ha i 8-miu wychowanków, sama zaś przeniosła się do sąsiedniej gminy.

— Jak nazwać taką metodę zakładania kolektywu?

Kierownik spółdzielni ob. Rosół nie wie jak ją nazwać. Twierdzi natomiast, że akcja werbowania ludzi właściwie od początku leżała, a dziś kiedy ludzi mało, a pracy dużo, jakże znaleźć czas na agitację?

— Pokażcie no tę ósemkę wychowanków?

Rosół uśmiecha się smutno i powiada, że ósemki już nie ma, poszła za szkołą do Rożnicy, wbrew statutowi, wbrew zobowiązaniom. Oświadczyli, że sobie życia na węzełek zawiązywać nie będą, muszą się dalej uczyć... Odeszli tuż przed zbiorami...

— Nie mogliście to prosić szkoły o pomoc?

— Mogliśmy i słaliśmy prośby, ale akurat przygotowywali akademię październikową, więc trochę kartofli i buraków doczekało się mrozu...

Wyczuwamy w głosie przewodniczącego gorycz. Zmierzcha już. W świetlicy płoną światła. Świetliczanka, wychowanica szkoły, prowadzi właśnie korowód dzieci.

— Tak se niańczy małe dzieci, ja tam chciałbym książek politycznych, a towarzysze rolniczych, ale nie z nią o takich sprawach gadać.

Rosół wypowiedział te słowa nad podziw gwałtownie i dodał cicho:

— A światła w oborze jak nie ma tak nie ma, trza się zabrać do agitacji, bez ludzi nic nie zrobisz. Tylko, że nas te ziemniaki i buraki położyły w opinii gromady.

Nie mogłyśmy zasnąć tej białej nocy...

Rożnica, nowe miejsce Szkoły Świetlicowej. Piękny piętrowy gmach, jasne, obszerne sale wypełnione gwarem 120 młodzieży. Miałyśmy wrażenie, że znalazłyśmy się na jakiejś szczęśliwej wyspie z dala od trudnych problemów pawłowickiej spółdzielni. Witano nas wylewnie, rzecby można z... *piastowską gościnnością*.

Wysłuchałyśmy uważnie godzinnego montażu literackiego, poświęconego Rewolucji Październikowej i przyznaję — byłyśmy zachwycone Gwałtowne sceny z walk rewolucyjnych łączyły się harmonijnie z wierszem i pieśnią. Nie dziwić się, że kielecka publiczność zachwycała się występem, a miejscowa prasa wynosiła pod niebiosa zespół, dodając na kredyt, że szczęśliwi ci, którzy mogą organizować własne życie kulturalne przy pomocy takich świetlicowców...

Ale w tym zachwycającym obrazie poczęły się zjawiać pierwsze skazy, kiedy podjęłyśmy rozmowy z młodzieżą o jej planach życiowych. Z jakim to zapałem będą mówić o swojej przyszłej pracy kulturalnej w terenie... Tego oczekiwałyśmy. Tymczasem... Ormon Stefan i Michalak Henryk pragną zostać działaczami politycznymi w aparacie partyjnym. Inny odciąga nas na bok i dopytuje się, czy nie mogłybyśmy mu pomóc w dostaniu się na medycynę. Padają zapowiedzi — akordeonista, śpiewak operowy, nawet inżynier, Zawadzka Stanisława chciałaby dostać się do „Mazowsza"; tylko dwu myśli o pracy bibliotekarza i świetlicowca.

Jakże tu jest w końcu? Program nauczania... ten wreszcie rzucił pierwszy snop światła na kiepską sytuację kulturalną sędziszowskiej gminy.

Oto szkoła pawłowicka dubluje normalną podstawówkę. Jest tu po szkolnemu potraktowana historia literatury, jest fizyka i chemia, matematyka i biologia, słowem, skrócony kurs średniej szkoły ogólnokształcącej. 40 najbardziej zaawansowanych wychowanków przygotowuje się pilnie do złożenia matury przed państwową komisją (odpowiednich bowiem uprawnień grono padagogiczne z Rożnicy nie posiada).

Stąd więc ów pęd do dalszego uczenia się w rozmaitych kierunkach, skoro Szkoła nie ma własnego... *właśnie świetlicowego*.

Popołudnia, owszem, popołudnia spędzają wychowankowie szkoły na zajęciach świetlicowych. Można tu usłyszeć dobry chór, doskonałych deklamatorów, podziwiać talenty młodych aktorów.

Ale... gdybyśmy mogli w tych synach i córkach chłopów małorolnych widzieć organizatorów życia artystycznego wśród mieszkańców okolicznych wsi — szkoła miałaby oczywiście zdecydowane oblicze. Tak jednak nie jest.

Są oni przede wszystkim utalentowanymi odtwórcami. Zespół pedagogiczny, a raczej jego dusza — dyrektor Babinicz wybiera repertuar, inscenizuje teksty literackie, dobiera wiersze a nawet piosenki. A dalej?

Postawiłyśmy takie pytanie:

— Czy w wasz repertuar wprowadzacie ludzi, konkretnych ludzi z okolicy, np. czy atakujecie poprzez satyrę, krótki obrazek sceniczny kułaków, opornych chłopów, czy zacofanych uparciuchów?

Pytanie to wywołało konsternację. Atakować miejscową biurokrację, wspierać konkretnie bohaterskich, przodujących chłopów? Nie, tego nie było. Starczą teksty, mówiące *ogólnie* o sprawie postępu i walce o sprawiedliwość społeczną. Nikogo się przez to nie zadrażni.

Pytamy o okoliczne gromady, ich życie kulturalne, chcę choćby w ten sposób ustalić związek młodzieży z terenem. Nowe rozczarowanie. Doprawdy, bez przesady, po kilku miesiącach pobytu prawie nic nie wiedzą o terenie, w którym występują. Żaden z młodych nie umiał pokazać na mapie gminy miejsc zdobytych i do zdobycia dla bogatszego życia kulturalnego.

Przybyszowi pokazuje się w kronice zapisane głosy chłopów z rozmaitych gromad. *„Bardzo nam się podobało"... „przyjeżdżajcie do nas". „kiedy zobaczymy was znowu"*. Te głosy uznania wystarczają i młodym i pedagogom.



To mało! Przecież po każdych odwiedzinach zespołu gromada pogrąża się w pustkę kulturalną i jeszcze bardziej czuje się bezradna wobec imponującego chóru, wobec „prawdziwych" aktorów.

Przeglądałyśmy listy do Dyrektora pisane przez byłych wychowanków z różnych części kraju. Niektóre z nich są smutne, mówią o osamotnieniu. *„Nigdzie już nie spotkałem takiej rodzinnej atmosfery, jak w Pawłowicach", „czuję się jak zbity pies", świat jest taki podły"* – oto wyjątki.

✻

Najpogodniejszy wieczór spędziłyśmy w spółdzielni produkcyjnej Różnica, sąsiadującej o miedzę ze szkołą. Istnieje już trzy lata. Jest to dobra, okrzepła gospodarczo spółdzielnia. Przoduje na cały powiat w wykonywaniu obowiązków wobec państwa. Sprowadzili właśnie bydło zarodowe, ruszą z hodowlą krów w przyszłym roku. Bogata pasieka, sad owocowy, dużo warzyw.

Ale uderzyło nas co innego u spółdzielców. Oto indywidualni chłopi wyrażają się o nich z uznaniem.

— Pani kochana, co będzie z ich gospodarką, to się jeszcze pokaże, ale że dobre ludzie to powiem uczciwie. Tak nam ziemie sprawiedliwie zamienili, że nikt narzekać nie może. A jak pomagają! Bo to same majsterki — stolarza tam znajdziesz, zduna, cieślę, ślusarza. I zęba wyrwą i bronę zreperują. A wszystko darmo.

Schodzą się spółdzielcy. Jest ich w sumie 30 tu. Padają pod naszym adresem pytania, co tam w świecie, jakie książki najnowsze warto przeczytać.

Starsi wspominają lata strajków chłopskich. Połowa spółdzielców brała w nich udział. Jakiż piękny temat do opracowania świetlicowego! Przecież sam pan Zbyszewski, dziedzic ze Słupi, fatygował się po policję do Sędziszowa i podarł na strzępy wiersze poety z tych stron Mariana Kubickiego „Pieśni bose".

Ktoś przyniósł partyzancki Krzyż. rozmowa potoczyła się o latach walki chłopskiej z faszyzmem. To znowu odczytano mi pismo pochwalne za patriotyczny stosunek w wykonywaniu obowiązków wobec państwa.

✻

Do Pawłowic pojechałyśmy pod wpływem artykułu dyr. Babinicza, drukowanego we „Wsi". Przedstawiał Szkołę jako kształcącą świetlicowców. Okazało się, że tak nie jest. Wychowankowie w większości chcą tu albo zdobyć maturę, albo wyfrunąć do rozmaitych zawodów, najmniej do... świetlic gminnych czy gromadzkich. Świetlicowa praca kształci tu w najlepszym razie „artystów" - odtwórców w granicach ograniczonego repertuaru.

Nie kształci natomiast *organizatorów* świetlic i życia kulturalnego wsi. Takie zaś Szkoły są potrzebne. Kolejarze Sędziszewscy, Rosół z Pawłowic, spółdzielcy z Różnicy to aktyw bogaty w doświadczenia w ostatecznym bilansie — kulturalne. Ale doświadczenia te nie są wykorzystane w sposób zorganizowany dla świetlicy dla rewolucji kulturalnej na wsi. Czyż dla wychowanków Szkoły Świetlicowej okoliczne gromady nie powinny stanowić właściwej „szkoły ćwiczeń ? Tu w aktywistach i działaczach mają materiał na „artystów" i współtwórców miejscowego życia świetlicowego. Tu mają konkretne tradycje walk klasowych i określone warunki z których wynika konkretna strategia przemian co do zakresu, stopnia i tempa.

I ludzi i spraw miejscowych świetlica pomijać nie może.

Wychowanie świetlicowca tym bardziej, bo winien on być *organizatorem i reżyserem, politykiem i ogrodnikiem rozwijającej się kultury wsi.*

Mirosława Łojewska i Irena Scheur

MIECZYSŁAW INGLOT

„BORSUKI" LEONOWA

„BORSUKI" Leonida Leonowa *) ukazały się po raz pierwszy w r. 1924. Poświęcone zasadniczo podobnym zagadnieniom, wyprzedzają o parę lat pierwsze tomy „Cichego Donu" Szołochowa i „Drogi przez mękę" Aleksego Tołstoja. Głównym tematem książki są dzieje różnego typu „posiadaczy", a przede wszystkim dzieje wahań chłopskich — już w okresie pierwszych lat władzy radzieckiej, wahań między burżuazją a proletariatem. Ten zasadniczy temat książki Leonow opracował na zasadzie przeciwstawienia sobie historii dwóch braci, których losy najlepiej ilustruje umieszczone na początku utworu motto:

„Żyli — byli
Dwaj bracia rodzeni;
Jedna matka ich karmiła —
Szczęściem równym obdarzyła:
Bogactwem jednego,
Ubóstwem drugiego".

Obaj bracia emigrują jeszcze przed rewolucją ze wsi do miasta w poszukiwaniu pracy. Tutaj drogi ich się rozchodzą: Sienia staje się pracowitym subiektem; Paweł buntuje się przeciwko wyzyskowi i brutalności pryncypała. Dalsze dzieje ich przemian — szczególnie Pawła — zostały ukazane dosyć szkicowo. W każdym bądź razie Sienia nigdy nie staje się bogaczem; w jego postaci chciał Leonow ukazać raczej wahania psychiczne, obciążenia świadomości chłopa, którego interesy ciągną do władzy radzieckiej, a którego nadmiar wahań płynących z ciemnoty, niedojrzałości, zacofania, długoletniego przyzwyczajenia spycha w końcu — zresztą na krótki okres czasu — na pozycje kontrrewolucyjne. Wahania te wzmaga jeszcze zdecydowanie okoliczność, że rozwijają się one w okresie komunizmu wojennego, ściągania przez władzę radziecką nadwyżek żywnościowych, w czasie, gdy, jak mówi „Historia WKP(b) — *„Cały system komunizmu wojennego, jak zaznaczał Lenin, zaczął kolidować z interesami chłopstwa"*. Leonow — wokół tego głównego tematu — kreśli szeroki obraz życia przedrewolucyjnej Moskwy drobnych kupców, obraz dążeń i zmagań wsi w pierwszych latach rewolucji. Niestety, główne niedociągnięcie powieści, które nawet sprawia, że w wielu miejscach jest ona trudno czytelna, stanowi ekspresjonistyczna maniera pisarska, nadmiar arealistycznych elementów w kształtowaniu obrazu rzeczywistości. Powieść Leonowa bowiem, to jeden z wcześniejszych utworów literatury radzieckiej, kiedy nie ukształtowały się jeszcze w pełni zasady teoretyczne realizmu socjalistycznego. Z drugiej zaś strony Leonowowi zabrakło jeszcze politycznego i ideowego wyrobienia Furmanowa, Serafimowicza czy Fadiejewa, którzy już na początku lat 20-tych tworzyli dzieła realizmu socjalistycznego. Leonow w „Borsukach" poddał się szkodliwym wpływom literackim, żywym jeszcze od okresu dekadencji po upadku rewolucji 1905 roku. Pomniejszyło to w wielu miejscach wartość ideową i artystyczną powieści, która dotyka przecież tak istotnego tematu politycznego.

W pierwszej części swojej powieści kreśli Leonow obraz owej przedrewolucyjnej, jak ją nazywa Gorki, *„ołowianej ohydy życia rosyjskiego"*. Pod jej znakiem toczy się przed r. 1917 życie kupieckiej dzielnicy moskiewskiej Zariadie; uzyskujemy w ten sposób jakby uzupełnienie I tomu „Drogi przez mękę" Aleksandra Tołstoja, gdzie została ukazana inna część *„ohydy"* ówczesnego życia rosyjskiego — bytowanie liberalnej inteligencji. Przez karty powieści Leonowa przepływa brudny i ponury dzień, *„nawet słońce o tej porze nad mroźnymi mgiełkami Zariadia wygląda jak rozpalona do czerwoności przez mróz dziesiątka"*. Oszustwami i podstępem zdobywają kupcy rosyjscy majątek skrzętnie przechowywany w zakratowanych, nie otwieranych od lat ze strachu przed złodziejami mieszkaniach. Na kartach powieści posępne Zaradie żyje jakimś odrębnym, niemal zwierzęcym życiem — z dala od głównych konfliktów epoki. W ujęciu Leonowa Zariadie wydaje się często jakimś egzotycznym rezerwatem dziwacznych postaci, chociaż nieraz udaje się pisarzowi w sposób zdecydowanie realistyczny zarysować ponure zdziczenie i bestialstwo „posiadaczy", okrutną nędzę wyzyskiwanych. Często też gmatwanina drobnych postaci przesłania wielkie typowe charaktery— ginie „prawidłowe odbicie epoki. Nieprzemyślane wprowadzenie nieshierarchizowanych wątków, oto główny zarzut, jaki możemy za krytyką radziecką, postawić autorowi w pierwszej części powieści. Z podobnym zresztą ukształtowaniem materiału, choć może mniej już rażącym, spotykamy się w następnych dwóch częściach powieści.

Część druga i trzecia obejmuje inne lata i inny teren. Wieś podmoskiewska z okresu ustanawiania władzy radzieckiej, konflikty z okresu komunizmu wojennego stają się przedmiotem zainteresowan autora. Leonow przygotowuje się do tematu bardzo starannie. Opowiadanie o buntach chłopskich w r. 1905, pobyt głównych bohaterów na wojnie, historia dwu wsi z okresu pańszczyźnianego — wszystko to stanowi materiał dla opisu wypadków współczesnych. Ale i tu, niestety, wadliwe wykonanie i interpretacja przedstawionego obrazu powoduje skrzywienie właściwego stosunku do kontrrewolucyjnego wystąpienia „borsuków". Bo wieś Wory Leonow traktuje jako całość. Łączy ją bez reszty rzekomo solidarność wobec wszystkich „obcych", solidarność, u źródeł której tkwi wspólna walka o łąki, przydzielone innej wsi przez obszarnika jeszcze za czasów pańszczyźnianych. Wśród niekończących się konfliktów znika nagle główna ich przyczyna — obszarnik Swiszylin. Gusaki — pokrzywdzona wieś — łączą się z władzą radziecką tylko dlatego, aby odebrać Worom łąki. Wory nienawidzą dlatego tylko tej władzy. Znikają nagle tradycje wspólnych walk przeciwobszarniczych z r. 1905. Leonow rysuje tutaj rzekomo „odwieczną", solidarną nienawiść chłopa do „miasta", którego zagłada ma przynieść mu ocalenie: *„Na zachodzące zdarzenia patrzyli chłopi własnymi oczami. Dla chłopa wyglądało to tak: Gusaki odebrały Zinczyną łąkę, Gusaki są radzieckie. Jedna połowa miasta chwyciła drugą za gardło. Chłop czekał: może od tego rujnującego rwetesu miasto całkiem rozsypie się w gruzy? Resztę puściłoby się z dymem — dopieroż pokrzywy zaczną obrastać zgliszcza! Chłop zmrużonym okiem mierzy odległość do dnia, kiedy jego skrzypiąca socha zaorze miejsce po plugawym mieście."* W tej formie wyrażała się nienawiść do klasy robotniczej i niesionych przez nią przemian. Zastanówmy się jednak: chłop — dobrze, ale jaki chłop? Bo chyba nie biedniak, który od początku szedł za władzą radziecką i nie średniak, którego przejście na stronę rewolucji w r. 1917 stało się jedną z przyczyn jej zwycięstwa? W tym solidarystycznym traktowaniu wsi, zbuntowanej rzekomo przeciw „miastu", tkwi główny błąd ideowy Leonowa, który nie potrafił do końca rozszyfrować maski „antymiastowych" wystąpień

Zbuntowana wieś łączy się z „zielonymi". Jest to anarchistyczny, kontrrewolucyjny ruch, który w historii buntów antyradzieckich rysuje się jako bunt o zabarwieniu wyraźnie kułackim. Nie widać tego w powieści. „Borsuki" występują przeciwko wszystkiemu co „miejskie"; solidaryzują się z nimi wszystkie okoliczne wsie. W obrazie jednak działalności zarytych w norach leśnych „borsuków" zwycięża w Leonowie realista. Nie umiejąc w pełni odcyfrować klasowej genezy „anarchizmu chłopskiego" (później ukaże to Tołstoj na przykładzie atamana Machno) Leonow ukazuje, że każdy ruch skierowany przeciwko władzy radzieckiej jest od podstaw reakcyjny — i tego nie przesłonią żadne frazesy. Z tym oczywiście, że Krasnow i Denikin walczą o swoje obszarnicze majątki, a zieloni „bohaterowie" Sieni Rachlejewa o syte życie bez pracy. Organizacja o „ideowym" zabarwieniu przekształca się w zwykłą rabunkową bandę, obracającą się nawet wśród grabieży przeciwko rodzinnym wsiom. Taka jest logika historii; przypomnijmy dzieje bandy Fomina z „Cichego Donu" Szołochowa.

Książkę zamyka mocny obraz rewolucjonisty Antona. Anton — to dawny Paweł, który z subiekta, pracującego w poniżeniu i drżącego o pańskie dobro przekształca się w bolszewika. Niestety, jak już wspomniałem, w powieści zabrakło obrazu tej nadzwyczaj ciekawej przemiany społecznej Antona pokazuje nam autor od razu jako człowieka, który w zupełności zrzucił nie tylko imię, ale i skórę Pawła Pamiętamy Pawła jako brata Sieni z lat przed rewolucją. Ponury, zaharowany sługa z oczyma wlepionymi w ziemię; człowiek o charakterze skrytym i nieufnym. Teraz Anton to nie tylko śmiały dowódca, ale jednocześnie wysoce ideowy działacz partyjny. Prostota i stanowczość obejścia odróżnia go od krzykaczy i zarozumialców z powiatowego komitetu miejscowej organizacji partyjnej, którzy swoim nieudolnym postępowaniem często budzili nieufność wśród chłopów.

Siła i prawda władzy radzieckiej, uosobione w postaci Antona, przekonują w końcu Siemiona. W jego uszach długo dźwięczą słowa brata wyrzeczone na spotkaniu w lesie „borsuczym": *„Nie-e, bez nas drogi nie ma dla wsi, sam się przekonasz I nie ja cię potępiłem... ciebie samo życie potępia. I mówię ci po prostu — ja twoją garstkę rozewrę. My organizujemy, że tak powiem, proces przyrody, a ty nam zawadzasz..."* Wiosennym wieczorem spotkał się z bratem w rodzinnej wsi Siemion, którego opuścili sprzymierzeńcy „potępiło życie": *„Przyszedłem ci powiedzieć, żeś chyba miał rację dziś rano... tam, w lesie"*.

Słowa Siemiona, zrywającego z wrogami ludu, decydują o wartości utworu Leonowa. Ukazując nieuniknione zwycięstwo władzy rad. stają się „Borsuki" wyrazem jej fundamentu — sojuszu robotniczo - chłopskiego Leonow ukazuje historyczny triumf tej jedynie słusznej dla wsi drogi i w tym tkwi największa wartość powieści.

Mieczysław Inglot

*) *Leonid Leonow, Borsuki „Czytelnik", 1952, tłum. Jan Witkowicz.*

WOJCIECH DRYGAS

JEDEN ŚREDNIAK SPOD ŁOWICZA, DRUGI SPOD WIELUNIA

POCZĄTKOWO nic nie zwiastowało, że chłopi, którzy mnie otaczali i wierzyli w ziemię złą, lub dobrą, szczęśliwą lub nieszczęśliwą, zapamiętają stokroć więcej, niż tylko piękno krajobrazu Ziemi Wałbrzychskiej, oglądanej z wysokości piastowskiej warowni na Książnie.

Poznawaliśmy się ze sobą z pewnym trudem, jeśli wziąć pod uwagę okoliczność, że w wielu z nich pozostał trujący jad propagandy kułackiej. Postanowiłem więc ograniczyć się chwiliwo do pobieżnych obserwacji i nie wybiegać zanadto w przód. Wystrzegałem się teraz pytań, pamiętając, że i tak nie minie mnie chwila, kiedy zapytam: „I cóż wy teraz na to?" — i że ta chwila zadecyduje o wszystkim.

Było ich siedemdziesięciu pięciu z powiatów: Łowicz, Sieradz, Wieluń.

Pod koniec pierwszego dnia wycieczki widziałem już coś więcej aniżeli tylko rozmaite twarze ludzkie z krótkimi czy długimi nosami, z burymi czy niebieskimi oczami, z wąsami czy bez wąsów — z zaciętością ponurą ust czy w pół rozchylonych na kształt uśmiechu. Nie prędko jednak zdałem sobie z tego sprawę, bo — co tu owijać w bawełnę — zmyliła mnie lista. Imienna lista wycieczkowiczów z podaniem nazw wsi i ilości posiadanych przez każdego z nich hektarów. Z listy wynikało, że mam do czynienia z centralnymi figurami układu klasowego wsi — **ze średniakami.** A więc bitwa o średniaka? Niewątpliwie tak! A jednak, rzecz zdumiewająca — tych wszystkich chłopów średniorolnych, stojących na tej samej platformie klasowych więzów, krwi, przyzwyczajeń i — jak z góry osądziłem — gospodarczych możliwości, coś jednak różnicowało dialektycznie. Rzekłbyś nie bez kozery: średniak średniakowi nie równy! I to było już pewne odkrycie, pewien ślad cienki jeszcze jak niteczka. Bardzo cienki i, jako żywo, trudny do odszyfrowania. Bo jakież to mogą być te różnice, których z twarzy i ilości hektarów nie wyczytasz?

* * *

Najpierw pojawiły się chlewnie i obora. Trzy długie czworoboki opasane czerwonymi ścianami nowej cegły. Pośród nich podwórzec, nasycony dostojeństwem gospodarskiego ładu i dostatku. Znalazł w nim swój wyraz zdrowy rozsądek, podniesiony do godności cnoty głównej. Tak jest, rozsądek i rządność, w każdym szczególe podległe rozwadze, czy to w racjonalnym ustawieniu ogumionych wozów i maszyn rolniczych pod dachem remizy, czy też w sposo-



bach, jakimi ciężką pracę fizyczną zastąpiono tutaj prostym urządzeniem dźwigowym do przenoszenia koszów z paszą dla bydła lub wyciągami obrotowymi, które same wywożą z obory i nakładają na wozy parujący obornik. Mechanizmem kieruje dłoń kobieca.

Nigdy nie zapomnę tego zadyszanego pędu, tej żarliwej gonitwy poszukiwań, która towarzyszyła chłopom przy zwiedzaniu spółdzielczego obejścia. Oto długie zamyślenie kobiet z Wieluńskiego nad boksem z maciorą-olbrzymką, ssaną przez 6 zdrowych prosiąt. Oto milczący zachwyt chłopów spod Łowicza, którym nie uszła uwagi krzepkość rasowa cieląt z zimnego chowu. Opodal znowu mieszana grupa wycieczkowiczów pochyla głowy nad wykazem dziennych udojów. Przeciętna wydajność od sztuki 22 litry mleka. Można długo wyciągać szyję, liczyć litr po litrze i nic nie rozumieć. Dwadzieścia dwa litry? Toteż pomimo milczenia nierozwiązanych jeszcze języków, mimo pozornego spokoju — panował tutaj dramat.

Przeciskając się śród ciżby w wąskich przejściach między stanowiskami dla zwierząt i ja szukałem racji dla swojej „teorii zróżnicowań". Tropiłem więc za rozmowami średniaków ze spółdzielcami. Wreszcie ujrzałem zielony płaszcz z kunim kołnierzem Bronisława Pazia, a raczej jego długie ręce rozkołysane jak cepy w żarliwej gestykulacji. Rozmawiał z barczystym wąsaczem Franciszkiem Woźniakiem — przewodniczącym spółdzielni. Podsunąłem się ku niemu bliżej. Paź przeciął powietrze dłonią i powiedział:

— Nie przemawiam za tym ani przeciwko temu. Ale my w Łowickim opieramy się na czymś innym. Wiecie co to jest? Wybór najdzielniejszych gospodarzy! Wybór wybitnych! Jakżebyśmy się mogli wybijać, gdyby nie było tych, nad którymi moglibyśmy się wybijać? Dzięki Bogu, tacy u nas są. Można się wybijać nad nich. I to się nazywa zahartowanie. A jak wam się zdaje, ile kosztuje należyte zahartowanie? Nie ma się go przecież z natury, trzeba za nie zapłacić. Człowiek nie rodzi się przecież rentowny od samego początku. Gospodarstwo takoż...

Przewodniczący pociągnął nosem:

— No tak... — zamyślił się — zahartowanie... U nas to się nazywa **współzawodnictwo.** Ale nie wybijamy się dlatego, że są od nas słabsi, lecz po to, aby wyrównać siły z mocniejszym. Słabszych wyciągamy za uszy do naszego poziomu, ułatwiamy im pracę, no i w ogóle... Osiągnięcia pewne już są...

— Macie na myśli te socjalne, czy jak im tam? Ale dom kultury to i my mamy. Może nie taki duży, ale jednak mamy. Przedszkole można by i u nas urządzić. Są przecież budynki, nikt z nich nie korzysta. A radiowęzeł? Kino? — poskrobał się za uchem i zaraz znalazł odpowiedź: — I my, na indywidualnym doczekamy się tego. Trza tylko cierpliwie czekać. Za to, co pod względem gospodarki, nie powiem, podoba mi się tutaj, ale coś mi się zdaje, że nas nie bijecie. Zresztą sprawdźmy. Ja wszystko sprawdzam z ołówkiem, wedle tego przysłowia co to mówi: „Nie wierz gębie, aż położysz na zębie"!

— Ano liczmy w takim razie... — Woźniak podał Paziowi ćwiartkę papieru, Paź wyjął z kieszeni ołówek. Ten zamożny średniak był oblatany w ekonomii cyfr jak mało kto. Znać w nim było człowieka, który potrafi pożądać konkretnych dóbr materialnych. Z wyliczeń Pazia wynikało, że w rodzinnej wsi — w Bolimowie, wypada przeciętnie na gospodarstwo po 5 tuczników oraz 3 krowy. Wieś zamożna, ziemia pierwsze i drugiej klasy. Średnia wydajność z hektara w uprawie pszenicy 20 q, żyta 16.5 q, jęczmienia 18 q, owsa 22 q, a więc wyższa od przeciętnej w pow. łowickim o dobre 2—3 q. Pomógł im siew rzędowy, racjonalna gospodarka obornikiem, dobrze wykonana orka. Takim to trudno czymkolwiek zaimponować.

Po drugiej stronie rachunku stanęły w zwartym ordynku — bojowymi kolumienkami — cyfry gospodarki spółdzielczej w Szczawienku: 227 sztuk trzody chlewnej (140 tuczników dostarczyli we wrześniu i październiku państwu), 105 sztuk bydła. Hektar odrzucił im w tym roku: 23 q pszenicy, 16 q żyta, 18 q jęczmienia, 26 q owsa.

— Policzymy na każdy łeb — zaproponował Paź. — Ilu macie członków?

— Czterdziestu trzech!

Pochylili się nad rachunkami, dzielili, mnożyli, dodawali... Woźniak nie mówił wiele, raczej potakiwał. Wreszcie Paź wyprostował swą postać w prostopadłą linię dostojeństwa i wyższości. Wyliczył nie mniej nie więcej, jeno po 5 tuczników i 2,5 krowy na głowę poszczególnego członka spółdzielni.

— Ot, co! — zawyrokował triumfalnie. — Bijemy was w hodowli o jedną świnię i pół krowy. To znaczy, że my bardziej **towarowi?** — błysnął zębami. — Że średniacy górą? Hę?

Któż to właściwie jest ten średniak zapatrzony w iedeał kułaka? Oto — przypomniałem sobie — mam przed sobą chłopa gospodarującego w jednym z najbogatszych powiatów w Polsce — w Łowickiem. Powiat leżący w zasięgu dwóch wielkich rynków zbytu.

Na oficjalny rynek Paź pojedzie do Łodzi, czarny rynek nęci w Warszawie. Taka jest właśnie kalkulacja Paziów łowickich, którzy przed wojną trzęśli związkiem plantatorów buraka cukrowego, grali z wielkim szczęściem na giełdzie, paradowali w zielonych melonikach „bractwa kurkowego". Najpiękniejsze konie wyprowadzały swój rodowód z Łowickiego. Najlepsze interesy robiło się na tęczowych pasiakach, chętnie nabywanych jako curiosum przez zagranicę.

Naraz, gdy chciałem wpleść w tę dramatyczną pauzę coś banalnego — Woźniak ni stąd ni zowąd poderwał się do generalnego szturmu!

— Czekaj... czekaj... — zachichotał. — Nie wierz gębie, boś nie wszystko jeszcze położył na zębie. Szczerze mówiąc nie wiem jak przetrwasz, kiedy ci powiem, żeś całkiem zapomniał o działkach przyzagrodowych. Dołóż więc jeszcze po cztery tuczniki na każdego z nas, aby było równo po dziewięć na chłopa i po dwie krowy z przychówkiem, aby było po pięć. Teraz rachunek pełny. Lecz żebyś nie miał żadnych złudzeń, to w kancelarii pokażę ci jeszcze kwity z wykonanej dostawy 250 prosiąt hodowlanych. Tych prosiąt nie liczyłem. Znajdziesz je w innej, nowozorganizowanej spółdzielni. Bo nie trza się za wszelką cenę wybijać nad innych, lecz za wszelką cenę pomagać słabszym...



Średniak Paź znieruchomiał. Był skłonny mówić nawet rzeczy nietrafne, byle dłużej móc utrzymać się na pozycji wielkiego gracza. A jednak nie dawał rady.

Co rozłożył skrzydła do lotu, to mu je Nowak podciął.

— Jaka jest u was klasa ziemi?

Paź się zawahał:

— Mówiłem przecież. Pierwsza i druga... Drugiej jest więcej — dodał z przekonywującą żarliwością.

Znowu chichot i ostatni pocisk wielkiego kalibru.

— A u nas, w spółdzielni, trzecia i czwarta Kiepska ta ziemia. Ale w zespole i na ugorze upieczesz chleb.

— Zaraz, zaraz... — rozpędził się Paź. — My połączymy pastwisko, a żerowiska dla krów pokwaterujem... Wydzielim także osobno na buraki i pobudujem się szeroko jak wy, to jeszcze się w Polsce taki nie narodził, coby nas pobił.

Nowak popatrzył na niego z niejakim zdziwieniem. Jego trafianie w sedno rzeczy i obdzieranie niedopowiedzeń, miałoby rys brutalny gdyby nie tkwiący u podnóża dowcip.

— Możliwe, możliwe, że w ten sposób nas pobijecie na I i II klasie ziemi, ale wtedy będziecie już w spółdzielni. Tam ją zaprowadziłeś w tym planie!

Paź wytrzeszczył oczy. Wyjął z kieszeni papierosa i zapalił. Miał kłopoty.

* * *

Szukał przez chwilę przysłowiowej krzty podobieństwa, po czym oświadczył, że nie warto, bo to co widzi i tak przechodzi jego najśmielsze oczekiwania. Jakież może być podobieństwo między tym co widzi, a tym co ma w swym średniackim gospodarstwie! Żadne — niebo a ziemia!

Spojrzał przelotnie w szerokie okno owczarni, w które dobijały się ze zmierzchem łapy drzew. Potem dokończył spokojnie:

— Czy wiecie, co powiedzieliby ludzie, gdyby uważali w ogóle za warte trudu mówić o tej sprawie? Powiedzieliby: porywa się z motyką na słońce! Co to znaczy, gdy jeden porywa się, a stu zostaje! To jeszcze nie stwarza nic mocnego Nic konkretnego! Ba, gdyby porwało się tych stu. Ale oni będą czekać. I ja muszę czekać. My nie mamy na to środków. My nie mamy warunków. Żyje się przecież nie z tego, że się czegoś chce, ale z tego, że się coś posiada. A my posiadamy mało, bardzo mało... Co innego wy: budynki okazałe, maszyn sporo — jest podstawa. Słyszę już wasz zarzut, że i wy mieliście trudności... nie, nie chcę kończyć tej myśli. U nas te trudności byłyby zbyt kosztowne...

Przysłuchując się tej rozmowie omal nie klasnąłem w dłonie. A więc u kresu naszej wycieczki znalazłem jednak drugi typ średniaka, który, chociaż wysławia się znakomicie, w przeciwieństwie do Pazia nie **dopuszcza do siebie pragnień,** jest mniej obyty, mniej zorientowany, a przy tym pełen niewiary we własne siły.

Nazywa się — jeśli nazwisko odgrywa w tej sprawie w ogóle jakąś rolę — Franciszek Dałek. Ważniejsze jest jednak to, na jakim gruncie wyrosła jego swoista filozofia życia. Biorę do ręki listę imienną wycieczkowiczów i sprawdzam: gromada Krzyż, pow. wieluńskiego. A. więc powiat wieluński? Nie biedny, lecz i nie bogaty to powiat: zboże sypie tam 15 q z hektara, w obórkach nierzadko po 5 tuczników i 2 krowy, częściej jednak o połowę mniej. Możliwości? Wszędzie istnieją możliwości, gdy nowoczesne zabiegi agrotechniczne stają się nawykiem, rozumianą potrzebą. Tutaj chłopi nie odwykli jeszcze od starych sposobów gospodarowania. Dopiero w tym roku agronomowie państwowej służby rolnej wygrali bitwę o powszechne stosowanie siewników rzędowych. Dopiero w roku bieżącym większość chłopów po raz pierwszy rzuciła w ziemię kwalifikowane ziarno siewne. Granulowany nawóz, siew krzyżowy, aklimatyzacja roślin przemysłowych — to abrakadabra, która miejscowym rolnikom utożsamia się jeszcze z pojęciem „bujania w obłokach".

Lecz powracając do Dałka. W Szczawieńku patrzał na gospodarkę zespołową niemy, ponury, markotny. Obecnie w Kamieńsku — drugiej z kolei zwiedzanej przez nas spółdzielni produkcyjnej — rosło w nim zniecierpliwienie, rósł niepokój... Jestem przekonany, że szukał słów, którymi chciał uzewnętrznić swój żal, całą tę wieluńską markotność. Ten moment nastąpił właśnie teraz, w przypadkowym spotkaniu znajomka z jego rodzinnych stron — owczarza Józefa Pieprzyka.

Osiedle, z którego Pieprzyk przeniósł się trzy lata temu na Ziemie Zachodnie, było zagubione we wzgórzach, Szubienicznych — dziwnym, podwyższonym, ociekłym z moczarów miejscu na oparzeliskach — daleko od dróg głównych, od jakichkolwiek dróg dobrych. Stąd wydostać się do szosy łączącej Wieluń z Łodzią było naprawdę trudno. Wówczas, nie tłumacząc nikomu po co jedzie, zabrał ze sobą żonę, dzieci i jedyną krowę, mały węzełek z żywnością, mydło i ręcznik i postanowił dotrzeć do spółdzielni produkcyjnej w Kamieńsku, skąd wzywał go w zachwyconych listach jego kuzyn. Pozostawił więc w Szubienicznej, w ciągu jednej godziny, 5 hektarów jałowej ziemi, kawałek kwaśnej łąki i chałupę dość obszerną, lecz stoczoną od fundamentów do gontów przez kornika-złodzieja. „Zamieniasz, łotrze, wolność na niewolę!" — płakała żona. Teraz, opowiadając Dałkowi koleje swego życia, Pieprzykowa stwierdziła po prostu:

— Są takie miejsca, w których się żyje, i takie, w których się istnieje. W Szubienicznej myśmy istnieli od urodzenia, ale nie żyli. Spójrz na nas, teraz żyjemy pełną piersią. Zamieniliśmy niewolę na wolność!

— To prawda — potakiwał Pieprzyk. — Lecz wtedy byłem przekonany, że aby żyć, **trza uciekać. Szukałem gotowego.** Dzisiaj rozumiem to inaczej. Można było jednak pozostać i tworzyć życie tam, na uroczyskach, choć w pocie czoła, choć w trudzie... zamyślił się i zaraz dokończył: — w zespole, rzecz jasna, bo w pojedynkę... ech, bracie, ty nawet nie wiesz co daje człekowi spółdzielnia. To co dawniej zdawało mi się niemożliwe — w spółdzielni jest zwykłe jak amen w pacierzu...

Gładząc szeroką dłonią wełnisty grzbiet jagnięcia, przytulonego w poczuciu bezpieczeństwa do jego kolan, Dałek odparł:

— U nas w powiecie jest mało spółdzielni. Można je policzyć na palcach obu rąk. Nie, nie dlatego żeby ludzie nie chcieli. Żeby całkiem odstrychnęli się od tej myśli. Nie! Ale, powiedz mi, skąd wziąć na to środków? Pieniędzy? Z niczego mamy budować? Z powietrza?

Pieprzyk kiwnął ze zrozumieniem głową.

— Trzy lata temu mówiłem akurat tak samo. A jednak są u was spółdzielnie? Byłeś w której? — spytał zaczepnie.

Dałek zaczerwienił się po białka oczu.

— Iii... nie, nie byłem... Po co miałem być?

— Po co? Zanim nie rozkopiesz ziemi, nie zobaczysz, czy drzewa mają korzenie. A ty mówisz po co? Cóż to znaczy „po co"? A ja, widzisz, byłem. W zeszłym roku byłem. A wiesz gdzie? W Szubienicznej! Dostałem się tam piękną szosą, autobusem. Szukałem bliskich memu sercu moczarów — zastałem wielkie łąki, całkiem zdrenowane, z taką trawą o... po sam pas. A na tych łąkach krowy. Spółdzielcze krowy. Tak to widzisz zmienia się życie, zmienia się krajobraz... A ty mówisz „po co"?

— Ech... — machnął ręką Dałek. — Już nic nie rozumiem. Od samego początku nic nie rozumiałem...

Z pewną rezygnacją opuścił owczarnię, doganiając spiesznymi krokami swoją grupę, która wysforowała się do przodu. Pospieszyłem za nim. W pewnym momencie dotknąłem jego ramienia,

— I cóż wy na to, obywatelu?

Dałek spojrzał mi prosto w oczy. Zrobiło mi się przykro. W tych oczach były łzy. Od wiatru mroźnego? Od wielkiego żalu?

* * *

W drodze powrotnej do Łodzi, wsunął się pośród nocy do mego przedziału Franciszek Dałek i oświadczył prosto z mostu:

— Ludzie mówią, że wy piszecie w gazetach. Znaczy się z ortografią nie macie ambarasu. Myśmy tu cosik napisali, wygładźcie toto — położył mi na kolanach zapisany dużymi kulfonami arkusz papieru i przysiadł się obok. Wziąłem do ręki i czytałem półgłosem:

My, uczestnicy wycieczki, po przyjeździe do domów zapoznamy z waszymi osiągnięciami swych sąsiadów — pracujących chłopów. Opowiemy im o wszyskim cośmy u was widzieli. Jesteśmy przekonani, drodzy bracia spółdzielcy że już wkrótce będziemy mogli wam donieść o założeniu w naszej gromadzie spółdzielni produkcyjnej".

Tak zakończyła się sprawa Franciszka Dałka i jego dziesięciu sąsiadów. A może lepiej powiedzieć: rozpoczęła się? Przede mną teraz gromada Krzyż. Tam się rozegra druga część mego reportażu. A trzecia — jeśli czytelnicy będą sobie życzyć — w Bolimowie u „grubego" Pazia.

Wojciech Drygas

JÓZEF OZGA-MICHALSKI

POD ROSTOWEM

ZIELONA nizina uderza swoim rozkwitem w oczy. Ziemię przecinają żyły kanałów nabrzmiałe od mnogich wód, spęczniałe od deszczu.

I chociaż dzisiaj jest upalna, słoneczna pogoda, wczorajsza ulewa nie spłynęła do morza, lecz poi pola. Okryją się one bawełną, a ludzie płótnem.

Mijamy chłopskie chaty, kozackie kurenie ze szczytami malowanymi na siwo-ciemny kolor, z biało-zielonymi okiennicami.

Ileż wieków czekano tu na tę sieć życiodajnych strumieni!

Ile pieśni o Ojcu-Donie, zwilżającym stepową krainę wyśpiewały chłopskie gardła.

Coby powiedział stary dziad, siedzący dziś na przyzbie, gdyby przed trzydziestu laty powiedziano mu. — Będziesz z tego miejsca okrętem jeździł do Moskwy, samolotem chwast będziesz plewił, a elektryką pszenicę będziesz młócił...

W jednym przedziale z naszymi siedzą chłopi, którzy wrócili z Krasnodaru i tutaj pod Rostowem połączyły się dwie nasze grupy wycieczkowe.

— ...Baran! — unosi się czyjś głos w kłębach dymu — mówię wam baran jak cielę! Sto dwadzieścia kilo wagi, dwadzieścia pięć kilo wełny daje rocznie, wychodzi, że siedmiu ludzi może se uszyć stuprocentowe ubrania...

— Niemożliwe — zaprzeczył ktoś z naszej grupy — takich baranów być nie może...

Ale wtedy podniosła się wrzawa chłopskich głosów, tych co byli pod Krasnodarem i z takim przejęciem bronili baraniej wełny, jakby szło nie o baranią, a o ich własną skórę...

— Tak... nie będzie mi tu wierzył... długa, miękka jak puch i mierzyliśwa koledzy...

Chłop, który nie mógł uwierzyć, kręcił się jak na rozżarzonych węglach, pot bił mu na czoło, ale słuchał chciwie, co mówiono.

— Masz tu fotografkę, przypatrz się... widzisz co za tęgi rogacz. Mnie po piersi...

Delikwent chwycił łapczywie błyszczącą odbitkę i spojrzał na wspaniałą postać czworonoga. Teraz dopiero ulżyło mu nieco.

— Jemu trzeba obrazka, jak dziecku od księdza po kolędzie, dopiero mu wiara wraca...

Audytorium buchnęło śmiechem, ale chłop nie obraził się ani na jotę... patrzył uważnie na pienistą długą wełnę, która równymi płatami okrywała zwierzę...

Na jego twarzy malowało się nieme zdziwienie gospodarza, którego sąsiad tak dalece prześcignął, że ten nie może długo pojąć — jak to się stało i dlaczego on pozostaje w tyle.

— A mogę ja ten obrazek wziąć ze sobą? — rzekł po chwili, zastanawiając się, czy mu go dadzą. Ale wiedział, że jest mu niezbędny na drogę i dlatego postawił pytanie.

— Bierz bracie — rzekł główny dyskutant i zamaszystym ruchem wsadził mu „barana" w kieszeń — ...a po drodze opowiem ci jak oni je chowają... jakie żywienie i jaki rozpłód... — rozumiesz?

Chłop skinął głową, a rozmowa toczyła się dalej przerzucana co silniejszymi głosami z tematu na temat.

— A czyście widzieli taką rzecz, jak my na przykład widzieliśmy w pewnym kołchozie?

Wszyscy skierowali spojrzenia na zastygłą w tajemnym uśmiechu twarz delegata, który jeździł w krasnodarskie strony.

A on napinając cierpliwość naszych chłopów do ostatnich granic cedził powoli:

— Tam rozumiecie ludzie żyją nieźle... no wino dawali w takich drewnianych wysokich stągiewkach swojego wyrobu... próbowali my i z koźlego worka...

— Gadaj do rzeczy — huknął ktoś z naszych zniecierpliwiony — co to za nowa rzecz?

— Otóż — ciągnął mówca, rozkładając ramiona — w tym rzecz, żeby ją powoli rozwinąć...

...Spotkaliśmy w jednym kołchozie staruszka, który żyje w epoce komunizmu...

— Jak to? — zapytało paru naraz.

— Jak? Zaraz powiem. — Pewnego dnia zeszli się kołchoźnicy na zebranie i powiadają... Oj, ten nasz Kuźma Michajłowicz stary jest.., może umrzeć nie doczekać komunizmu, zróbmy tak: podejmiemy uchwałę, żeby on zasłużony staruszek korzystał z owoców pracy, według swoich potrzeb... stać nas na to — powiedzieli sobie i podjęli taką uchwałę...

Teraz ów najstarszy obywatel kołchozu pracuje ile potrafi, a korzysta według swojego uznania — przyjdzie do kooperatywy, weźmie co mu potrzeba, nie płaci... ze zboża, jarzyn, mleka to samo, bierze wedle swojej potrzeby — nie jest łapczywy, nie bierze w nadmiar, widać otrzymał dobre wychowanie wprzódzi...

To krótkie opowiadanie, w którym zawarł się eksperyment chłopów z Krasnodarskiego kołchozu orzeźwiło nas jak powiew wiatru. Każdy czuł w tym zjawisku kiełki nowego życia, które dopiero wschodzi, lecz daje o sobie znać i mówi, że zbliża się pora budowy komunizmu.

Pociąg nasz przetoczywszy się po moście przez szerokie wody Donu wjeżdża już do Rostowa, skąd owa technika i nauka promieniuje na całą okolicę.

Z Notatnika Radzieckiego



Rys. Bimali Horska

Miasto zniszczone przez wroga, przechodzące parokroć z rąk do rąk, błyszczy na wzgórzach białymi ścianami nowych domów, czerwienią dachówek i srebrnymi płatami blachy.

Na stacji tłoczno od pociągów. Urywane sygnały lokomotyw rozdzierają powietrze.

Widok na miasto przesłoniły nam zielone wagony, które zatrzymały się na wprost naszych okien.

Prawie z każdego wagonu dobiegają nas skoczne tony harmonii. To wczasowicze wracają z Kaukazu. Kilku z nich wysiada w Rostowie. Zatrzymuję wzrok na generale w białym mundurze.

Co za żywy człowiek! Zdążył już wypić narzam, to jest wodę gaszącą na tym upale pragnienie. Zdążył pożegnać się z maszynistą, który salutuje mu z parowozu i uśmiecha się zza kłębów pary, jak lotnik zza chmur — nikt już tego uśmiechu nie widzi. Zdążył nakręcić zegarek i ustawić go według czasu rostowskiego. Wreszcie znalazł się wśród naszych chłopów schodzących na peron i począł z nimi o czymś żywo rozprawiać.

Znowu wychodzi na wierzch stary bojowy szlak żołnierski — na Rzeszów, Mielec — aż do Stopnicy i Buska.

Generał wypytuje nawet o wsie, w których kwaterował; Szwagrów, Nieskórza, Rytwiany, Dobrów, Sichów... — padają z jego ust znajome nazwy.

Maćkowski z Sandomierskiego wysuwa się na czoło.

— Był tam — mówi do niego — sum olbrzymi w zalewie wiślanym. No ryba, pojmujesz... wielka, ale chwycić jej nie moglim. Gospodarz, chłop wskazał nam miejsce... złapcie — powiada — przyda się wojakom do rondla.., ach, ile my głowy napsuli, aby ją złowić...

Wszyscy spojrzeli naraz na generała, jak na starego znajomego i wybuchnęli wesołym śmiechem a Maćkowski wyciągnął do niego rękę...

— Tociem, ja wam tę rybę raił... poznajecie?

Generał nie wiedział, co oznacza to osobliwe spojrzenie słuchaczy, a potem nagły śmiech, ale, gdy uprzytomnił sobie w swoim bogatym rejestrze twarzy oblicze Maćkowskiego i usadowił go nad brzegiem zalewu, gdzie łowili razem suma — sam parsknął niepowstrzymanym szczerym śmiechem, a my z ukontentowaniem zawtórowaliśmy mu jeszcze raz.

— A teraz my się spotkali nad brzegiem Donu. Może tutaj pójdziemy razem na suma? Co?

Kto wie czy Maćkowski nie miałby ochoty zapolować z wędką na dońskie ryby, gdyby tylko istniały ku temu realne warunki, toteż nie odpowiadając na żartobliwą propozycję generała postawił mu pytanie:

— A w naszym domu byliście jeszcze podpułkownikiem...

— Suma nie złapaliśmy, to prawda — śmiał się generał — ale Hitlera chwyciliśmy w żelazne sieci. Wymagało to i nauki i sztuki wojowania.... Człowiek uczyi się codziennie...

— Opowiem o Was żonie, jak wrócę w Sandomierskie... Ucieszy się, żeście żyw i generał...

— Pozdrówcie ją ode mnie, i sąsiadów pozdrówcie...

Myśli o radzieckim generale, towarzyszyły nam przy zwiedzaniu bohaterskiego miasta i przywodziły na pamięć boje pod Sandomierzem, Stopnicą — na całej linii Wisły.

To jest również nasz generał — dochodziliśmy w końcu do wniosku.

Józef Ozga-Michalski

LESŁAW BARTELSKI

SPOTKANIE NA MOŚCIE

STAŁEM na moście, wsparty o balustradę i wpatrywałem się w płynącą poniżej rzekę. Sciemniło się, ostatnie promienie słońca błądząc po niebie zginęły gdzieś poza laskiem bielańskim. Przeszedłem zwolna na drugą stronę, korzystając z chwilowo pustej jezdni. Przytulone na przystani statki przy nadbrzeżnym bulwarze odcinały się podłużnymi kształtami od spętanych kamieniem brzegów. Rzeka lśniła pasmami świateł, wijących się na wodzie jak węże połyskujące łuską. Zimna poręcz balustrady uciskała piersi, gdy przechylony patrzałem w dół. Od Wisły ciągnęło chłodem i wiatr nasycał powietrze wilgocią. W oddali, na nikle zarysowanych w ciemności wiązaniach mostu średnicowego przemknął pociąg, świecąc chwiejnymi, gasnącymi szybko w odbiciu wody światłami.

Ktoś dotknął mojego ramienia, raczej domyśliłem się niż poznałem głos, pytając leniwie — Wacek?

Ucieszył się ze spotkania — Dawno pan u nas nie był. Mieszkamy teraz na Mariensztacie, niedaleko stąd — pokierował moim wzrokiem ku błyskającym oknom osiedla, usiłując wmówić we mnie, że odnajdę należące do ich mieszkania jakby wyróżniały się szczególniejszym blaskiem. — Ojciec by się ucieszył gdyby pana zobaczył. Wspominał nie tak dawno...

— A u ciebie co słychać?

Nie odpowiedział w pierwszej chwili, potem jakby tłumacząc się, nadmienił od niechcenia, że czeka tutaj na dziewczynę, z którą umówił się. Pokiwałem z wyrozumiałością głową. — Nie ma to jak być młodym...

— A pan też czeka tutaj na kogoś? — rozszerzył usta w szelmowskim uśmiechu.

— Nie. Mam trochę czasu, chodzę i patrzę. Spójrz — wyciągnąłem rękę w ciemność, kierując ją ku osiedlu. — Czy nie pięknie? Jeszcze dwa lata temu były tu ruiny i wiadukt Pancera straszył jak tułów padłego konia. A dziś? Wiosną kwitły tutaj na stokach żółte forsycje, zielone krzewy opięte drobnym ładnym kwiatem. Siła człowieka przemienia nawet gruzy w piękno.

Spytałem jeszcze. — Nie mówisz mi nic o sobie. Pracujesz?

— Uczę się — powiedział poważniejąc, z dumą w głosie. — Uczę się wieczorami w szkole zawodowej. Na technika.

— Aa, to coś nowego. Nie wiedziałem o tym — poklepałem go przyjacielsko po ramieniu. Wacek Zieliński, syn znajomego mi od dawna murarza, był chłopcem spokojnym, nad wyraz poważnym, jak na swój wiek. Jego siwe oczy tliły marzeniem i zawsze wydawało się, że chłopiec myśli o wszystkich, tylko nie o tym, czym się zajmuje. Błądził myślami po świecie, który — jak każdy z nas — pragnął zdobyć. Ambicją jego było zostać technikiem, choć swoimi pragnieniami nie dzielił się z nikim, nieomal wstydząc się, jakby bał się, że ojciec i matka nie zrozumieją go. Pewnego wieczoru rozmowa zeszła na te tematy. Było to w sobotę, po wypłacie stary podejrzanie kręcił się po mieszkaniu, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Spytał syna. — No, co ty chcesz robić?

Wacek nie odpowiedział, nie wiedział do czego ojciec zmierza.

— No, co ty, co ty? — dopytywał się Zieliński, podkręcił wąsy, co było niezawodną odznaką podenerwowania. — Jak tam u ciebie? — dopytywał się. — Wszystko w porządku! — odpowiedział Wacek i dał spokój rozmowie. Ale stary znów powrócił do rozpoczętej rozmowy, gdy skończył czytać gazetę. — Jak tam, synu, pytam, co będziesz robił. Bo widzisz, o przyszłości warto nie raz, nie dwa pomyśleć. Młody jesteś, więc... — ojciec wysapał z trudem jakby zrzucając z siebie ciężar. — Na mój rozum tak wychodzi, że powinieneś brać się ostro za swoje.

I utknął. Zająknął się, nie wiedział co dalej powiedzieć. Dla podkreślenia doniosłości chwili i żeby zyskać na czasie przyniósł z kuchni butelkę wina, ale rozlewając je do kieliszków krzywił się, wzdychając ukradkiem na co porządnemu murarzowi zeszło. Nie w smak mu było wino porzeczkowe domowej roboty, bowiem o sobie twierdził nie bez przechwałek, że nigdy pacierza i wódki nie odmawiał. — No więc? — powtórzył patrząc na rubinowy, oczyszczający się płyn w kieliszkach. — Mów, synu, od serca.

Wacek po głębokim namyśle odpowiedział:

— Sam dobrze nie wiem. Ale chciałbym do wyższej szkoły.

Nie patrzył na ojca. Stary nie zabrał głosu, siadł głębiej na krześle, wyprostował nogi popatrzał uważnie na syna, jakby go spostrzegł po raz pierwszy w życiu. — Ty, Wacek, chłopak jesteś niezgorszy, można powiedzieć. Pomysł też niezgorszy, bo ja wiem... Mój syn.. — znowu sięgnął do wąsów, ale opuścił w połowie drogi drżące ręce. — Pomysł niezgorszy — powtórzył jakby chciał upewnić przede wszystkim siebie. I zaraz zaczął opowiadać, ni z tego, ni z owego o własnej młodości, porównywać, przytaczać przykłady. Łykał w pośpiechu i ze wzruszenia niektóre sylaby, wspominał kolegów i przyjaciół. Wacek zrozumiał, że ojciec zawahał się. Widać było, iż propozycja zaskoczyła go. Nie o nauce widocznie myślał dla syna. Nie zrozumieli się. Chłopak nie słuchał tego, co ojciec mówi, ale po chwili uspokoił się. Stary rozgadał się na dobre, przymknął powieki jakby chciał przywabić obrazy minionego czasu, o którym opowiadał z taką emfazą. Wstał i zaczął chodzić po pokoju, niecierpliwymi ruchami potrącając stojące wokół stołu krzesła.

— Matka moja, zacności kobita — powtarzał Zieliński — mówiła do mnie: „Ty, Kostek, ucz się!“ Może byłbym się i uczył, ale mówić łatwo, biegać zimą na bosaka do szkoły trudniej.

Rodzice Zielińskiego mieszkali w owym czasie na Saskiej Kępie. Na wprost Solca, w niskiej drewnianej chałupce, ukrytej w nadbrzeżnych łęgach. Ojciec rybaczył, odpływał w noc milczący, zamknięty w sobie, z fajką w zębach. Rybacy rzadko kiedy bywają gadatliwi. Na dnie łodzi, u stóp Zielińskiego leżały przygotowane zawczasu haczyki z rosówkami lub ze śmierdzącymi kawałeczkami litewskiego sera. Skrzypiały dulki, z piórek nurzanych bezszelestnie w topieli wioseł lały się krople. Kostek brał za pych i przeginając ku wodzie wymacywał płyciznę. Płynęli w ciszy, ogieniek fajki żarzył się wśród ciemności, przybrzeżny nurt spychał łódź na środek rzeki. Światła wielkiego miasta spływały w oddali po powierzchni świecąc jak krople tłustej oliwy. Przed nimi czerniała noc, rozrosła jak drzewo. Wpływali w małe zatoczki, porosłe z obu stron wikliną, płytkie i muliste. Bliżej kępy, w zakosach na dnie jam, przesuwały się kiełbie i okleje, spłoszone odgłosami wiosłowania. Z piasku wydobywali węgornice, ojciec upychał nimi stary dziurawy nocnik i wiosłując powracali na środek rzeki. Dopiero teraz zaczynał się połów. Łódź drgała na nurcie jak wystraszona rosówka, z cichym pluskiem spadały delikatnie w bystrz żyłki z haczykami. Z połowu wracali zmęczeni, zziębnięci, nierzadko przemoczeni, nad ranem zimno wzmagało się, pierzchły ręce, twarz kostniała wysmagana porywistym wiatrem. Ojciec podbijał do Solca, brał ryby i niósł je na swoje gospody. Furmani wyprowadzali konie, tego stukające kopytami po bruku, piaskarze drewnianymi szuflami wygarniali wodę z batów, szykując się do odjazdu, Nurt bełkotał, obijał się o burty łódki, kołysał do snu. Powracał ojciec, czasem przynosił ćwiartkę wódki i pęto kiełbasy na zakąskę, ale musiał to być połów dobry, a wilgoć przenikliwa.

Woda zastępowała szkołę, rybowanie wykształcenie. I tak upływały lata. Usypano wał miedzeszyński, by rzeka w czasie wylewów nie podchodziła rozlewiskami pod Grochów, przez sześć lat stawiano trzeci most. Wesoło zrobiło się na brzegu, ojciec porzucił rzekę, poszedł za kamieniarza. Pociągnął za sobą i Kostka. siadywali razem na bryłach okrakiem i dziobając z uparciem kamień dłutem oraz tłuczką krzesali z niego iskry. Saska Kępa, gdzie żyzną ziemię sprzedawano na morgi, ale nikt brać jej nie chciał bo daleko, zmieniła się. Ale niedzielami, jak i dawniej, pośród sadów białych od kwiecia, spacerowały zakochane pary, przytulone w czułym uścisku. Na nie właśnie wyczekiwał ojciec Kostka na warszawskim brzegu w słoneczny ranek niedzielny, przystroiwszy łódkę tatarakiem, narwanym pod Kamionkiem, Przechodnie wsiadali z trwogą do łódki kruchej jak strączek i dygocąc z emocji przeprawiali się przez rzekę dumni z przeżycia, gdy już stawiali stopę na piasku. Dźwięki harmonii płoszyły żydowskie kozy w starodrzewiu, przywiązane na kołkach przy słomianych budach dzierżawców sadów owocowych. Kiedy zapadał wieczór, ciepły jak oddech, spod drzew, pod którymi leżeli rozłożeni na trawie wycieczkowicze z miasta, słychać było wzrastający gwar i pokrzykiwania. Czyjś ochrypły głos wdzierał się w ten szum, zawodząc basem:

Saska Kępa zielenie-ee-je?
Tańczą panny i złodzie-je-ee!

Przybysze z miasta wynosili się wtedy czymprędzej, gromadnie pakując się do łódek, którymi sterowali zlekka pijani wioślarze. Na Saską Kępę wracało prawo pięści i majchra, bezpańskie psy ogryzały porozrzucane kostki drobiu. Harmonia rozciągała się na pełny miech, spod topól podochocony powodzeniem bas wyciągał jędrną poleczkę:

Antek Mańkę chwycił
w pasie-ee-ee,
A ta głupia spłakała się!

W ciszy chrzęściły drewnianymi tonami świerszcze. woda parowała zebranym za dnia ciepłem.

Kiedy mijało lato i przychodziła jesień ogołacająca z liści drzewa, Saska Kępa czerniała jak cmentarz. Wiatr targał futrynami okien, sypał w szyby ciemnymi liśćmi, niebo niczym głaz przytłaczało ołowiem obłoków niespokojnie biegnących jak zbełtane wiślane fale. Głód stawał się częstym gościem po chałupach, dzieci marzły, wzdychając do słońca. Ojciec Kostka chodził niespokojnie po izbie, wybiegał z chałupy i chwytał za podrywkę. Siekierą przebijał przerębel i w śliski przeciekający nurt zapuszczał sieć, czasami zatrzepotał w niej okoń, senny i zimny jak kawał lodu. Powrót do domu przypominał o rodzinie, głodzie i chłodzie. Trzaskały zbierane ukradkiem za dnia gałęzie, spalając się wątłym płomieniem pod paleniskiem, dające liche ciepło. Pękanie lodów, na które tak wyczekiwali, stawało się z wiosną wielkim świętem. Wydawało się, że trzeszczy cała chałupa a belki trą się o siebie jak zczepione kry. Po długiej zimie nastawała nieśmiała wiosna, brzegi okryte skorupą kałuż nasycały się zielenią, drzewa kleiły się pierwszymi pąkami. Nadzieje na lepsze przeżycie wzrastały z każdym dniem, szeroko otwarte drzwi i okna zionęły niemal piwniczną stęchlizną. Kostek dobrze pamiętał radość w domu, kiedy pewnego przedwiośnia, przed samą Wielkanocą, przygonili od Żyda z Rembertowa kozę płową jak sarna, z rogami, o mądrych współczujących oczach i profesorskiej bródce. Wychodzili wszyscy z Mecią na spacer, paśli ją na ciemniejszych kępkach ledwie widocznej trawy, byle syta była i zadowolona. Obserwowali czy pęcznieją jej wymiona. Nawet gołębie, gruchające na dachu, prostujące czerwone nóżki w słońcu, zeszły na plan dalszy. Przyjemnie było im wtedy wszystkim. Miasto w dali huczało jak dzwon, świecąc grynszpanowymi wieżami staromiejskich kościołów.

Rys. Bimali Horska

— Ja, Wacek, w twoim wieku już pracowałem na siebie. Za pomoc poszedłem do murarki, zaprawę mieszałem, cegłę podtykałem majstrowi pod rękę, a i do knajpy na żądanie biegałem po mularkę z kiełbasą. Nie wymawiam ci, przynosisz do domu tę parę groszy, chłopak jesteś porządny. Uczyć się chcesz? — zastanowił się, kręcąc głową. — U nas w rodzinie nikt się nie uczył i jakoś się żyło? Matka — podskoczył do kuchni i wrócił z żoną. — Matka, syna będziesz miała inżynierem...

Popatrzał na nią, Zielińska na niego. — No? — zachęcał jakby do wypowiedzi. Zapadło milczenie. — Dalibyśmy sobie radę i bez twojej gotówki, synu, nie matka? — zagadnął powtórnie żonę.

— Pieniądz, zawsze pieniądz — odpowiedziała wymijająco Zielińska, nie wiedząc jeszcze o co chodzi.

Stary przytwierdził.

— Ma się rozumieć. Nigdy go w domu za wiele nie będzie. Ale ja zarabiam lepiej, choć wydatki rosną. Na dzieci. Bo...

— Co tam planujesz — podchwyciła Zielińska, złożywszy wygodnie ręce na piersiach. — Czego ci się zachciewa?

Murarz popatrzał znacząco na syna, żona poszła za jego przykładem. Wacek zmieszał się pod spojrzeniami rodziców. — Tak, synu, trzeba będzie pomyśleć o tobie? Więc wziąłbyś się za naukę?

— Czemu nie — Wacek odzyskiwał pewność siebie. — Czy głupszy jestem od innych?

— Kto tam zna ciebie — ostudził go w zapałach ojciec. — Widzisz — znowu powracał do minionych czasów jakby nie mogąc sobie czegoś darować — ja, gdybym miał w życiu te możliwości co ty też uczyłbym się. Byłbym może majstrem, a nawet technikiem. Mnie nikt wykształcenia dać nie mógł, choć matka, zacności kobita, namawiała. Szkoły były za drogie, rodzice moi — westchnął Zieliński — nie starali się, to znaczy starali się, ale nie stać ich było. Ty Wacek dobrze myślisz, mówię ci prosto z serca jak ojciec synowi, dobrze myślisz!

— Ja sam wiem — nieśmiało zaznaczył Wacek, spoglądając na matkę, która uśmiechając się jednocześnie ocierała rąbkiem fartucha mokre oczy.

Ojciec zmarszczył czoło i zesunął brwi w jedną linię.

— Tak więc widzisz, synu, przemyślałem ja sobie Nawet i nas stać by było, abyś chodził do szkoły i nie pracował...

Wacek pokiwał głową na znak zrozumienia. Wiedział, że nie byłoby tak lekko jak ojciec mówi. Starsza siostra, Jadwiga, wyszła za mąż za Antka Burzę; ale młodsza Stefka chodzi jeszcze do szkoły, nowe mieszkanie dostali, meble wzięli na spłaty, więc utrzymanie takiego domu kosztuje. A jeszcze ojcu udało się kupić „Pioniera“ na spłaty, to wszystko razem obciążało budżet Zielińskich.

— Widzisz synu — ojciec uśmiechnął się i podkręcił wąsa. — Ja myślę tak, ty jestes syn robotnika i wstydzić się tego nie potrzebujesz. Jak będziesz pracował i uczył się, to będziesz miał większe uznanie dla siebie samego, nie zapomnisz z jakiego domu wyszedłeś. Bo to widzisz sam — z jednej strony masz już doświadczenie z pracy, z drugiej bierzesz się za naukę. Na mój rozum, najlepszy to sposób, by wyjść na człowieka.

Wacek przytaknął.

— Rozumiesz mnie? — ucieszył się ojciec.

— No, jak to nie? — zdziwił się Wacek. — Jakżeby inaczej być mogło. Cóż to rady nie dam, uczyć się i zapracować? — Za kogo mnie ojciec ma! — prawie wybuchnął gniewem.

Ojciec pochylił się nad kieliszkiem, z lekka czerwieniąc się.

— Bo to widzisz — pociągnął łyk wina, krzywiąc się nieco, ale tak by żony nie urazić — ja sam też tak trochę... jakby ci to powiedzieć...? — uśmiechnął się, pełen zawstydzenia. Ale wyprostował się i chrząknął znacząco. Wacek słuchał z zainteresowaniem. Więc po to ojciec zamykał się wieczorami w pokoju, tłumacząc, że jest zmęczony i w samotności chce trochę odpocząć. Ale jeszcze długo w noc przeświecało spoza drzwi światło i słychać było jak ojciec pokasłuje.

Czasami przychodzili do ojca koledzy, zajmowali pokój, w którym powietrze siniało od dymu. Sprzeczali się głośno, dowodzili czegoś i sprzeczali się znowu. Nie byli to zwykli murarze, ale mistrz w mistrza, same asy. Prawie każdy z nich otrzymał tutaj mieszkanie z racji przodownictwa w pracy. Wacek widział jak ojciec przynosił jakieś książki do domu i na chwilę w pokoju, w którym siedział z kolegami, zapadała cisza. Murarz powolnym, łączącym z trudem wyrazy w zdania głosem, czytał jakiś ustęp z książki, potem znowu wszyscy mówili głośno i sprzeczali się.

— Synu! — ojciec dopił wina do reszty i powiedział. — Nie jestem już młody i nie mój czas. To, że czytam, jak wiesz, to po to, aby nikt z was młodych nie śmiał mi powiedzieć, że jestem jak nieociosany ćwiek. Ty teraz popracuj jak pójdzie ci dobrze, ja się przyłożę. A jeśli kiedyś pójdziesz na politechnikę — stary wymówił z nabożeństwem te słowa, powtórzył je smakując jak cukierek — ja ci pomogę...

Wacek rzucił się ojcu na szyję, przewracając kieliszek z winem. Lepka struga przecięła obrus krwawym jęzorem.

— Wina ci się zachciało, stary! Też coś! — krzyknęła matka. Wyszła z pokoju płacząc. Nie obrusa żałowała, lecz młodości własnej.

Opowiadając mi o tym wszystkim Wacek wpatrywał się podenerwowany w mrok. — Czas na mnie — westchnął.

Zmierzch robił się coraz gęstszy. Jak dym. Czarna błona nieba skurczyła się rudziejąc od blasków. Miasto narastało jak wzgórze osypane kwiatami. Wacek odchodził powoli, śledziłem jego sylwetkę wtapiającą się w tłum. Nagle zatrzymał się i obejrzał do tyłu. Jakaś dziewczyna szarpnęła go za ramię zdyszana, chusteczka w pośpiechu opadła jej na plecy odsłaniając złote włosy. Widziałem jak poszli dalej razem, rząd świateł jarzących się jak pochodnie weselne odprowadził ich ku miastu.

Lesław Bartelski

Z tomu opowiadań pt. „Miejsce urodzenia“, przygotowywanego do druku.

STANISŁAW SŁUPEK

ŻYŁ MANDZIAR PO CHRZEŚCIJAŃSKU...



Rys. Bimali Horska

Grądom — mojej rodzinnej wsi poświęcam.

WŁAŚCIWIE to nikt we wsi nie wiedział dokładnie, kiedy się Mandziar urodził i czyim był. Kogo to wreszcie mogło obchodzić Takich jak on dopiero wtedy zauważało się w gromadzie, gdy już coś koło gospodarstwa zepchnąć mogli. Jedynie stara Wronina, ta co się przez sto dziesięć lat opierała śmierci i biedzie, tak o nim wspominała: — Mandziar jest synem Pitucha, tego co był karbowym na dworze Rogalińskiego, matce zaś było Rozalia i zmarła parę lat przed wojną pruską — świeć Panie nad jej duszycką — na cholerę.

Temu jednak rodowodowi przeciwiali się stanowczo wszyscy Pituchy, ilu ich we wsi było, bo wszyscy ród swój wywodzili od rzeczonego wyżej karbowego i nie honor im było za familianta mieć dziada. Zdaje się jednak, że przypuszczenia starej baby były prawdziwe. Mandziar bowiem był tak podobny do Pitucha jakby mu z oka wystrzelił. Ta sama figura, te same rysy twarzy, krótko mówiąc wykapany Pituch.

Kiedy jednak owo historyczne źródło — Wroninę — zasypano na parafialnym cmentarzu, nikt już we wsi nie dochodził mandziarowych przodków, a co się tyczy Pituchów, to pewnie i oni wtedy odetchnęli. Tak czy inaczej rodowód ten trzeba uzupełnić. Pozwólcie więc, że to uczynię. Stwierdziłem bowiem w księgach metrykalnych parafii bolesławskiej, że dziecko z Rozalii Mandziar przyszło na świat w 1861 roku, a więc w tym czasie — kiedy, jak tradycja głosi ludzie marli na cholerę i pomór wydusił setki tysięcy.

Wtedy to całą Galicję pokryły zapowietrzone cmentarze. Stoją one po dziś dzień, miejsca opuszczone, na odludziu, od których stroni się jak od zarazy: jedyne miejsca w przeludnionej Małopolsce, które omijało ostrze pługa.

Łatwo się zatem domyśleć jak było w tych cholerycznych czasach Mandziarowi.

No, więc ktoś go z pewnością przygarnął z litości. Dużo miejsca taki nie zajął. Gdzieś na nalepie, w popiele, albo w nogach ślufbana. Zjeść co mu dali zjadł, a musiał być chyba niezwykle żerny, żeby się oprzeć tej „naturalnej“ selekcji, która za panowania cysarza Franciszka co drugie dziecko z chłopskiej izby zabierała.

Kiedy już doszedł do czwartego roku życia było mu lżej. Przy gęsiach na — groch, na tarninę, po miedzach szczaw... Dalsza droga była prosta: z nalepy pod żłób. Tam bowiem, pastuchem będąc, sypiał. Tam też krowy w zimie chuchały weń, miłosiernie go ogrzewając. Przy tym wszystkim brał lanie, był popychadłem, śturmokiem, najduchem, winien wszystkiemu co się w gospodarstwie nie podarzyło, co zdechło, co się urwało Jak tylko co, to na Mandziara. A robić musiał od wschodu do zachodu.

Po latach wczesnego dzieciństwa, mniej więcej w czternastym roku życia postanowił się chłopiec usamodzielnić, bo jak — sam wspominał — lepiej mu się to opłacało. Zmiana polegała na tym, że już nie wiązał się regularną służbą przez cały rok ani ze dworem ani z gospodarzami, tylko się wynajmował do roboty gdzie popadło. Służąc bowiem przez cały rok we dworze otrzymywał ordynarię, a u chłopa ladajakie okrycie. Teraz idąc na komorne i wynajmując się doraźnie mógł zarobić na dniówki kilkanaście reńskich w roku więcej, bo się często godził na robotę o swoim wikcie Zabierał wtedy do dzbanka żuru, ziemniaków, chleba — i w drogę. Do młocki, do żniw...

Jadło, którym się żywił było tak podłe, że nawet w tych czasach, kiedy co roku marło z głodu w Galicji pięćdziesiąt tysięcy ludzi, uważano je za coś obmierzłego.

— „Żebyś cholera tak żyroł jako ten Mandziar“ pomstowali się w czasie kłótni chłopi, nadużywając Mandziarowego imienia w rozmaitych okolicznościach. Mimo to Mandziar na nic nie zważał, trybu życia nie zmieniał, oszczędzał na własnym żołądku jak tylko mógł, żeby jak najwięcej szóstek uciułać. A do roboty siły miał niezwykłe. Na dłuższym dniu kopę żyta potrafił strzaskać cepami do południa, we żniwa szedł zawsze w przodku, pnie z lasu łupał z przedziwną łatwością — jednym słowem, gdzie byś go nie postawił, zawsze był pierwszy. I te właśnie przymioty zjednały mu powszechny rozgłos jako wyrobnikowi. Roboty mu nie brakowało.

Tym sposobem do roku 1913-go zarobił dwa tysiące reńskich. Dwa tysiące w tych czasach?!... Dwadzieścia szóstek płacono dniówkę od młocki, koronę od kosy, a mórg dobrego pola kosztował czterysta reńskich. Dwa tysiące reńskich... Na sumę tę składały się setki dniówek: i takich co to w gorące lata przy sierpie lub kosie pot ciurkiem oczy zalewa i takich w mroźne zimy, podczas których tylko cepy na klepisku przy młocce rozgrzewają...

Mandziar chciał dorobić się żeby żyć po gospodarsku z parą koni, honornie. Chciał wyjść z tego gnoju, z tej nędzy wlokącej się za nim od dziecka Dobijał już nawet targu o 5 morgów z dziedzicem, który miał w tym czasie długów po szyję. Kupno się jednak odwlekało, a w międzyczasie ksiądz proboszcz ogłosił z ambony, żeby ludzie swoje oszczędności składali w kasie parafialnej Reifensena na procenta. Ten apel do wiernych poparł proboszcz znaną przypowieścią z ewengelii.

— Z pieniędzmi — powiada tak — jak z tymi talentami: jeden ma trzy i zakopie do ziemi, drugi ma jeden i pomnoży go w dwójnasób. Złóżcie zatem — powiada pieniądze do kasy, a z procentów urośnie wam z czasem drugie tyle.

Nieśli inni, zaniósł Mandziar.

Czas jednak mijał, okazja na kupno ziemi już się nie nadarzyła, bo dziedzic zaciągnąwszy w kasie parafialnej pożyczkę długi pospłacał, a ksiądz piętrową kamienicę w Tarnowie nabył.

Wybuchła wojna. W jej ogniu reńskie traciły swoją wartość, stajały jak lód. W ten sposób za 40 lat pracy ostał się Mandziarowi żółty kożuch oraz karbowane buty, które kupił dla dodania sobie szacowniejszego wyglądu, kiedy o ziemię z samym dziedzicem przy jednym stole pertraktował i kiedy już lada chwila miał zostać gospodarzem. Ten kożuch i buty to był cały jego majątek. To wszystko, bo przecie tych marek jakie odebrał po wojnie światowej nie ma co rachować. Zaledwie kurę mógł teraz za nie kupić.

„Ej nie bluźnij człowieku“ — uspokajał go ksiądz proboszcz przy wypłacie widząc osłupiałego z nieszczęścia parobka, który mamrotał zbielałymi wargami jakieś przekleństwa trzymając w spracowanych garściach bezwartościowe papierki — „Ej nie bluźnij, bo cóż z tego choćbyś cały świat pozyskał, jeśli duszę stracisz“.

Wziął tedy chłop „po chrześcijańsku“ na obolały grzbiet ów krzyż pański, żeby go dźwignąć dalej. Ino teraz czekała go cięższa droga, bo już był w latach. Pięćdziesiątka minęła.

Była piękna pogodna jesień. W taki czas dni są senne, cieplutkie jak letnia woda. W polach motają pająki babie lato, rozwlekając sieć srebrnych nitek nad świeżą i sypką podorywką. W taki dzień w sadach rumienieją lica dojrzewających jabłek i grusz, a cały świat wydaje się być jakiś cichszy, spokojniejszy, lepszy.

Wróciłem wtedy z łąk od krów, gdziem ze smutkiem pożegnał odlot bocianów i nazbierawszy pełne zanadrze kasztanów poleciałem do Miętusa. Tam to zwabił mnie przeciągły warkot maszyny, pierwszej młocarni w Grądach. Słychać go było w cichej wsi, niby brzęczący rój rozruszanych pod darnią trzmieli, do których dobierają się kijem swawolne dzieci.

Przy długomłotnej maszynie, u pierwszego gospodarza na okolicę, uwijało się sporo ludzi. Z boiska biły kłęby czarnego kurzu, tak żem w pierwszej chwili nie mógł nawet rozpoznać kto tam pracuje. Szeroka młocarnia drgała na małych kółkach, wciągając co chwilę snopki na rozpędzony walec. Robota szła szybko. Dwie pary koni kołowały w kieracie. Za jedną z nich chodził sam Miętus. Wysoki, stateczny miarkujący na wszystko po gospodarsku. Cztery ogiery wypasione na owsie jak by czuły obecność swego chlebodawcy, bo szły równo, dostojnie jak on sam i tak mocno ciągnęły aż się dyszle przy kieracie powyginały.

Jeszcze do cięższej pracy niż one był wprzągnięty Mandziar, pracujący przy zgarnywaniu i odbieraniu słomy, którą następnie wiązał i odrzucał widłami na coraz wyższą kopę. Normalnie dwóch ludzi wykonuje te prace. Miętus jednak wiedział kogo tu postawić, żeby przy młocce zaoszczędzić jedną dniówkę.

Nagle maszyna stanęła zadławiwszy się widać snopkiem i w tym momencie spadł z koła pas. Zanim go nałożyli przyjrzałem się Mandziarowi. Był cały mokry, zakurzony, zlany potem. We łbie, na karku, za koszulą miał pełno ości. Ponieważ przerwa w robocie przewlekała się parę minut, podszedł do maszyny zaniepokojony sam Miętus. Mijając Mandziara rzucił na niego pogardliwie okiem, a widząc, że chłopa opadają portki niżej pępka szturknął go batem.

— Popraw że se portki — warknął — bo ci ptok wylizie, a dzieci małe się tu kręcą.

Parobek cofnął się w tył, żeby zrobić miejsce gospodarzowi, następnie zaś wsparłszy się na widłach patrzył na tych co majstrowali koło pasa.

Stanisław Słupek

Fragment opowiadania.

ILJA ERENBURG

Fragment powieści „Dziewiąta Fala“)*

NA KONGRESIE W WARSZAWIE

Delegat Kongo — Felix Tehicaya

Delegatki Indii i Korei

WSZEDŁSZY do ogromnej sali. Jenny zatrzymała się wstrząśnięta: są tu ludzie ze wszystkich krańców świata i wszyscy są jej przyjaciółmi. Siadła przy stole amerykańskiej delegacji; z jednej strony siedział Marc James, z drugiej wielebny Mackhil. Marc James powiedział jej od razu: „Ile tu ludzi! A wiesz dlaczego? Ludzi jest w ogóle więcej niż szubrawców. Oni chcą zrobić świństwo, ale ludzie im nie pozwolą“. Jenny nie wiedziała na co wpierw patrzeć: Chińczycy, Hindusi w pstrych szatach, polska chłopka, Arabowie, biskup w wysokiej czapie. A oto tam, Murzyni z Afryki. Próbowała się z nimi porozumiewać, ale nie znali angielskiego Jeden objął ją, mimo wszystko zrozumieli się wzajemnie... Wielu tu ludzi znakomitych, których wszyscy znają. A obok ludzie prości, tacy jak ona. Na pewno znajdzie się wśród nich także szwaczka, która szyje bluzki... Wszyscy wstają i klaszczą. Człowiek na trybunie uśmiecha się nieśmiało, usiłuje ręką uspokoić salę. To Joliot-Curie, Jenny poznała go — w pokoju, gdzie pracuje Betty, wisi jego portret.

Włożyła słuchawki. Ściany sali rozsunęły się od razu: Przed nią leżał wielki świat. Dokierzy z la Rochelle stali dumni w porcie i mówili, że nie będą wyładowywać armat. Chłopi sycylijscy szli przez pola, przysięgali, że będą bronić ziemi i śpiewali cudowną pieśń. Wśród wysokiego kaoliangu biegli naprzód Chińczycy, spiesząc na pomoc Koreańczykom. Górnicy z Boliwii odpowiadali żandarmom „Nie będziemy pomagali zabójcom“. Nad brzegiem Wołgi rósł jak w bajce nowy Stalingrad Fellahowie omdlewając z gorąca zbierali podpisy Stary Hindus czytał wiersze o szczęściu.

— Będę mówił o sobie — zaczął swoje przemówienie Sablon — gdyż jest jeszcze wiele ludzi, którzy myślą tak. jak ja myślałem dwa lata temu. Człowiekowi nie pierwszej młodości trudno jest sobie wyobrazić, że go oszukują, że jest zabawką w cudzych rękach. Szczególnie trudno pogodzić się z tym nam, Francuzom, przecież u nas każdy żółtodziób uważa się za doświadczonego wróbla. Nawet wówczas, kiedy człowiek zaczyna podejrzewać, że go oszukują, kurczowo chwyta się kłamstwa, gdyż mu się wydaje, że w ten sposób broni swej niezależności. Przekonano mnie, że Rosjanie chcą wojny, pisano o tym w gazetach, tak twierdzili wszyscy dookoła. Wielu z tych, którzy tak mówili lub pisali, byli ludźmi uczciwymi, ich także oszukiwano. Inni może dlatego w to uwierzyli, że bali się komunizmu. Nie jestem komunistą, wiele z tego, co mówią i robią komuniści, jest mi obce. Może z czasem stanie mi się bliskie, nie wiem. Komuniści chcą przebudować życie, dlatego bronią pokoju. Nie cenię ani starych przywilejów, ani przesądów, ale wyznam szczerze, że dotychczas nie zastanawiałem się głębiej nad tym, jak należy przebudować życie. Dawno jednak zrozumiałem — wiedziałem o tym nawet wówczas, kiedy myliłem się co do wielu spraw — że jeśli wybuchnie znowu wojna, nikt nic nie potrafi wybudować. Nie bedzie w ogóle można żyć. Wśród tych, którzy bronią pokoju, jest wielu komunistów i ja ich nazywam moimi towarzyszami, jak nazywałem w Ruchu Oporu, a potem w Oświęcimiu. Teraz rzeczą najważniejszą jest uratowanie pokoju Było to zaledwie przed dwoma laty, nawet wcześniej, mnie się wydaje. że to było bardzo dawno, kiedy pojechałem do Moskwy jako korespondent „Transocu“. Chodziłem po Moskwie pełen niepokoju. Chwilami wątpiłem o swej słuszności, ale jeszcze nic nie widziałem, nic właściwie nie rozumiałem. Chciałbym teraz, w tej ważnej dla mnie chwili, podziękować pewnemu rosyjskiemu obywatelowi. To skromny lekarz, nazywa się doktór Kryłow. Powiedział mi, że jego specjalnością są choroby uszu i nosa. Ale mnie wyleczył z najstraszliwszej choroby — ze ślepoty. Pierwszy otworzył mi oczy. Jeszcze długo szukałem, błądziłem, wątpiłem. Dowiedziałem się, czym zajmują się ludzie, których „Transoc“ wysyłał do Pragi i innych miast — Coster czy major Smeadle: oni zabijali niewinnych ludzi. Oni i teraz zabijają W chwili kiedy my tutaj mówimy o braterstwie. oni strzelają zza węgła, rzucają bomby na miasta Korei, szykują nową wojnę w Europie. Czyż my, ludzie z całego globu ziemskiego, nie potrafimy ich powstrzymać?...

Sablon opowiedział o pułkowniku Robertsie, o nowej agencji „Pax“, o tym, że Downavan organizuje grupy morderców.

Wśród dziennikarzy znajdował się korespondent „Paxa“ Dumpsey. Pisał bez przerwy. Korespondent „United Press“ szepnął: „Pan słyszał, co on powiedział o pańskiej agencji?“ Dumpsey kiwnął głową i pisał dalej. Cały dzień myślał, co by tu posłać Bernsonowi i nagle spłynęło na niego natchnienie. Przypomniał sobie, jak rano przed hotelem „Bristol“ uczniowie szkół wzięli go za delegata i prosili o autograf. Artykuł zaczął tak: „Kongres przebiega bezbarwnie. Mówcy znudzeni do ostateczności czytają z kartek przemówienia jedno podobne do drugiego — chwalą Rosjan i wymyślają Amerykanom. Ludność została zmobilizowana, szeregi nieszczęsnych mieszkańców muszą witać dalegatów. Robią to z nieukrywaną nienawiścią, zarekwirowano im nie tylko mieszkania i pokoje, ale nawet łóżka. Skazano ich, literalnie, na głód, dlatego, że cała żywność zostaje pochłonięta przez dobrze odkarmionych „obrońców pokoju“. Kiedy rano wyszedłem z hotelu, obstąpiły mnie głodne dzieci błagając o kawałek chleba. Wsunąłem im kilka tabliczek amerykańskiej czekolady i byłem jedynym przyjezdnym, którego tutaj witano z całego serca“.

Nagle do sali wniesiono kosze z wielkimi gwiaździstymi goździkami. Rozkwitły na długich stołach i jak czerwona gwiazda przytuliły się do policzka Jenny Na trybunę weszła Josephine Gaudet.

— Nizza przysyła swoje kwiaty obrońcom pokoju...

Dzieci polskie witają Kongres

Jej górna warga z maleńkimi czarnymi wąsikami drżała ze wzruszenia. Josephine Gaudet opowiedziała, jak walczą przeciw wojnie kobiety Francji:

—Raymonde Dien rzuciła się na szyny, żeby zatrzymać pociąg z amunicją W mojej ojczystej Nicei, kiedy ludzie strącili do morza wyrzutnię dla „V-2“ na przodzie szła bohaterka Ruchu Oporu — Mado Lancier. albo jak my ją nazywamy — Mado...

Jenny widziała w wyobraźni maleńką kobietę. Ma dwadzieścia lat i niedawno wyszła za mąż. Ukochany czeka na nią, a ona wie, że pociąg niesie śmierć ludziom. Pociąg mknie jej naprzeciw Kładzie się wówczas na szyny. Zamykają ją w więzieniu i sądzą A oto ta druga, — nad błękitnym morzem, pochwycił ją żandarm, ale wyrwała mu się i oto jakaś obrzydliwa „rama“‘ leci do wody... Jenny tak zaklaskała, że Marc Jamez uśmiechnął się dobrodusznie: „Boję się, że ogłuchnę...“

Mówiła Koreanka Pak Den Ai, delikatna kobieta w długiej białej szacie. Nikogo tak nie słuchano jak jej. Obok Jenny siedziała już niemłoda Amerykanka i płakała. To była właścicielka owocarni, pani Brawer, której syna wysłano na Koreę Pak Den Ai opowiadała, ile nieszczęść przynieśli Amerykanie jej cichemu, jasnemu krajowi. Jenny rozumiała wszystko. Oto w ten sam sposób wdzierali się do domów murzyńskich Ride albo Richmond młodszy i zabijali dzieci Pewna Koreanka niosła na plecach dziecko, potem chciała nakarmić je piersią i zobaczyła, że dziecko nie oddycha: zabił je odłamek bomby. Ale Koreańczycy nie poddali się i nie poddadzą się nigdy. są dumni i uratują swój kraj...

Kiedy Pak Den Ai skończyła przemówienie. wszyscy wstali, wiele osób podbiegło do niej. ściskano jej ręce, obejmowano Wielebny Mackhil także podszedł do Koreanki i powiedział: „Wybaczcie prostym Amerykanom, oni nie wiedzą. co czynią. A nikczemnicy. którzy rozpętali tę wojnę, odpowiedzą przed Bogiem i przed ludźmi“. Pani Brawier wciąż płakała. przez łzy poprosiła tłumaczkę: „Niech jej pani powie. że bardzo mi wstyd. mam tam syna. “ Jenny stała z boku; potem nieśmiało podeszła do Koreanki — nie wiedziała, jak ma wyrazić swoje uczucia Pak Den Ai objęła ją; wówczas Jenny rozpłakała się z bólu i radości.

Profesor Kennet wrócił zadowolony z posiedzenia komisji, powiedział, że robi się wielką rzecz — tworzy prawdziwy program pokoju Bał się, że radzieccy delegaci będą na wszystko mówić „nie“, ale oni uważnie słuchają co mówią inni. wnoszą umiarkowane propozycje, zgadzają się na poprawki „Teraz widzę. że można się z nimi dogadać‘ — powiedział Kennet

W przerwie między dwoma posiedzeniami Marc James z grupą delegatów pojechał oglądać Warszawę. Po powrocie powiedział: „Oto co znaczy, kiedy nie ma wyzyskiwaczy! Hitlerowcy zniszczyli miasto doszczętnie. A spójrzcie tylko. co zrobili Polacy!... U nas się chwalą, że szybko budują, ale mnie się zdaje, że tutaj budują jeszcze szybciej: ludzie rozumieją, że budują dla siebie. Kiedy wrócimy. będziemy mieli co opowiadać Mogą nam. oczywiście, zamknąć usta, bo w Ameryce szykuje się niesłychane świństwo“...

Korespondent agencji „Pax“, Dumpsey, nudził się: co za przeklęta robota! Pisać nie ma o czym, a trzeba siedzieć w jednej klatce z czerwonymi drapieżcami. Kto wie, co im może przyjść do głowy Ale trzeba czekać na wystąpienie Rogge. Obiecał, że wywoła skandal. Będzie o czym pisać...

Udzielono głosu Jenny Camber.

— Nigdy nie występowałam na takim wielkim zebraniu — zaczęła Jenny — i jestem bardzo wzruszona. Jestem zwykłą Murzynką, szwaczką Do zeszłego roku mieszkałam w Jacksonie, w stanie Mississipi. Z trudem się powstrzymałam, żeby nie krzyknąć, kiedy mówił francuski dziennikarz Sablon, wymienił przecież ludzi, których je znam także. Major Smoadle urządził w Jacksonie straszliwy pogrom, spalono cukiernika Banga. zabito czteroletnią dziewczynkę. Smeadle i dawniej szczuł swoich ludzi, oni rok rocznie wieszali Murzynów albo oblewali ich benzyną i palili Oto skąd się wzięli mordercy, o których mówił Sablon; uczyli się u siebie w domu, a potem zaczęli zabijać gdzie indziej. Richmond młodszy nie pojechał może na Koreę, ale pojechali tacy jak on. Dlaczego ludzie, którzy rządzą naszym krajem, chcą wojny? Bo są chciwi i źli. Miałam przyjaciela, który pracował na plantacji senatora Lowa. Złapano go, chciano posadzić na krzesło elektryczne, powiesił się. Napisał mi, że powinnam być dumna i zła Staram się być dumna; teraz, kiedy wrócę do Ameryki, będę walczyć lepiej niż walczyłam dawniej, — przekonałam się, iie nas jest na całym świecie, czuję u ramion skrzydła Mój przyjaciel był na wojnie i opowiadał mi, że oficerowie kpili sobie z czarnych żołnierzy. A przecież u nas mówiono wówczas, że walczymy z Hitlerem dlatego, że on gnębi inne narody, zabija Żydów. Wczoraj pewna Polka pokazywała mi Warszawę. Widziałam, co tu narobili ci mordercy. Jakie to szczęście, że Polska jest teraz wolna. że tu nie ma ani Niemców, ani Amerykanów w rodzaju Smeadle‘a. Dlatego właśnie Polacy odbudowują swoje miasto, odbudowują w dzień i w nocy. Kiedyśmy wczoraj wracali z nocnego posiedzenia, widziałam, jak ludzie pracowali przy świetle reflektorów. Tak się cieszę, jak gdyby te domy należały do mnie. Przecież nie cieszyłam się, kiedy Richmond budował dom w Jacksonie, a tutaj się cieszę. Polka zaprowadziła mnie na teren dawnego ghetta. tam dotychczas są same ruiny, strasznie jest spojrzeć. Opowiedziała mi, że w ghetcie Niemcy trzymali Żydów Ja to rozumiem: u nas w Jacksonie też jest część miasta przeznaczona tylko dla Murzynów. Polka mi opowiadała, jak w ghetcie ludzie powstali. i jak zginęli w nierównej walce. Ja, kobieta z Jacksonu, pokłoniłam się nisko pomnikowi — ci ludzie zginęli dlatego, że obudziła się w nich duma i godność Ciężko nam jest teraz żyć w Ameryce. — nie mówię tylko o Murzynach. — trudno jest wszystkim ludziom uczciwym. Może wiecie o tym. że profesora Mickleya niedawno wsadzono do więzienia jak Howarda Fasta, że chcą sądzić Hirestone‘a, którego oskarża się o szpiegostwo, tymczasem wina jego polega tylko na tym, że chciał pokoju i zbierał podpisy pod apelem sztokholmskim Hirestone ma ukochaną, nie wymienię jej imienia. jest bardzo odważna, jak te Francuzki, o których tu była mowa. Takich jak ona jest w Ameryce wiele Bardzo was proszę, nie sądźcie naszego narodu na podstawie szubrawców Jeszcze zobaczycie Amerykę i jej prawdziwe serce. Nasze gazety piszą, że Rosjanie to nasi wrogowie. Mój przyjaciel, którego zabili ludzie Smeadle‘a, opowiadali mi, że rosyjski pułkownik na Łabie uścisnął mu rękę. Wspominał o tym przed śmiercią, napisał o tym do mnie. Wiem, że naród radziecki pragnie pokoju. Nad moim łóżkiem wisi portret Stalina. Kiedy tutaj występował delegat radziecki Szobarszyn. bałam się opuścić choćby jedno słowo Zapisałam wszystko i będę mogła opowiedzieć w Ameryce. Mojego przyjaciela tutaj nie ma. zamęczyli go. ale pragnę uścisnąć rękę radzieckiego delegata w imieniu mojego przyjaciela i w imieniu wielu innych — czarnych i białych... Ujrzałam tutaj nowy świat Nikt ode mnie nie stroni dlatego, że jestem czarna Polka zapytała, czy nie chciałabym zostać w Warszawie. odpowiedziałam. że chcę wrócić do domu Tutaj, oczywiście, byłoby mi o wiele lżej Ale ja kocham Amerykę. Człowiek rodzi się raz w życiu, umiera raz w życiu i ojczyznę ma tylko jedną Mój ojciec pracował na plantacjach koło Jacksonu i matka tam pracowała, tam się urodziłam, nad brzegiem żółtej rzeki, tam w lasach drzewa są porosłe mchem i kaktusy wyższe od człowieka. Tam jest wiele, bardzo wiele niedoli. Człowiek, jeżeli trzeba, powinien umrzeć za ojczyznę, jak umierają Koreańczycy, jak umarł student Paragwaju, jak umierali bohaterowie Stalingradu Ukończyłam szkołę początkową, staram się czytać jak najwięcej, ale umiem jeszcze bardzo mało; w naszej delegacji są uczeni i wszyscy nasi delegaci są starsi ode mnie. Mogę obiecać tylko jedno: coby się ze mną nie stało, będę walczyć o człowieka, o braterstwo, o pokój. Przysięgam, że tak uczynię, ja — Jenny Cambor, szwaczka z Haarlemu.

Ilia Erenburg

Przeł. **Gabriela Pauszer-Klonowska**

**) Fragment powieści, która się ukaże nakładem „Czytelnika“.*

JANUSZ MACIEJEWSKI

Notatnik z pola walki

I

DOBRA publicystyka polityczna (bo o publicystyce tutaj chcę mowić) wcale nie jest gatunkiem błahym ani łatwym. Ma takie same wymagania i tyleż kosztuje wysiłku co dobra poezja lub proza powieściowa. Meritum zagadnienia leży natomiast w tym, że ogólnie przyjęło się stawianie publicystyce o wiele mniejszych wymagań niż „prawdziwej“ literaturze, w wyniku czego dobra publicystyka jest naprawdę rzadkością. Dlatego z tym większym uznaniem należy powitać kilka naprawdę dobrych zbiorków publicystycznych. napisanych przez znanych pisarzy, jakie ukazały się ostatnio na półkach księgarskich. Dwum z nich — tomikom Kruczkowskiego [1]) i Iwaszkiewicza [2]) chciałbym poświęcić nieco miejsca w niniejszym artykule.

Tytuł zbiorku Iwaszkiewicza „*Sprawa Pokoju*“ nadawałby się właściwie z równym powodzeniem na nazwę tomu Kruczkowskiego. bo też oba zbiorki śmiało można by nazwać notatnikiem z pola walki o pokój, składają się bowiem na nie w większej części przemówienia i referaty wygłaszane na najrozmaitszych imprezach w obronie pokoju lub artykuły pisane w związku z nimi.

Większość artykułów zawartych w zbiorkach powstało po 1948 roku, jednak znajdujemy tu także wcześniejsze (u Kruczkowskiego jeden nawet przedwojenny), gdyż walka o Pokój nie zaczęła się od Kongresu Intelektualistów we Wrocławiu, choć kongres ten wprowadził ją na nowe, zorganizowane tory. Walka o Pokój początkami swymi sięga 30 lat wcześniej. do zarania istnienia pierwszego państwa socjalistycznego, bowiem „obrona pokoju, walka o pokój — mówiąc słowami Kruczkowskiego— jest od początku istnienia Związku Radzieckiego fundamentem jego polityki zagranicznej“, bowiem nosicielem idei pokoju był od początku swego istnienia marksistowski ruch robotniczy, ideologia partii komunistycznych. Dlatego tę samą rolę ideową, co inne powojenne artykuły pełni w zbiorku Kruczkowskiego ciekawy artykuł — wspomnienie „Dwa przeżycia paryskie“, jedyny w „Spotkaniach i konfrontacjach“ utwór przedwojenny, drukowany w „Sygnałach“ w 1938 r. Wspomnienie to wywiera na czytelniku szczególnie silne wrażenie, jest wymownym świadectwem, ile w publicystyce tkwić może artystycznej ekspresji. Świadczy jeszcze o jednym, że publicystyka jest rodzajem literackim wyjątkowo rozległym i giętkim, dającym wiele możliwości dla artystycznych poszukiwań. Konstrukcja omawianego artykułu-opowiadania oparta jest na konfrontacji dwóch przeżyć autora podczas pobytu w Paryżu jesienią 1938 roku. Jedno stanowiło zetknięcie się autora „Kordiana i chama“ z rękopisem pamiętników Deczyńskiego, drugie — odnalezienie na cmentarzu Pere Lachaise grobu polskiego bojownika o wolność Hiszpanii, antyfaszysty dr. Dubois-Domańskiego „Deczyński i Domański: dwa nazwiska dwa fakty polskie, oba z jednej. tej samej wielkiej Sprawy dwa moje przeżycia paryskie dusznej jesieni 1938“

Nie wszystkie powojenne szkice Kruczkowskiego mówią o walce o pokój choć wszystkie służą jej w mniej lub bardziej bezpośredni sposób. Obok więc artykułów takich jak „Stalinowska strategia pokoju“ „Na Kongres Wrocławski“, Tematy amerykańskie“ znajdziemy wiele omawiających zagadnienia zdawałoby się odległe od głównego tematu. Jest to jednak tylko pozorne. Bo sprawie pokoju służy także szczera troska o byt robotnika w ustroju kapitalistycznym. („Spotkania i konfrontacje“ — o życiu naszych rodaków górników w Belgii), stanowiąca uzupełnienie do „Tematów amerykańskich“ lub „Broni atomowej“ pokojowi służy także radość i duma z osiągnięć i zdobyczy nowego człowieka w kraju socjalizmu („U radzieckich przyjaciół“. „Lenin“)

Ten sam rys. ta sama cecha widnieje także w grupie artykułów, które ze względu na tematykę zaliczylibyśmy do publicystyki kulturalno - literackiej Składają się na nie omówienia wielkich rocznic literatury europejskiej („Na Puszkinowskim szlaku“ — obchód 150 lecia urodzin Puszkina, „Pakt Weimarski‘ — o 200-leciu urodzin Goethego, obchodzonych w NRD), artykuły dyskusyjne w związku z graną w Niemczech sztuką naszego autora — „Niemcami“, wreszcie recenzja z książki Heinza Reina „Finale Berlin“, czy ciekawy, odkrywczy artykuł o nieznanym w Polsce duńskim pisarzu-rybaku, autorze książki o Polakach emigrantach w Danii („Odkrywamy Hialmara Wulfa“).

Szczególnie cenną w książce Kruczkowskiego jest ogromna żarliwość, siła agitacyjna, z jaką ten zasłużony pisarz proletariacki potrafi przemawiać, z jaką umie mobilizować wszystkich uczciwych ludzi do służenia największej sprawie ludzkości. Cel i sens książki zawiera się w służeniu Pokojowi. Jest też ona jednym wielkim apelem, który da się wyrazić słowami umieszczonymi w ostatnim artykule zbiorku: „Wojny nie będzie, jeśli my wszyscy, uczciwi ludzie, bez różnicy ras, narodowości, wyznania czy poglądów politycznych, będziemy zdecydowanie bronić pokoju wszelkimi dostępnymi nam środkami. Wojny nie będzie, jeśli my do niej nie dopuścimy Wojny nie będzie, jeśli my wszyscy objawimy naszą solidarną wolę odparcia wszelkich zamachów na pokój“. (Od złudzeń neutralizmu do rzeczywistości).

Jarosław Iwaszkiewicz

II.

PODOBNIE jak u Kruczkowskiego, tak i u Iwaszkiewicza spotykamy się z bogatym materiałem publicystycznym, przekraczającym niejednokrotnie swymi ramami „akcje“ pokojowe, chociaż tak samo, a może nawet jeszcze więcej niż u Kruczkowskiego zwartym tematycznie. Bo przecież odbudowa naszego kraju („Na wydobycie pancernika „Gneisenau“) to także walka o pokój, wszak represje polityczne w państwach kapitalistycznych („Oda do Francji“, „List do Eluarda 1951“) stanowią ciężkie przeciwko niemu wykroczenie.

Tematycznie utwory Iwaszkiewicza obracają się wokół dwóch zagadnień Jednym z nich jest ciągłe apelowanie do sumienia ludzi dobrej woli, zawarte — przeważnie w przemówieniach wygłaszanych podczas wielu jego podróży zagranicznych z ramienia stałego Komitetu Obrońców Pokoju Drugie, ściśle z pierwszym związane stanowią rozważania o roli społecznej inteligencji twórczej, poszukiwanie wzorów politycznej, agitacyjnej, głęboko humanistycznej literatury i sztuki Służy temu zarówno piękna proza Iwaszkiewicza jak i poezja Bo zbiorek Iwaszkiewicza składa się nie tylko z publicystyki, ale przeplatany jest licznymi wierszami Efekt takiego układu jest więcej niż zadowalający. Wiersze wyśmienicie uzupełniają publicystykę, tworząc razem zwartą sugestywną całość.

Iwaszkiewicz przemówił tu „pełnym głosem“ jako artysta operujący różnorodnymi środkami wypowiedzi, a sam fakt pozytywnej symbiozy obu gatunków jest świadectwem wysokiego poziomu artystycznego jego publicystyki Ale nie tylko na „pięknej sztuce pisania“ której nikt Iwaszkiewiczowi nie zaprzeczy, polega wartość „Sprawy Pokoju“ Stanowi ją przede wszystkim żarliwa bojowość jego dzieła słuszna analiza sytuacji międzynarodowej głębokie zrozumienie roli i zadań pisarza i artysty w dzisiejszej rzeczywistości — zrozumienie jego miejsca w rozgrywającej się walce

Główna idea walki o pokój jako walki twardej, nieustępliwej, polegającej nie tylko na pięknych słowach ale i na trudzie codziennym, zawiera się już w umieszczonym na początku zbiorku programowym wierszu „Pokój“.

...„Nie zrodzi nam się z kwiatów naręczy,
Nie na piorunie nie na obłoku,
Nie spłynie nam nas z niebieskiej tęczy
Na ziemi pokój!
Tylko się musi narodzić z woli,
Jak krew wytrysnąć z naszego boku,
Z wysiłków naszych rosnąć powoli
Na ziemi pokój!

Przetłumaczywszy to na język publicystyki można powiedzieć słowami autora:

„Sytuacja jaka wytworzyła się w obecnym świecie z winy imperialistycznych apetytów państw kapitalistycznych zmusza nas do przekonania młodzieży, że pokój należy nie tylko propagować, w pokój wierzyć i nad powszechnym pokojem pracować, ale również, że o pokój należy walczyć“.

Publicystyka Iwaszkiewicza, posiadająca formę pięknego. swobodnego essayu szczególnie często obraca się w pobliżu zagadnień związanych z kulturą i sztuką, szczególnie dobitnie wykazuje. że „obrona pokoju jest to obrona kultury: tego wszystkiego co w przeszłości naszej było jasne i trwałe co było zamierzeniem naprzód. tego co w teraźniejszości jest twórcze, i tego co w przyszłości stanie się urzeczywistnieniem“. Dlatego książka Iwaszkiewicza ma dla nas jeszcze jedno znaczenie. Jest ważnym dziełem agitacyjnym, którego adres społeczny brzmi: ludzie nauki. sztuki, kultury. Skierowany jest on przede wszystkim do artystów.

„Nie ulega dla mnie wątpliwości — mówi Iwaszkiewicz — że dla

(Dokończenie na str. 11)

[1]) *Leon Kruczkowski. „Spotkania i konfrontacje“ — PIW — 1950.*

[2]) *Jarosław Iwaszkiewicz. „Sprawa Pokoju“ — Czytelnik — 1952.*

WANDA MELCER

DŻUMA



Rys. Jan Kober

Koniec marca 1951 roku, dziewiąty miesiąc wojny koreańskiej. Wojska ludowe rozgromiły wprawdzie dywizje południowo-koreańskie, ale Amerykanie posunęli się aż ku Mandżurii. Mac Arthur otrzymał właśnie dymisję. Naród koreański zbiera siły do kontrofensywy.

Statek szpitalny nr 1902 przybył na Morze Żółte i stoi na redzie portu In-Czon, żeby pod pozorem niesienia ludności pomocy dokonywać zbrodniczych doświadczeń na jeńcach.

Akcja powieści rozgrywa się w ciągu jednego dnia, rozpoczyna się w niedzielę o 10 rano, kończy o północy. Na pokładzie zebrała się grupa marynarzy. Jest wśród nich poeta ludowy, Murzyn Homer Ratcliff, komunista Olof Petersen, jest Francuz Laurent Simmier i Amerykanin John Dobrey. Sygnalizowano Partii podejrzany statek i Petersen dostał się nań z wielkimi trudnościami, żeby zdemaskować Amerykanów i o ile możności przeszkodzić ich zamiarom. Prowadzi on więc dyskretną agitację, do której zwolna wciąga coraz szerszy aktyw. Wprawdzie załoga skompletowana jest wśród bezrobotnych, obieżyświatów i awanturników, którzy znęceni wysokimi zarobkami pragną za zarobione dolary prowadzić burżuazyjny tryb życia w ojczyźnie — nie są to jednak w większości ludzie pozbawieni sumienia. Fakt, że Koreańczycy i Chińczycy nie bombardują szpitala skłania ich do zastanowienia, a bezwzględność amerykańskiego łącznika i niemoralność sióstr szpitalnych odstręcza. Przy tym John Dobrey, młody chłopak, który zaokrętował się by się przedrzeć do wojsk ludowych i świadoma akcja Petersena podniecają ich niepokój w związku z dżumą, a bombardowanie portu przeraża.

— Mówicie różne rzeczy o „gukach", *) ale kto ich tak naprawdę widział? — podjął znów Lenart Sorensen. — Rozmawiał kto z nimi?

— A po jakiemu? Po dzikiemu? Nie potrafię — odrzekł któryś.

Przez chwilę milczeli, przypominając sobie nieliczne napotykane w portach twarze ludzi, k órych żółtawa cera, skośne oczy i nieznany język zdawały im się nieprzeniknioną przeszkodą.

— Kto... kto widział? — rzekł jąkając się Claes Norling. — Ja widziałem. I nie tylko widziałem. Rozmawiałem z takim.

Ten biedny Claes! Więc i on miał coś ciekawego do powiedzenia. Wszyscy skierowali ku niemu oczy i zamilkli, przysłuchując się, co powie dalej. Nie był do tego przyzwyczajony, oczekiwał raczej, jak zwykle drwinek ze swego powolnego sposobu mówienia, lekkiego zająkiwania się, nielotnej myśli. Strwożony, zamilkł na dobre.

— Gadaj że — przynaglił go Francuz. — Po jakiemu z nim rozmawiałeś?

Widząc, że się nie wykręci, rozpoczął opowiadanie.

— Dwa lata temu... Tak, to było chyba ze dwa lata temu, na jesieni. Dobrze mówię, wrzesień, albo może nawet październik.

Simmier wzniósł ręce do nieba.

— Tempo, tempo! Jak tak będziesz opowiadał, do wieczora nie skończysz. Wrzesień, październik, nawet i listopad.

Zmaltretowany Claes kilkakrotnie otwierał i zamykał usta, ale żaden dźwięk przez nie się nie wydostawał.

— Daj mu pokój — powiedział zniecierpliwiony Sven — peszysz chłopa i nic ci nie powie. Gadaj, Claes!

— Masz rację, Laurent, to było chyba w początku listopada — powiedział wreszcie Claes po głębokim namyśle, nie zauważając uśmiechów na twarzach marynarzy — jak przyszedł na stocznię jeden żółty. Nie odróżnialiśmy ich wtedy, co za jeden. Jak potem opowiadał, stał przez parę godzin pod wrotami, bo nie chcieli go puścić. Musiał pokazać, co ma ze sobą i dopiero go wpuścili.

Czekali, żaden mu nie przerywał, choć doprawdy nieskładnie mu to szło.

— A on miał raptem ze sobą małpki — dokończył Claes, oddychając głośno.

— Małpki? Dużo? Na katarynce? — pytali.

Co ty pleciesz? — zgorszył się Claes. — Na jakiej znowu katarynce? W ręku miał elegancką walizeczkę z porządnej skóry, a w tej walizeczce różne wyroby z takiego kamienia, jaszma on to nazywał, ręcznie obrabiane: wazoniki, ptaszki, popielniczki, siedzące i stojące małpki. Zbiegliśmy się wszyscy, bo to nie było drogie i każdemu się podobało, kupowaliśmy. No, to ja po pracy wracam do domu, patrzę, a on znowu stoi u zbiegu ulic i sprzedaje te swoje wyroby. „Ty, ja cię skądciś znam" — powiada do mnie. „Czy nie widziałem cię rano na stoczni?" Owszem, mówię, to prawda. „Nie mam gdzie mieszkać" — powiada dalej — „jestem tu obcy, dopiero dziś rano przyjechałem. Może wskażesz mi jakiego kolegę, u którego mógłbym się na parę tygodni zatrzymać"? A u nas w Odense, rozumiecie, już się zaczynał kryzys, mieliśmy z żoną dwa pokoje i myśleliśmy o sublokatorze. Wziąłem ja go do siebie — tylko, żebyś porządnie płacił — upomniałem — bo ja nie bogacz! Umiał parę słów po duńsku, potem lepiej się przyuczył, z paru tygodni zrobiło się kilka miesięcy i tak przemieszkał u mnie całą zimę.

— Płacił? — spytał Laurent Simmier.

— Nie mogę powiedzieć, płacił, nigdy mnie nie oszukał. Potem pojechał i więcej go nie widziałem.

Nie było to bardzo ciekawe opowiadanie i marynarze poczuli się rozczarowani. Czegóż się dowiedzieli o tym żółtym? Nie wiedzą nawet jeszcze, jakiej był narodowości. A Claes zmęczył się, oddycha ciężko, jakby nie wiem jaką robotę wykonał, że tak długo mówił.

Bez wielkiej nadziei, żeby się jeszcze czegoś dowiedzieć, Lenart zagadnął jednak:

— No i co z tego?

Claes ożywił się.

— Jakto, więc jeszcze wam nie powiedziałem? Mówiliśmy o... wojnie, — tu się znowu zająknął, łapiąc ustami powietrze. — No więc są różne sposoby prowadzenia wojny. Bo to był Mandżur. Strzelec.

— Strzelec wyborowy? Snajper? — nacierał Sven.

Claes spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Nie — wyjaśnił po chwili — strzelec świstaków.

Niecierpliwy Francuz podniósł oba ramiona w górę, rzeczywiście już jak ten Claes zacznie opowiadać!

— Czego?

— Swistaków — powtórzył Claes — no, nie wiesz, co to są świstaki? Takie stepowe zwierzątka, tego podobno w Mandżurii pełno i ludzie do nich strzelają. Żyją z tego ci ludzie. Niektórzy oczywiście, nie wszyscy

— Po co? Jedzą toto?

— Nie, na futra. Tam są miliony, oni zawsze wysyłali te skórki do miast do wyprawienia i z tego żyli. Niby ci strzelcy.

— I czemuż on tam nie został? Zrobił tyli świat drogi, żeby ci sprzedać rzeźbioną małpkę?

— Głu... głupiś — zaczerwienił się Claes. — Więc on strzelał te świstaki i z tego żył. Ale wtedy była w Mandżurii japońska okupacja i on miał lata i wzięli go do wojska. Japończycy I wiecie, co mu kazali strzelać? Świstaki.

Marynarze przysunęli się bliżej.

— Świstaki?

— A ci generałowie japońscy, co robili z tym świstakami? Sprzedawali, czy sobie na futra?

Claes powolnie pokręcił głową.

— Nie, wcale nie było tak, jak myślicie. Bo on początkowo też nie wiedział tego wszystkiego, dopiero potem się dowiedział. Te świstaki, szczury, gryzonie tamtejsze, ogromnie chorują. Wszystkie, całymi gromadami, całymi stadami. I to, że on sam początkowo, jak był tym strzelcem na własną rękę, nie zachorował, to tylko mu się tak udało. Bo wielu strzelców choruje i umiera.

— Na co? Zarażają się?

— Tak, zarażają się dżumą.

Marynarze spojrzeli po sobie. Usłyszeli więc znowu to okropne słowo, którym straszyły ich w domu rodziny. Można się zarazić dżumą, w Azji dżuma mówiły żony i matki. Dżuma, okropna choroba, o której od setek lat pisano książki, która przetrwała w tradycji narodów, jak najokropniejsza, nieodwracalna śmierć. Milczeli. A Claes ciągnął dalej:

— Zabijał on te świstaki i znosił do obozu, ale nauczyli go, jak to robić ze wszystkimi ostrożnościami, nie chcieli tracić takiego strzelca. Miał wysokie buty, rękawice, dezynfekowane torby. A oni znów mieli laboratoria, jak my tutaj i badali te tam susły, świstaki i szczury, które chore, a które nie. Bo gryzonie chorują na dżumę, ale od niej nie umierają, mogą z nią żyć a żyć. Od dżumy umiera tylko człowiek.

— I zarażali się od tych świstaków?

— Nie, to cała historia. Zarażali się od pcheł. Nie chcecie mi wierzyć? Od pcheł.

— Pchła, to czyste stworzonko — powiedział Olof, ale dreszcz mu biegł po grzbiecie.

— Ładnie czyste! Daję wam słowo, że jak takich rzeczy słucham, to mi się zdaje, że mnie coś gryzie — powiedział Lenart i podrapał się po łopatce.

— A my tu na okręcie nie mamy szczurów? Takie — pokazał na łokciu Laurent.

Claes zamyślony mówił dalej. Nawet przestał się jąkać.

— Dziwna to historia, prawda? Strzelał te świstaki, strzelał, to znowu szczury łapali, psy mieli przyuczone, o, jak on o tych psach opowiadał, można było słuchać, a słuchać. Dobrze się już potem nauczył po duńsku i oboje z żoną słuchaliśmy całymi wieczorami, jak opowiadał o swoim życiu.

— I cały czas strzelał te świstaki?

— Nie, potem znowu brali go do innej roboty. Powiadam wam, uśmiać się można — mówił Claes, ale żaden uśmiech nie pojawił się na jego twarzy — uśmiać się można, czego to ludzie nie wymyślą! Wyobraźcie sobie, potem go znowu przerzucili do liczenia pcheł.

— To on tak lewą ręką liczył te pchły, a prawą strzelał, co? — zapytał z kpiną Lenart.

— Robili to oni tak. Wprost wierzyć się nie chce. Brali bomby i ładowali je pchłami.

Wykrzyknęli ze zdziwienia.

— Pchłami? Alboż to pchła wyżyje podczas wybuchu?

— Mieli jakiś swój sekret, on naturalnie nie wiedział, jaki. Dość, że wyrzucali bomby z tymi pchłami z samolotów na ogrodzone pola, a na tych polach znowu ustawiali drewniane tablice z lepem, to znaczy nie ustawiali, kładli i pchły się na ten lep łapały. To było często daleko od obozu, w stepie. I on chodził kontrolować tablice, zawsze w rękawicach, w długich butach. Ile pcheł się na ten lep złapie. Zapisywał i podawał.

Milczeli w niemym podziwie. Nagle Sven roześmiał się szerokim śmiechem.

— Ha ha ha, jeżeli by tylko pchłami strzelali, to proszę. Jeżeli to ma być taka wojna, to proszę.

Ale teraz odezwał się Dobrey.

— A gdyby te pchły były zarażone dżumą?

Wanda Melcer

**) Pogardliwa nazwa Koreańczyków.*

Fragment nowej powieści Wandy Melcer „Statek 1902", osnutej na tle wojny bakteriologicznej w Korei. Powieść ukaże się niebawem nakładem Wyd. M.O.N.

WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI

ŚWIT PRZY UJŚCIU NOTECI

Gdy dni toną w zmierzchów złocie,
nad topielą biegnie czas
i kołysze w wirach Noteć
gwiazd i oczu drżący blask.
Potem dzień na rzekę wchodzi
sunąc ciężko jakby w łodzi,
promień słońca jest jak żerdź
wbita w sennej wody rtęć.
I tak co dzień nad bagnami
skrzydłem mgieł powiewa świt,
woda stoi tu latami
i nie mieszka tutaj nikt.

Torf dygoce na mokradłach,
gnije w błocie stęchły szczaw
i komary tną zajadle.
Tu polował kiedyś graf —
brudni chłopi bez koszuli
brodząc w bagnie zwierza szczuli
do zachodu niczym psy —
Ciężkie były chłopskie sny.
Nawet lekki dym z kominów
do chat pełzł gryzącą mgłą
i pachniało krwią i dymem;
słońce w szybach drgało łzą.

Gdzie na pańskim chlebie bose
i zgłodniałe były dnie,
skryją ziemię lasy sosen
i wyrosną jutro wsie
bez komarów i bez chorób.
Z trzęsawiska i ugoru
chłop wyorze żyzny plon.
Gdzie dziś woda — stanie dom;
młody chłopak ponad mgłami
o zachodzie zbudzi pieśń.
Nowe życie kanałami
zmyje z łąk bagienną pleśń.

GEORGE BIDWELL

KENIA W WALCE O DEMOKRACJĘ

BYŁEM w Kenii przed 8 laty jadąc z Sudanu do położonej bardziej na południe Tanganiki. Zachodnią granicę Kenii stanowi Uganda, wschodnią — ocean Indyjski. Drogą dostępną tylko w porze suchej przekraczaliśmy szereg łańcuchów górskich, wysokie przełęcze i głębokie doliny, równiny i płaskowyże otoczone wieńcem niebosiężnych szczytów, lasy cedrowe i sandałowe, zarośla bambusów, plantacje palm kokosowych i mangowców. Suchy upał dręczył nas na równinach, gdzie latami nie bywa deszczy. W górach był również znaczny, ale łagodził go powiew wiatru. W okolicy jezior przesycała powietrze denerwująca, tropikalna wilgotność.

Na wyżynach spotykaliśmy stada wielbłądów, antylopy, żyrafy, zebry i gromady strusi uganiały się po dolinach ,w pobliżu jezior — Rudolfa, Nianza, Ejasi — paradowały żurawie, flamingi i pelikany. Orły i sępy czatowały w górach na ofiary, w lasach czyhały lwy i lamparty, małpy skakały po gałęziach drzew, w mokradłach roiło się od hipopotamów, krokodyli i węży, częstokroć jadowitych. Nocą poczucie ich obecności napawało lękiem. Lecz afrykański lud Kenii przekonał się, że czworonogie drapieżce i śmiercionośne gady wyrządzają im mniej szkód, niż biali najeźdźcy z Anglii.

Byłem tam w roku 1944, kiedy naród Kenii pracował i walczył z faszyzmem. Z plemienia Kikuju tysiące wstąpiło do armii, by pod dowództwem brytyjskich oficerów bić się w obronie demokracji. Z niewolników na farmach białych osadników przedzierzgnęli się w świetnych żołnierzy, znakomitych kierowców. A biali osadnicy zabierali ziemię tych, co poszli na wojnę.

Dziś sytuacja jest pod wielu względami podobna. Afrykańczycy znów walczą o demokrację, osadnicy znów zabierają im ziemię, imperialistyczni finansiści i przemysłowcy brytyjscy chcą zachować Kenię jako rynek przymusowego zbytu dla swych wyrobów (eksport Kenii, rolniczy, wynosił w 1951 — 30 milionów funtów szt., import, przemysłowy, — ponad 50 milionów), rząd brytyjski zaciska kolonialne kajdany.

Zajrzyjmy do pięknego domu białego osadnika. Stół na werandzie zastawiony napojami z lodu, cygara — dokoła ogród pełen barwnych kwiatów — strojne kobiety, panowie w smokingach — zebrano się dla odczytania listu, jaki gospodarz wysłał do jednego z tygodników londyńskich (list cytowany ukazał się w „New Statesman and Nation" z 4. X. 1952): „Tubylcy będą dobrze i z zadowoleniem pracować, o ile będą mieli rozumne i stanowcze kierownictwo tych, co tak jak my, potrafią ich zrozumieć". Ale dziś „kraj ogarnęła fala antyeuropejskich nastrojów".

Goście przytakują, kobiety patrzą z podziwem na miniaturowego Hitlera. Ten zaś czyta dalej: „Nowe ustawy dają policji i urzędnikom administracyjnym (oczywiście Anglikom) tak wielkie uprawnienia w stosunku do prasy, zebrań, stowarzyszeń i ruchu ludności, że zapewnią, *bez kłopotliwego, zwracania się do sądów*, całkowitą władzę w kraju Europejczykowi, pozostawiając tubylcom wyłącznie pełnienie właściwych ich obowiązków".

Ustawy te uchwalono w następstwie „fali przestępstw i gwałtów", jak ją nazwano, wywołanej rzekomo przez tajne stowarzyszenie o nazwie Mau Mau. Stowarzyszenie takie może nawet istnieje. Wśród plemion afrykańskich nie jest to rzecz niezwykła. Ale zarząd kolonii sam się zdradził, że **tajny** związek odbywa publiczne zebrania i wydaje dzienniki. I zdradził się ogłaszając, po przetrząśnięciu lasu Bukati, że nie znaleziono śladu poczynań tajnego związku, ale aresztowano 800 Afrykańczyków. Chodzi jednak nie o Mau Mau. Chodzi o zdławienie głosu Afrykańczyków, domagających się demokracji, o zamknięcie pod klucz każdego, kto jest, czy mógłby być przywódcą 5-milionowej ludności rządzonej przez 30.000 Europejczyków.

Dlatego aresztowano Freda Kubai i Makhana Singha, przewodniczącego i sekretarza generalnego Kongresu Zw Zaw. Kenii. I Jomo Kenyatta, prezesa Unii Afrykańskiej w Kenii, który po wyższych studiach w Londynie wrócił, by walczyć z reakcją dławiącą jego kraj. I Achienga Oneko, który w ub. roku jeździł do New Yorku dla przedstawienia w ONZ — czyżby potajemnie? — sprawy ucisku ludów afrykańskich.

Unia Afrykańska jest organizacją legalną. Walczyła z osadnikami, gdy zabierali ludności 40.000 km. kw. najżyźniejszych ziem. Rezerwaty przeznaczone dla Afrykanów mają najgorszą ziemię, ale i ta topnieje zajmowana przez kompanie handlowe, administrację i posterunki policji. A zwłaszcza, gdy zajdzie podejrzenie, istnienia gdzieś złoży mineralnych. Nic dziwnego, że krąży wśród ludności powiedzenie: „Kiedy biali przyszli najpierw do Kenii, mieliśmy ziemię, a ich misjonarze biblię. Teraz my mamy biblię, a biały człowiek ziemię".

Jomo Kenyatta w imieniu Unii Afrykańskiej zaproponował brytyjskiemu gubernatorowi, sir Evelyn Baringowi, omówienie praw demokratycznych ludności. Gubernator odmówił i aresztował Kenyattę, który w odpowiedzi wydał deklarację: „Chcemy, by Afrykanie grali w tym kraju należną im rolę. Chcemy uczciwego traktowania. Jeśli Afrykanin może wykonać jakąś pracę, nie powinien być jej pozbawiony z powodu koloru skóry. Bogactwa tego kraju muszą iść na pożytek całej ludności, nie zaś drobnej jej części. Szpitale, drogi, oświata i możliwości pracy powinny istnieć dla wszystkich". Nie było w tym chyba przesady. A jednak gubernator ogłosił stan wyjątkowy. Wojska brytyjskie przewieziono samolotami z rejonu Kanału Suezkiego ,wysłano oddział pancerny. Do portu Mombasa zawinął krążownik, samoloty szybowały nisko nad ziemią w próżnym wysiłku zastraszenia ludności. Oficjalnie zaś wszystko to było wymierzone przeciw działającemu jakoby w obrębie któregoś szczepu tajnemu związkoki Mau Mau.

Aż do owej chwili — jak stwierdzają biali członkowie Rady Ustawodawczej — nie było żadnych gwałtów, tylko pewien wzrost kradzieży z powodu straszliwej dysproporcji kosztów utrzymania i płac. Po nadejściu wojsk w ciągu 10 dni aresztowano 3 600 osób. Więźniów zwożono ciężarówkami, zakutych w kajdany związanych jak zwierzęta. Rezerwat plemienia Kikuju, otoczony przez wojsko i wozy pancerne, przemienił się w obóz koncentracyjny. W ciągu 2 dni, z początkiem listopada br. skonfiskowano 3775 sztuk bydła i 6095 owiec, aby „skłonić ich właścicieli do współpracy z administracją". Zamknięto 9 czasopism i 345 szkół, ponieważ nauczyciele również walczą o demokrację.



Brytyjska administracja — mówił biały burmistrz Nairobi — zbiera owoce własnej krótkowzroczności, gdyż niepokój jest skutkiem głodu ziemi, głodowych płac i nędzy mieszkaniowej. Wysokie podatki odstraszają ludność od własnej uprawy roli i zmuszają do szukania pracy najemnej. Kawę wolno hodować tylko za licencją, której udziela się wyłącznie białym. Dr C. Northcott w sprawozdaniu dla brytyjskiego ministerstwa kolonii stwierdził u wielkiej liczby robotników „złośliwe niedożywienie ,zapewne nieuleczalne spowodowane głodowaniem w dzieciństwie". Rada Ustawodawcza składa się z 25 członków. Z tego 30.000 Europejczyków wybiera 14. jednego wybiera 24.000 Arabów, 100.000 Azjatów — sześciu. Ale 5.250.000 Afrykanów nie wybiera nikogo. Reprezentuje ich sześciu członków mianowanych przez gubernatora. Słusznie pisał korespondent jednego z prowincjonalnych czasopism angielskich („Slough, Windsor and Eton Observer"): „Imperium kolonialne we wszystkich istotnych sprawach rządzone jest przez rząd brytyjski z Londynu. Świadczy to jak puste są twierdzenia torysów i socjaldemokratów, iż są obrońcami wolności i demokracji".

W kwietniu wydano nową ustawę o związkach zawodowych. Poddano je kontroli urzędnika mianowanego przez gubernatora i obdarzonego szerokimi uprawnieniami. Wydatki na szkolnictwo wynoszą 12 funtów na dziecko białe, 6 szylingów na afrykańskie. Otwarty tymi dniami w Nairobi teatr „narodowy" ma 420 miejsc. Polityka W. Brytanii jest ta sama, jaką sformułował poprzedni gubernator, sir Philip Mitchell: „Ten kraj jest krajem brytyjskim. Kenia i jej naród, cały jej naród, są i zawsze będą brytyjskie". Model jest ten sam, co gdzieindziej w Afryce. W wieku XIX Stanley odkrył bogactwa ziemi i lasu oraz złoża mineralne kraju. Dla ich pompowania powstała Kompania Wschodnio - Afrykańska. W 1895 r. przelała ona swe prawa na Koronę, by podatnik angielski musiał pokryć koszty rozbudowy kolei, dróg i portów potrzebnych finansistom i kupcom. W roku 1905 zbuntowało się plemię Nandi. Bunt tłumiło wojsko. W 1922 r. Afrykańczyk, Harry Thuku, agitował przeciw nadmiernym podatkom i pracy przymusowej. Jego areszt wywołał demonstrację przed więzieniem. Policja ostrzelała tłum zabijając 30 osób. Thuku trzymano bez sądu 4 lata, poczem deportowano. Książę Devonshire, ówczesny sekretarz kolonji, zapewnił, że interesy ludności miejscowej mieć będą pierwszeństwo przed względami na białych osadników. Przypomina to mocno obietnicę złożoną 75 lat temu, że obecność imperialistów brytyjskich w Egipcie będzie krótkotrwała.

Od zakończenia II wojny światowej naród afrykański coraz głośniej domaga się prawa kierowania swym losem. W 1947 r. strajk powszechny robotników portowych rozszerzył się na cały kraj. W rok później Makhan Singh zorganizował konferencję związków zawodowych w sprawie płac i kosztów utrzymania. Został aresztowany. W maju 1950 r. wybuchnął w Nairobi strajk powszechny z powodu aresztowania prezesa i sekretarza generalnego zw. zawodowych. Ale jest rzeczą jasną, że imperialiści nie myślą nawet o najskromniejszych reformach, które uważają za groźbę dla swych planów uczynienia z Kenii wielkiej bazy wojennej. Jesienią 1946 r. udał się tam marszałek Montgomery, a „Daily Mail" londyńska pisała wówczas: „Kenia stanowi nowe centrum obrony Imperium, podczas gdy Afryka Południowa jest arsenałem". Od 1947 r. buduje się bazy wojskowe, lotniska i drogi strategiczne w całym kraju. Mombasa przekształca się w nowoczesną bazę morską dla zastąpienia Aleksandrii. Wydatki z tym wszystkim związane szacuje się na 200—300 milionów funtów. Plany wojenne wymagają utrzymania Afrykanów w jarzmie.

Ale ostatnie wypadki zadają kłam złudzeniu, że wielka fala powstań kolonialnych nie przerzuci się nigdy z Azji do Afryki. Przeciw aresztowaniu mężów demonstrują kobiety — nie zważając na pałki policyjne. 23 listopada 2.000 Afrykanów demonstrowało przeciw zakazowi zebrań. Zostali ostrzelani przez wojsko. Jeden z urzędników europejskich w Kenii stwierdził wyraźnie, że drobna tylko część ludności uchyla się od poparcia wysuniętych przez Unię Afrykańską postulatów demokracji i niepodległości. Pożar szerzy się od krańca do krańca Afryki. Nie ma już „zacofanych terenów" dokąd ogień nie sięga. Rozwój ruchu zawodowego, jego łączność ze Światową Federacją Z. Z., szerzenie się politycznych dążeń do wyzwolenia narodowego i powstawanie grup marksistowskich — oto znamiona przyszłości Afryki. Nauka komunizmu zwiastuje kres narodowego i społecznego ucisku, kres pognębienia i dyskryminacji rasowej, odzyskanie bogactwa Afryki przez jej narody.

Napoleon, który miał pewne w tym względzie doświadczenie, mówił: „Wszystkie imperia giną na niestrawność". Imperializm nie zdąży już wybudować w Afryce swej ostatniej twierdzy. Przyszłość Afryki leży w ręku jej ludu.

George Bidwell

ALBERT ROLLAND

KONTRASTY IRAŃSKIE

32 260.000 ton nafty (6.5% całej produkcji tego ważnego surowca strategicznego świata kapitalistycznego, wydobyto w 1950 roku w Iranie. W Abadanie nad Zatoką Perską znajduje się największa rafineria świata, o zdolności przetwórczej 25.000.000 ton ropy rocznie. W rafinerii abadańskiej znajdują się najnowocześniejsze urządzenia techniczne. Produkuje się tu najnowsze, stukilkudziesięcio-oktanowe gatunki benzyny, którą używają współczesne samoloty. W przeciwieństwie do innych krajów produkujących duże ilości ropy naftowej Iranowi nie grozi szybkie jej wyczerpanie. Zbadane pokłady ropy naftowej stanowią 20 proc. rezerw naftowych świata kapitalistycznego. Przy tempie produkcji 1950 r. ziemia irańska mogłaby jeszcze dawać ropę naftową przez długie dziesiątki lat.

Jednak w sierpniu 1951 r. stanęła rafineria abadańska, przestały pracować szyby naftowe, opróżniły się porty irańskie, do których przedtem zawijały dziesiątki tankowców rozwożących naftę irańską do wszystkich krajów świata. 70.000 robotników naftowych, dawniej pracujących bez wytchnienia, aby wydrzeć ziemi jak najwięcej „czarnego złota", wyległo bezczynnie na nagrzane słońcem ulice Chuzystanu (prowincja w południowym Iranie, gdzie znajdują się pola naftowe).

Spytacie co za kataklizm spowodował tę katastrofę? Co nagle zatrzymało produkcję tak olbrzymich bogactw?

Nie, to nie żaden kataklizm, żadna katastrofa. Produkcja nafty w Iranie została zatrzymana z woli narodu irańskiego.

Cóż to za zbiorowe szaleństwo, spytacie? Kto to tak lekką ręką wyrzeka się olbrzymich bogactw, mogących przyczynić się do kolosalnego wzrostu dobrobytu kraju?

Niestety, nafta irańska nie była bogactwem Iranu. W świecie współczesnego kapitalizmu, kapitalizmu monopolistycznego, którego naczelnym celem jest dążenie do super-zysków, a nie jak w ustroju socjalistycznym do „zapewnienia maksymalnego zaspokojenia stale rosnących materialnych i kulturalnych potrzeb całego społeczeństwa" — największe nawet bogactwa nie zapewniają korzyści masom ludowym, lecz tylko garstce imperialistycznych grabieżców.

Tak też było z naftą irańską, która nie była irańską, stanowiła bowiem własność monopolu — pijawki wysysającej wszystkie soki żywotne z narodu irańskiego — Anglo-Irańskiego Towarzystwa Naftowego (A. I. O.).

Towarzystwo to powstało w 1901 roku (oficjalne uformowanie się nastąpiło w 1909 r.) i otrzymało koncesję naftową na obszarze 256.000 km. kw. (prawie tyle co cały obszar Polski), tj. 15,6 proc. całego terytorium Iranu. W ten sposób cały południowy Iran stał się domeną tego towarzystwa. Był to okres, gdy floty wojenne przechodziły z opalania węglem na paliwo płynne. Pierwszym Lordem Admiralicji był młody wówczas Churchill. Ten drapieżny przedstawiciel imperializmu brytyjskiego pragnąc zapewnić flocie brytyjskiej pewne źródło zaopatrzenia w paliwo płynne (chodziło o utrzymanie trwającego jeszcze wtedy brytyjskiego panowania na morzach) przeforsował w Izbie Gmin, że rząd Wielkiej Brytanii stał się głównym udziałowcem A. I. O. (1914 r.) W ten sposób rząd W. Brytanii z opiekuna i obrońcy imperialistycznych grabieżców (t.j. monopoli grabiących bogactwa Imperium Brytyjskiego) został w Iranie bezpośrednim uczestnikiem tej grabieży. Z tym większym ferworem za każdym razem, gdy były zagrożone interesy A.I.O., stawała za nim cała finansowa, dyplomatyczna i militarna potęga Imperium Brytyjskiego.

A. I. O. szybko stała się jednym z najpotężniejszych monopoli naftowych świata i rzeczywistym władcą Iranu. Monopol ten na terenie Iranu był czymś w rodzaju państwa w państwie. Posiadał on własne linie kolejowe, własne drogi i linie telegraficzne, własną policję. Wszystkie główne banki Iranu zostały opanowane przez A. I. O., która w ten sposób kontrolowała całe życie finansowe kraju. Na jej usługach znajdowali się skorumpowani politycy, dziennikarze i ministrowie w Teheranie, a także szefowie plemion Bachtiarów i Karzkajów w prowincji naftowej w Chuzystanie. A. I. O. finansowała i uzbrajała te plemiona, z których uczyniła narzędzie szantażu wobec centralnego rządu w Iranie i środek walki z ruchem robotniczym. Wystarczyło, aby w rządzie centralnym zdecydowano się nawet na nieśmiałą próbę oporu wobec grabieżczej polityki A. I. O. a już szefowie Karzkajów i Bachtiarów zaczynali straszyć oderwaniem Chuzystanu od Iranu lub organizowali zamachy stanu zastępując nie dość uległy rząd, rządem bardziej odpowiadającym interesom A. I. O.

Gdy w 1946 r. robotnicy A.I.O. wystąpili do walki ze straszliwym wyzyskiem kompanii znowu plemiona chuzystańskie były narzędziem, które posłużyło do złamania strajku. Ulice osiedli naftowych pokryły się wtedy trupami robotników A.I.O., ich żon i dzieci. Nędzne ich osiedla zostały spalone, a dobytek rozgrabiony. Strajk został utopiony we krwi.

Płace 70.000 robotników irańskich A.I.O. wynosiły tyle co płace 1300 urzędników angielskich. W 1950 r. zyski A.I.O. wyniosły 486 milionów dolarów. Z tego skarb Iranu otrzymał mniej niż 10%.

Toteż nic dziwnego, że kraj ten zajmujący 4-te miejsce w produkcji nafty na świecie ma zarazem jeden z najwyższych procentów śmiertelności. Śmiertelność noworodków dochodzi do 50%. Gruźlica, malaria, dysenteria, tyfus (a nierzadko też dżuma i cholera) zbiera bogate plony. Jeden lekarz przypada na 14.000 mieszkańców. W całym kraju (18 milionów mieszkańców) istnieje około 5.000 szkół z 300.000 uczniami. Więcej niż 80% ludności to analfabeci. Natomiast cały kraj oplata rozwinięta sieć palarni opium. Handel opium był bezpośrednio popierany przez Wielką Brytanię. 80% ziemi stanowi własność obszarników i rodziny szacha. Chłopi uprawiający ziemię byli zmuszeni do oddawania 75% plonów jako czynsz dzierżawny. Toteż klęski głodowe nie były rzadkością w Iranie. Zresztą nawet w latach urodzaju żywność większej części ludności składała się z chleba, cebuli i buraków pastewnych.

Taki był los Iranu pod panowaniem brytyjskich imperialistów oraz ich miejscowych zauszników.

Toteż nic dziwnego, że gdy w marcu 1951 r. zastrajkowali robotnicy A.I.O. lud irański wyległ na ulice. Nie pomógł terror policji i wojska, nie pomogły próby prowokacji ze strony przywódców plemion opłacanych przez A.I.O. Jednomyślnym żądaniem ludu irańskiego była nacjonalizacja przemysłu naftowego i zlikwidowania A.I.O., monopolu-pijawki, ostoi wszystkich ciemnych sił reakcji.

Zadrżeli przed gniewem ludu skorumpowani politycy. Wojsko wśród którego działały komórki nielegalnej postępowej partii „Tudeh" odmawiało strzelania do swych braci. W marcu 1951 r. przerażony Medżlis (parlament irański) musiał przyjąć ustawę o nacjonalizacji przemysłu naftowego.

W ten sposób, po 50 latach grabieżczej działalności, podczas których wypompowano z Iranu olbrzymie bogactwa, padła twierdza imperializmu brytyjskiego w Iranie — osławiona A.I.O.

Ale na tę chwilę czekały też inne hieny kapitalistyczne, lubujące się w padlinie. Monopole amerykańskie wyraziły gotowość objęcia dziedzictwa po A.I.O. Do Iranu rozpoczęła się pielgrzymka turystów zza Oceanu. Przyjechał tu nawet osobisty doradca prezydenta Trumana, były właściciel hut śląskich, bankier Harriman, przyjeżdżali i inni. Ostatnio bawił w „tajemniczej" misji w Iranie przewodniczący jednego z amerykańskich monopoli naftowych, Cities Service Company, W. Alton Jones. Do Waszyngtonu byli też zapraszani irańscy mężowie stanu. Przypuszczano, że mogą być bardziej czuli na argumenty dolarowe, niż na zdewaluowane funty sterlingi, których zresztą tak skąpo udzielała A.I.O.

„Dobrej woli" z obu stron nie brakowało. Amerykanie lubią naftę, a politycy irańscy dolary. Na przeszkodzie stał tylko... naród irański.

W lipcu br. Amerykanie postanowili uciec się do środków na wielką skalę i ostatecznie wziąć „motłoch irański" w ryzy. Ale amerykański mąż opatrznościowy stary agent imperializmu Ghavam Es Saltaneh, utrzymał się u władzy tylko dwa dni. Nie pomogły amerykańskie czołgi, ponieważ żołnierze irańscy, widząc o co chodzi, założyli czerwone opaski i przyłączyli się do manifestujących tłumów.

W ten sposób spod bezpośredniej władzy monopoli anglo-saskich wypadło trzydzieści parę milionów ton cennego surowca strategicznego. Oznacza to mniej benzyny, mniej olejów gazowych, mniej wysokowartościowych smarów dla imperialistycznej machiny wojennej.

Jak stwierdza rezolucja wiecu obrońców pokoju w Teheranie „walka narodu irańskiego o nacjonalizację przemysłu naftowego i całkowite wyparcie wpływów imperialistów w Iranie jest zarazem walką o pokój na całym świecie".

Walka narodu irańskiego nie jest jeszcze skończona. Likwidacja A.I.O. to tylko pierwszy jej etap. Dalszy bieg wydarzeń powinien doprowadzić Iran „do zerwania z obozem imperialistycznym i do zjednoczenia z obozem demokracji i pokoju", jak głosi rezolucja Narodowego Towarzystwa Walki z Imperialistycznymi Kompaniami Naftowymi. Walkę tę kontynuują irańskie masy ludowe. Wtorują jej coraz głośniejsze pomruki burzy wzbierającej w sąsiednim Iraku.

Albert Rolland

ANDRZEJ DRAWICZ

NIEŁATWA SZTUKA PISANIA

„W opowiadaniach tych chciałem ukazać fragmenty procesu powstawania nowej moralności socjalistycznej, budzenia się i utwierdzania świadomości nowego człowieka w ogniu klasowej walki" — pisał Stanisław Kowalewski o utworach zawartych w tomie „Bliżej jutra".

Nie po raz pierwszy przyświecały pisarzowi tak ambitne cele. Zarówno bowiem „Walka klas" jak i „Załoga Elżbiety" świadczyły o tym, że sztuka pisania Kowalewskiego nie jest sztuką łatwych rozwiązań. Że poszukuje tych rozwiązań w splocie najbardziej węzłowych zagadnień naszego współczesnego życia — w starciach klasowych bitew, w zmaganiach nowego człowieka z przeżytkami dawnej epoki.

Za tę bojowość, z którą pisarz atakuje sprawy sobie współczesne — winien mu jest czytelnik uznanie. Tym bardziej, że nad literaturą naszą ciąży ustawicznie niebezpieczeństwo ucieczki, uchylania się jej twórców od stawiania i rozwiązywania tychże spraw. Kowalewski, sięgając po nie, sięga więc zarazem po zaszczytne miano pisarza politycznego. Niedawno przecież napisali doń kiedys, po opublikowaniu „Walki klas" robotnicy „Biremy".

„...wiemy co to jest walka klas. Ale musimy przyznać, że po przeczytaniu napisanego przez was obrazka z naszego życia, zrozumieliśmy, że walka klas to nie teoria, tylko prawdziwe, codzienne życie. Jak to dobrze powiedział ktoś na zebraniu dyskusyjnym: literat Kowalewski zbliżył teorię walki klas do codziennego, zwykłego dnia pracy i do naszych codziennych trosk i trudności".

Tak było istotnie. Pamiętajmy, że był to okres kiedy rozpoczynało się dopiero narastanie przełomu ideowego wśród ludzi pióra, skwitowane już w roku następnym nagrodą państwową dla pięciu debiutanckich „powieści produkcyjnych". Wiele papieru zadrukowano od tego czasu. Wiele przebrzmiało polemik i dyskusji. W ślad za ciągłymi przemianami w naszym życiu, w miarę nadążającego za nim rozwoju świadomości obywateli nowego społeczeństwa, musiały zmienić się nasze wymagania pod adresem pisarzy. Wzrosły. Sama tylko odwaga i nowatorstwo tematyczne nie są już w stanie ich zaspokoić. Chcemy pełnego, skończonego kształtu naszych dni w całym ich bogactwie, w splotach niełatwych problemów, rozwiązywanych z pełnym nakładem artystycznego mistrzostwa.

Toteż biorąc do ręki „Bliżej jutra" chcemy przede wszystkim znaleźć odpowiedź na pytanie — czy autor spełnił podstawowe zadanie pisarza torując drogę nowym problemom, ukazując sprawy dnia codziennego w nowym świetle — wzbogając skalę swych twórczych możliwości. Wiemy, czego chciał — sam nam o tym powiedział. Spróbujmy się dowiedzieć, o ile mu się to udało.

Istotną po temu możliwość nastręcza już pierwsze — najbardziej charakterystyczne opowiadanie „Przyjaźń". Górnik członek Partii rekomenduje swojego przyjaciela, mającego zamiar wstąpić w jej szeregi. Wydaje się, że ma on po temu wszelkie dane, dopóki... Dopóki nie przyznał się do poważnego błędu, popełnionego w niedalekiej przeszłości. Zawinił brakiem czujności, nie zdemaskował szkodnika. Nie zasługuje jeszcze na przyjęcie w szeregi partyjne. Jakaż bogata jest skala możliwości w ukazaniu wewnętrznej walki tego człowieka, ileż prawdy można by wydobyć pokazując okruchy buntu przeciw decyzji towarzyszy partyjnych, hamowane wewnętrzną refleksją i doprowadzane w końcu do twierdzenia — jednak oni mieli rację! A tymczasem...

Stary Burek przechodzi cały ten proces w tempie swobodnie przyśpieszonym. Wszystko dzieje się w obrębie pół strony. Najpierw jest chwila namysłu: „A jeśli się oni nie mylili. Jeśli to ja zgubiłem drogę — pojawia się nagle myśl", a zaraz potem: „...Burek wreszcie przestaje się bronić przed trudną odpowiedzią. Człowiek, który ganił go ciężko dysząc... jest przyjacielem. Prawdziwym przyjacielem".

Czy istnieje w takiej sytuacji jakakolwiek doza prawdopodobieństwa? Czy ciężko dotknięty i przekonany, iż niesłusznie poskąpiono mu zaufania człowiek może w jednej chwili zrozumieć swoje błędy? Zagadnienie zostało uproszczone, spłycone — podyktowała je troska o poprawność schematu, a nie o zachowanie życiowej prawdy.

Opowiadanie „Po latach" to relacja o tym, jak bardzo dbać należy „iżby komunizmu nie zatłukły kanalie". Bojowy, aktywny pracownik terenowy nie chce z pobudek oportunistycznych ujawnić faktu sabotażu gospodarczego. Boi się konsekwencji we współżyciu z ludźmi. Przyjaciel długo nie może wytłumaczyć niewłaściwości w takim stawianiu sprawy. Aliści: „..kiedy za tobą zatrzasnęły się drzwi, wiesz coś nagle ścisnęło mnie za serce" — mówi domniemany oportunista, człowiek, który na długie miesiące — według autora — uparcie walczył z sabotażem, dywersją, szkodnictwem przy zakładaniu elektryczności. Teraz nagle w jednym momencie wzruszenia odkrywa, że „trzeba z jednymi walczyć, innym pomagać". Takie postawienie sprawy jest więc tutaj podwójnie niesłuszne — bo to i za szybko i z waleniem w drzwi, które już dawno stoją otwarte na przestrzał.

W tych wypadkach, gdy chodzi o moment przełomu, o ukazanie narastania procesów psychologicznych, uproszczenia i łatwizny w przedstawieniu pobudek działania bohaterów opowiadań Kowalewskiego są szczególnie uderzające. W opowiadaniach typu „Suszy" i „Pełnego marca" obraz przełomu roztapia się w toku wydarzeń puszczonych luźno, spełniających rolę ilustracji.

Relacje i opisy potraktowane są po reportersku. Do dramatycznych spięć, mogących ukarać zamierzone obrazy rozwoju moralności socjalistycznej, nie dochodzi.

Wszystko przebiega gładko, bez tarć, o wysiłku wprawdzie się mówi, ale go nie widać. Sens całości znowu stoi pod znakiem zapytania. Tak więc nie dochodzą do skutku ambitne zamierzenia autorskie. Nie wystarczy bowiem znać prawa rządzące rzeczywistością — trzeba umieć je odpowiednio konkretyzować na przykładzie wybranych zdarzeń, sytuacji, losów ludzkich.

Nie można przecież zarzucić Kowalewskiemu, że nie rozumie dynamiki rozwoju nowych sił — ogólny typ rozwiązań przez niego dokonanych jest na ogół prawidłowy. Choć zresztą w „Suszy" i „Pełnym marcu" rozwiązań w ogóle w gruncie rzeczy brak. Zbyt pośpiesznie jednak dokonują się przełomy w przekonaniach bohaterów, zbyt szybko naginają się oni do potrzeb pisarskich założeń, gubiąc po drodze psychologiczną prawdę.

Nie ułatwia odnalezienia takiej prawdy fakt, że pisarz w ogóle na wiele rzeczy nie zwraca uwagi. Jeden z krytyków scharakteryzował to trafnie jako „ascezę wyobraźni". W opowiadaniach zarówno pisarze, jak i bohaterowie mówią tylko o sprawach najważniejszych — dotyczących bezpośrednio zagadnień świadomości. Stąd każdego, kto będzie je czytał, uderzy niemile pewna suchość i sztywność wszystkiego co się dzieje i o czym się mówi. Nie odnajdzie kształtu, smaku, zapachu, barwy otaczającego bohaterów świata — sami zaś bohaterowie nie powiedzą mu o sobie nic ponad to, co jest niechybnie konieczne dla zapewnienia ich obecności na kartach tomu. Ta przesadna oszczędność, będąca znowu rezultatem wyłącznego zainteresowania dla problemów, przy użyciu ludzi tylko jako materiału ilustracyjnego obca jest realistycznemu pisarstwu. Grozi największą klęską jaka może spotkać ambitnego i zdolnego pisarza — nieczytelnością książki.

Widzimy, jak cierpi na tym ideowa wymowa dawanych w utworach rozwiązań. Staraliśmy się zasygnalizować powstałe w rezultacie braki artystyczne. Do nich należeć będzie także zupełna jednostajność mowy potocznej, którą przemawiają postacie z kart książki. Mimo, że pochodzą z różnych środowisk, że reprezentują różne zawody i są odrębnymi indywidualnościami, mówią one zawsze tak samo — krótkimi, przesadnie oszczędnymi, prawie bezosobowymi zdaniami. Najwidoczniej wypowiedzi są potrzebne autorowi wyłącznie do posuwania akcji naprzód, mają charakter czysto użytkowy — w żadnym zaś wypadku nie służą do charakterystyki osób mówiących.

Podobnie jest z opisami. Są, a jakże. Mają za zadanie umiejscowienie akcji w przestrzeni — i nic więcej. Przynajmniej nie są w stanie nic ponadto uczynić. Nie działają bowiem na wyobraźnię, są płaskie, nijakie, nie trafiają do przekonania czytelnika.

Niewesołe są wyniki tego przeglądu zawartości „Bliżej jutra". W całości wnioski te sprawić może mogą wrażenie zbyt już jednostronnych. Jeśli jednak wysiłki recenzenta szły głównie po linii wykazania wszystkich niszczących skutków, jakie ma dla utworu nieznajomość złożonych i niełatwych do odcyfrowania praw rozwoju nowego życia — był w tym jeden zamierzony cel. Chodziło o wykazanie, że temat, że śmiałość problematyki już nam w tej chwili nie wystarczy. Trzeba ją podeprzeć dużą sumą wiedzy o życiu, czerpanej nie tylko z prasy — ale z bezpośrednich kontaktów i obserwacji. W tych warunkach stanie w miejscu, poprzestawanie na dawnych osiągnięciach oznacza cofnięcie w rozwoju. Także i Kowalewski powinien jak najszybciej ruszyć naprzód. Zbyt wiele wymagamy od pisarza, aby klajstrować poważne błędy w kształcie jego utworów.

Dlatego ocena tomu wypadnie negatywnie. Niechby za to następne doczekały się pochwał.

Andrzej Drawicz.

TADEUSZ KUBIAK

IDĄC ULICAMI DZIECINSTWA

Ci drobni urzędnicy
w zrudziałych paltach.
I jedynie piękny
przed pewnym domem kasztan.

Przedmieście bardzo brzydkie.
Jesień pod chmurą niska.
I jedynie piękne
wspomnienie dzieciństwa.

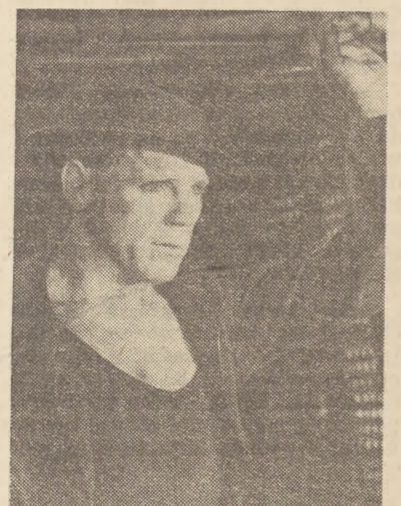
Zbierałem wśród piasków
kamyki kolorowe
na miejscu olszyny
listopadowej.

Szły czarne pociągi
na Brześć, na Białystok.
Ostry profil księżyca
czasem w stawie błysnął

Wyli jak psy — pijani
ceglarze w Rembertowie.
Kto dziś zbiera kamyki
w olsztynie listopadowej?

Kto dziś widzi Wiarusa
na łąkach wieczorem,
przygląda się podróżnym
pociągom i torom?

Kto czyta „Wierną rzekę"
w ogródku pod płotem?
Kto wychodzi i błądzi
przez wiatr i słotę?



IRENA MACIEJEWSKA

OPOWIADANIA WIEJSKIE

OPUBLIKOWANIE polskiego tłumaczenia „Opowiadań wiejskich" Veresa zbiegło się w czasie z wydaniem „Matki i syna" Bobruka oraz „Życia za dniówkę" Felisa. Równorzędność tych wydań nie jest oczywiście tylko sprawą przypadku. Źródłem tej zbieżności jest troska krajów demokracji ludowych o jak najpiękniejszy rozwój nowej literatury tworzonej dla robotników, a nie rzadko przez robotników.

Droga życiowa pisarza węgierskiego różni się od losów pamiętnikarzy polskich jeżeli chodzi o zakres doświadczeń pisarskich. Bobruk i Felis pisać zaczęli dopiero w Polsce Ludowej, Veres natomiast rozpoczął rzemiosło pisarskie o wiele wcześniej, bo jeszcze przed drugą wojną światową. Nie o to jednak chodzi. Mimo owej różnicy stażu pisarskiego — utwory te są sobie bliskie, powstały bowiem na wspólnej fali dojrzewania klasy robotniczej do świadomości rewolucyjnej. Pisarz węgierski ma za sobą — mimo pewnych odmienności lokalnych — ten sam, typowy dla bezrolnego proletariatu wiejskiego, zasób doświadczeń, co i nasi pamiętnikarze. Syn wiejskiego pastucha z obszarniczego majątku węgierskiego na drogach swej tułaczki wcześnie zetknie się z proletariatem miejskim. Wkrótce też zwiąże się z jego rewolucyjną ideologią. Wieloletnia aktywna działalność polityczna zaprowadzi Veresa do literatury. Wkrótce przekona się pisarz, że literaturą stanowi skuteczną metodę walki z ustrojem krzywdy i wyzysku, że spełnia ona ogromną rolę agitacyjną i uświadamiającą wśród mas. Odtąd też swą pracę radykalnego działacza politycznego łączyć będzie z pracą ludowego pisarza, który w przedmowie do „Opowiadań wiejskich" tak formułuje cele prawdziwej literatury: *„Pierwszym zadaniem literatury powinno być ukazanie, jak człowiek cierpi i pracuje, jak raduje się i smuci, jak działa lub trwa w bezczynności, jak idzie naprzód lub cofa się — jednym słowem jak przebiega, jakim zmianom podlega życie jednostki i całego społeczeństwa na tle wydarzeń historycznych"*.

„Opowiadania wiejskie", jak o tym mówi tytuł, traktują o sprawach życia wsi węgierskiej. Początkowe spośród nich, napisane przed rokiem 1939, pokazują losy proletariatu wiejskiego w systemie kapitalistycznym; druga część publikacji relacjonuje pewne fragmenty życia Ludowej Republiki Węgierskiej. Opowiadania Veresa nie należą bynajmniej do osiągnięć szczytowych młodej literatury węgierskiej. Wartość ich polega przede wszystkim na wprowadzeniu do literatury powieściowej człowieka pracy i jego spraw, na słusznym tych spraw zinterpretowaniu; w mniejszym zaś stopniu wiąże się z walorami artystycznymi. Pisarz, zdając sobie z tego sprawę, wyjaśnia w przedmowie: *„W życiu pracującego ludu węgierskiego od tysiąca lat nie było takiej przemiany, ani rewolucji, która by jak ta wstrząsnęła i przekształciła życie każdego człowieka. Trzeba o tym pisać. O dniu dzisiejszym, który rodzi się z wczorajszego i staje się jutrem. Zanim jednak powstaną na ten temat obszerne dzieła, zanim i ja swoją powieść o tych czasach napiszę, daję do ręki czytelnikowi te nowelę, aby już teraz mógł poznać rodzącą się literaturę o nim i o jego epoce"*.

Pewne wspólne cechy opowiadań Veresa i naszych pamiętników robotniczych odnaleźć można szczególnie wyraźnie w pierwszej części „Opowiadań wiejskich", zawierających typową biografię proletariusza, jednaką w sanacyjnej Polsce i kapitalistycznych Węgrzech. Tomik Veresa rozpoczyna wstrząsające swoją tragiczną prawdą opowiadanie pt. „Świniarek", obrazujące dzieje proletariackiego dziecka, które smak życia poznaje nie w szkole i w gronie rówieśników, ale na służbie u bogacza. Spojrzenie na niesprawiedliwości kapitalistycznego świata oczyma dziecka nie jest zabiegiem artystycznie nowym, ale u Veresa bynajmniej nie nosi on znamion szablonu. Doskonale spełnia demaskatorską funkcję w stosunku do krzywdzicieli. Podobne problemy społeczne odsłania również opowiadanie „Umowa żniwna", gdzie pisarz ujawnia sens działania aparatu administracyjnego, idącego ręka w rękę z kapitalistycznymi eksploatatorami. Nie tylko jednak obnażenie pasożytnictwa ustroju kapitalistycznego jest zasługą Veresa; doniosłe znaczenie ma tu przede wszystkim fakt, że potrafił on w okresie nędzy i nieludzkiego wyzysku dostrzec rodzenie się „nowego", że pokazał, iż jedynie słuszną metodą walki jest organizowanie się robotników („Kosiarze").

Część druga opowiadań mówi o problemach rodzącego się życia socjalistycznego, o jego trudnościach, o sposobach ich przezwyciężania. O ile część pierwsza jest dla nas bliska i znana, gdyż opisane tam losy proletariatu węgierskiego przed rokiem 1939 były w swych zasadniczych kolejach takie same jak dzieje robotników polskich, o tyle część druga stanowi ciekawy obraz odmiennego niż u nas przebiegu rewolucji 1945 roku, rewolucji, która dokonała się na Węgrzech w sposób odmienny niż w Polsce. Tak np. proces „wywłaszczania wywłaszczycieli" trwał o wiele dłużej, ziemia nie od razu i nie cała została podzielona między chłopów i robotników folwarcznych. Zjawiska te znalazły żywe odbicie w utworach Veresa. Odzwierciedlona w nich została również walka proletariatu i chłopów z oportunistycznym i dwulicowym rządem Nagy'ego. W trakcie uporczywej pracy nad zagospodarowaniem odebranej obszarnikom ziemi, poznajemy życie węgierskiego chłopa w demokratycznym, prawdziwie wolnym państwie. Obserwujemy przemiany dokonywające się w świadomości mas pracujących Węgier, przemiany podobne do tych, jakie przebiegają i na naszym polskim terenie. Ciekawe jest pod tym względem opowiadanie „Próba", w którym ukazano, jak mentalność drobnego chłopskiego posiadacza stopniowo dorasta do zrozumienia celów wspólnej, gromadzkiej gospodarki. Ważny jest tu fakt, że w stronę spółdzielni kierują go nie tylko trudności i kłopoty indywidualnego posiadacza (chociaż i te grają tu poważną rolę: *„Po co ma na swoim samotnym gospodarstwie sam się borykać z kłopotami o dzieci, pieniądze i bydło, po co martwić się o ziemię, wodę, mróz lub posuchę, kiedy w gromadzie lżej będzie walczyć z wszystkimi trudnościami, które zsyła niebo, ziemia i los"*), ale przede wszystkim świadomość większej przydatności gospodarki kolektywnej dla państwa.

Piękne w swej ludzkiej treści jest opowiadanie „Na swoim", obrazujące walkę z przeżytkami „starego" w życiu społecznym a jednocześnie w psychice pojedyńczego człowieka pracy, który zaczyna cenić swą godność wolnego człowieka. Końcowa scena opowiadania, w której chłopi i dawni folwarczni robotnicy bronią zdobytej przez rewolucję ziemi przeciwko jej dawnemu posiadaczowi, wskazuje na tworzące się w nich poczucie socjalistycznej wspólnej własności, na świadomą już konieczność obrony jej przeciwko wszystkim wrogim zakusom.

W sumie opowiadania Veresa stanowią dokument zwycięskiej walki, jaką toczył lud węgierski z kapitalizmem, dają świadectwo trwającej wciąż jeszcze pracy nad ukształtowaniem świadomości i charakteru nowego socjalistycznego człowieka.

Irena Maciejewska

KRYSTYNA PAŁYS

ROBOTNICY PGR-u CZESŁAWICE





ZACZYNAM OD BUKIETA

ZABAWNE psisko ten Bukiet. Sierść na nim długa i sztywna trudnej do określenia barwy, oklapłe uszy zakończone szczeciniastymi pędzelkami, pysk przyozdabia rzadka broda, a pałkowaty, wyskubany ogon nie dodaje uroku całości, na którą złożyły się cechy trzech ras: pudla, szlachetnego wilka i pospolitego kundla, krzyżowanych w rozmaitych okolicznościach co najmniej od dwóch pokoleń. Leży ten stwór nazwany Bukietem jakby dla złośliwego podkreślenia całej absurdalności podobnych kompozycji w naturze i łypie żółtawymi ślipiami w moją stronę. Duży łeb złożył na przednich łapach, i nawet nie drgnie na widok bułki, a już wyraźnie lekceważy zachęcające nawoływania. Za to gdy pojawia się brygadier Przybylski to kupka zmierzwionej sierści podskakuje błyskawicznie, dopada w dwóch susach do nóg brygadiera i w przejmującej gamie skowytów wypowiada na swój sposób psie uczucia przywiązania i miłości. A oborowy klepie poczciwe psisko po niekształtnym łbie.

— Przyszedł do naszego PGR-u tamtej jesieni i w żaden sposób nie dał się odpędzić. Tak się zadomowił w Czesławicach, że gdy go odprowadzaliśmy do dawnej gospodyni, uciekał za każdym razem. Nie podobała mu się widać służba w wiejskiej zagrodzie, wolał naszą socjalistyczną gospodarkę.

Bukiet kocha brygadiera bałwochwalczym, psim uczuciem, a żyje w wielkiej przyjaźni z Borutą, buhajem-siłaczem. Każdy omija tę ognistooką bestię, tylko oborowy i pies mogą się do niej zbliżyć bez obawy. Wystarczy popatrzeć na grające pod cienką skórą węzły mięśni, żeby zrozumieć, jaki ładunek siły nosi w sobie Boruta. Ot, teraz donośne buczenie z przegrody daje znać o niezadowoleniu siłacza. Mimo to Przybylski idzie spokojnie do buhaja, a ten nadstawia potężny kark, żeby go poklepać, a potem liże dłoń opiekuna.

Ignacy Przybylski rozpoczynał pracę w Czesławicach przed trzema laty i ludzie nie bardzo wtedy rozumieli jego metody. „Poznańskie porządki" zaprowadza w oborze — mawiali z uśmiechem, — ponieważ oborowy stamtąd pochodził. — Jak to nie można uderzyć bydlęcia? Chłopi na wsi łoją skórę krowinie ile wlezie i nie martwią się, że mleka mniej będzie dawała.

W oborze było od samego początku bydło niby rasy nizinnej, ale kto tam mógł sprawdzić, jakiego naprawdę pochodzenia, kiedy krowy ściągano skąd się dało. A u krowy— jak powiedział Przybylski — metryka najważniejsza. Skądże było brać sztuki z rodowodem, kiedy okupant oczyścił Lubelskie z bydła do ostatniej krowiny, zostały tylko same chabety. Chłop wolał wtedy stracić parę koni niż krowę. Konia mógł zastąpić traktor, a mleka maszyna nie dawała. W PGR-ze też na początku niewiele od bydła wymagano i mleka nie było wiele, ale za Przybylskiego nawet te krowy bez rodowodu doiły się coraz lepiej. Każdego miesiąca odstawiał tysiąc litrów, albo dwa i trzy ponad plan, a każdy teraz wie, że corocznie potrafi wyciągnąć od krowy po dwie i pół setki więcej, niż przewidywali.

Przybylski jest rozmowny, lubi opowiadać o swoich sprawach. Zachodzi często do kuźni, ponieważ w kowalu Wacławie Fedorowiczu ma cierpliwego słuchacza. Z ich wspólnych rozmów zrodził się pierwszy pomysł racjonalizatorski w PGR-ze. Każdej zimy tracili ludzie w Czesławicach wiele czasu na skręcanie haczyków na druty do zawieszania pędów chmielu. Robili te haczyki, jak i wszędzie, — ręcznie. Trzech chłopów musiało dłubać przez dziesięć godzin z rzędu, zanim zrobili 500 sztuk tego drobiazgu, a na hektar szło ich cztery i pół tysiąca.

— Ileż to czasu marnuje się — zauważył kiedyś Przybylski — że też nikt nie pomyślał nad tym, żeby takie rzeczy robić maszynowo. Przecież w samych tylko Czesławicach trzeba sto osiemdziesiąt tysięcy takich haczyków.

Zbierało się już na przedwiośnie i czas był najwyższy zaczynać robotę przy haczykach, kiedy kowal przyszedł do kierownika majątku Zygmunta Maciążka.

— Ho, ho, sprawa musi być nie byle jaka, kiedy zdecydowaliście się zabrać głos — żartował Maciążek i poszedł za Fedorowiczem do kuźni.

— Ściągnąłem was tutaj wedle tych haczyków... Zdaje mi się, że już nie trzeba będzie tyle czasu mitrężyć na takie drobiazgi — tłumaczył kowal.

W taki sposób znalazł się w Czesławicach racjonalizator. Sporządzono plany urządzeń i Lubelskie Zakłady Chmielarskie zastosowały je w praktyce. Trzech ludzi wyrabia teraz w dziesięciu godzinach do dwudziestu tysięcy haczyków. Niby głupstwo, ale w krajowej produkcji daje dziesiątki tysięcy oszczędności.

Wrodzona żyłka do majstrowania i pierwsze powodzenia były bodźcem do dalszych prób. Teraz w kuźni czesławickiej kowal Fedorowicz głowił się nad konstrukcją samoczynnego zbieracza i transportera, który możnaby było łączyć w agregat z radziecką kopaczką do ziemniaków. — Przyczepi się do niej transporter Fedorowicza i wóz, a agregat będzie



sam kopał, zbierał i ładował — zdradził swoje zamiary Fedorowicz.

Od czasu do czasu zaglądał do kuźni Stanisław Zmora.

— No jak tam idzie? — pytał dobrodusznie. — Będą się nasze baby cieszyć czy nie? Skończą się ich narzekania na ból w plecach od ciągłego zginania się? Kiedyż to człowiek spodziewał się, że będzie można wyprostować plecy przy takiej robocie. Toć ja z moją starą lata całe zginałem plecy i kopałem naprzód dla Lilpopa a potem dla Milowicza...

Ruchliwy Maciążek. którego w każdym kącie pełno, Zmora nieco powolniejszy, pełen tej rozwagi, która cechuje doświadczonego gospodarza i zawsze ciągle czymś zajęty, chociaż mu na siódmy krzyżyk idzie, stary Samorek z chlewni, niezwykle mocno zrośli się z gospodarstwem w Czesławicach. Czymże nie zajmował się tutaj Maciążek? Był robotnikiem polowym, rybakiem, stajennym i gajowym. Razem ze Zmorą i Samorkiem uprawiali tę ziemię od młodości.

— Widzieliście w Czesławicach dwie drewniane bramy, z daszkiem krytym gontem? Zbudowali je obszarnicy dla nadania swoim posiadłościom lepszego fasonu, bo przed willami w Nałęczowie takie bramy budowali — opowiada Zmora. — Bramą tylną wychodziliśmy z gumna na roboty, albo zwoziliśmy plony dla właściciela Czesławic, Lilpopa, kuzyna tych sławnych Lilpopów, co to mieli fabryki w Warszawie. Bramą frontową on wywoził stąd pieniądze, albo zjeżdżał po żniwach, żeby czym prędzej sprzedać zbiory. Ładował zebrany grosz do kieszeni i jazda zagranicę! Ostenda, Nicea, Neapol — tam go ciągnęło. A na to wszystko trzeba było niemało gotówki, na którą musieliśmy zapracować my.

MOKRE WYKOPKI

Nadzieje Zmory nie spełniły się tej jesieni. Ludzie w PGR-ze musieli zginać jeszcze grzbiety przy kopaniu ziemniaków, chociaż mają radziecką kopaczkę. Nie dlatego, że kowal zawiódł, ale po prostu pogoda nie dopisała. Przy końcu sierpnia sypnęło deszczem, zazieleniło się w polu za kilka dni i oborowy Przybylski przestał narzekać na brak zielonej paszy, ale we wrześniu lało codziennie, nie ustawało też w październiku.

— Zeszłego roku chłop czekał na deszcz jak kania, a teraz znów nie zamykają się niebieskie upusty, jakby chciały oddać to, czego latoś poskąpiły — mówili w Czesławicach. Z kopaniem nie śpieszyli się. Ciepło było, chociaż jesień już szła głęboka, a nać zieleniła się jeszcze, ziemniaki rosły. W drugiej połowie października powiedzieli sobie, że dalej zwlekać nie można.

Zrobili zebranie w świetlicy. Nie jeden patrzył tego wieczora z zatroskaną miną w okno. W parku świerki ociekały wodą, deszcz spływał falami po szybach. Nawet w głośniku radiowym gulgotało, jakby dostała się do niego woda, zrozumieli jednak, że speaker opowiadał o przygotowaniach do XIX Zjazdu WKP(b).

Wypadałoby i nam jakoś go uczcić — zauważył Zmora — dopiero rewolucyjna reforma pozwoliła chłopom dobrać się do ziemi obszarniczej.

Rada w radę, podjęli zobowiązanie. Postanowili skrócić wykopki o trzy dni. Przewodniczący rady zakładowej Wnuk wciągnął to do protokółu, ale czyż człowiek mógł z taką pogodą sobie poradzić? A oni: wszystko jedno, skrócimy wykopki i koniec.

Wyprowadzili w pole radziecką koparkę. Słyszeli, że w Kocku mieli z niej wielką pociechę. Ale tam przecież ziemia piaszczysta, a pod Nałęczowem czysta glinka. Niebo przetarło się trochę, wjechali w kartoflisko traktorem. Przejechał kilka metrów i zarył się w glinę a błoto oblepiło tak kopaczkę, że trudno było doszukać się pojedyńczych części. Ledwie udało się agregat wyciągnąć z pola.

Zmora zaklął siarczyście, a Maciążek orzekł z determinacją: Nie ma innej rady, jak kopać ręcznie i sypać od razu na wozy. Inaczej zamokną kartofle i nie będzie można kopcować. Trudno, tyle lat gięliśmy się we dwoje u dziedzica, wytrzymamy jeszcze ten raz, kiedy mamy taką zapłakaną jesień.

Na pole wyszedł, kto był żyw w PGR-ze. Żony, dzieci, krewniacy. Sam Kotulski przyprowadził swoją kobietę, dwie córki i syna. Wydarli jednego dnia z półtora hektara. Wieczorem wszyscy szli do wsi i werbowali robotników dochodzących. Po dwóch tygodniach skończyli z ziemniakami i trzeba było zabrać się do buraków, ale o wywiezieniu ich z pola nie było mowy. Z glinki nie wydostałby się nie tylko samochód, ale i naładowany wóz.

— Będziemy kopcować, wywiezie się, gdy nastanie mróz — postanowili i zobowiązanie wykonali.

Kilkaset ton buraków cukrowych czeka na nadejście mrozów, a ludzie z Czesławic wzdychają ciężko, kiedy im wspomnieć o urzędnikach z Powiatowej Rady Narodowej w Puławach.

— Trzy kilometry jest wszystkiego z Nałęczowa do Czesławic i nie mogą zdobyć się na budowę drogi. Traktory nasze grzęzną, łamią się wozy, niszczą samochody, a ich to nic nie obchodzi. Cukrownia w Garbowie musi czekać na buraki a Centrala Ogrodnicza w Nałęczowie na kapustę.

WRACAMY DO BUKIETA

Maciążek. Zmora, Przybylski, Samorek i kilkudziesięciu innych ludzi miało wstęp do dworu tylko przez tylną bramę. Do PGR-u weszli od frontu, jak gospodarze. Komitet Robotniczy, nie kto inny, wybrał Maciążka na kierownika. A komu naprawdę należała się ziemia, niech mówią tegoroczne zbiory: Wymłócili 29 kwintali pszenicy z hektara po siewie krzyżowym, 31 jęczmienia i 30 owsa. Ziemniaków wykopali po 210 kwintali z hektara. W tamtym roku odstawili 100 kwintali chmielu ponad plan. Założyli na kilkunastu hektarach ogród warzywniczy. Mają w zespole ogrodnika, dawnego robotnika w Józefowie nad Wisłą, Jana Śliwę, który prowadzi w PGR Józefów największy w kraju sad na 120 hektarów. Rośnie w nim 60 tysięcy drzew. Samorek i Depta są przodownikami w chlewni, doglądają 400 sztuk trzody.

W tym samym pałacu, przed którym czekali daremnie na plenipotenta Lisowskiego, obchodzili dożynki.

Czyż Bukiet, śmieszne, poczciwe psisko, nie dowiódł nieomylności psiego instynktu, wybierając sobie służbę w PGR-ze Czesławice? Siedzi teraz naprzeciw Przybylskiego, a tuż obok ciągnie z nad stawu nieprzerwany sznur białych kaczek-pekinek. Pies łypie na nie od czasu jednym okiem. a potem patrzy bystro w oczy swego pana. Odzywa się w nim ni stąd ni zowąd kilka kropelek wilczej krwi, odziedziczonej po którymś z przodków.

— Nie rusz Bukiet—upomina brygadier. — Byłbyś szkodnikiem i musiałbym ciebie wypędzić, bo u nas nie ma dla szkodników miejsca.

Bukiet dźwiga w górę oklapłe, zakończone szczeciniastymi pędzelkami uszy i wali z całych sił oskubanym ogonem o stwardniałą na pierwszym mrozie ziemię.

— Gdzieżby tam porządny pies z PGR-u wbrew woli swego pana napastował kaczki.

Psie ślepia znów szukają oczu brygadiera.

Krystyna Pałys

JERZY K. MACIEJEWSKI

U ZAPOMNIANEGO WORCELLA



Henryk Worcell z synem

W LUTYM i marcu br. na łamach „Wsi" ukazały się dwa reportaże Henryka Worcella z Trzebieszowic koło Lądka - Zdroju (woj. wrocławskie). Autor, osiadły po wojnie w tamtych stronach i znający świetnie miejscowe stosunki, pisał: „ujrzałem przechodzącego sołtysa z Trzebieszowic, Szwejkowskiego... Nie umiem sobie wytłumaczyć, dlaczego widok tego dzielnego, ruchliwego człowieka budzi we mnie niepokój... I dlaczego przychodzi mi na myśl, gdzież ja go ostatnio widziałem, z kim, w jakich okolicznościach? Z sekretarzem Kretem? Z Batorem?"

W tych niewielu zdaniach kryło się pewne niedomówienie, wzbudzające ciekawość. Ten reportaż Worcella uderzał swą prawdziwością ukazywania rzeczy niełatwych, choć często nienazwanych po imieniu. Była przecież mowa o ludziach żywych, o środowisku, w którym Worcell przebywał. Więc aby poznać tych, o których pisał on przed niespełna rokiem, wybrałem się do Trzebieszowic. Coś jakby w trop za sprawami, które podjął, lecz nie dokończył Worcell. O Batorze pisał wręcz, że jest kułakiem, który solidaryzował się w pełni z Matkowską, ustosunkowującą się opornie do akcji skupu. O sekretarzu Podstawowej Organizacji Partyjnej Krecie dodawał. że jego rola przy przyjmowaniu młodego Dobrowolskiego do Partii była nieco niewyraźna. Worcell postawił pytanie, na które zresztą nie udzielił odpowiedzi: „Dobrowolski znów uśmiechnął się i nie odrzekł nic. tylko przytknął palcem w grdykę. Czy to miało znaczyć, że Kreta jacyś ludzie przekupują wódką?"

W Podstawowej Organizacji Partyjnej powiedziano mi o Krecie po prostu:

— Jako sekretarz organizacji ze swych obowiązków wywiązywał się nienagannie. Kiedy jednak w naszej gromadzie wypłynęła sprawa utworzenia spółdzielni produkcyjnej, wyjechał do Bystrej na roboty w lesie, pod pozorem, że tu nie miał z czego żyć. Zdał swoją gospodarkę, zabrał konia. Obecnie jest robotnikiem leśnym. Wybraliśmy innego sekretarza...

A więc Kret usunął się z pola widzenia. Wybrał inny zawód, znikł z oczu. Ale pozostał Szwejkowski, urzędujący sołtys.

Zapytana o niego nauczycielka Czopowa, niemłoda już kobieta o dobrodusznej twarzy oświadczyła, że Szwejkowski ze swych obowiązków wywiązuje się jak należy. W wyborach brał czynny udział. „Trzeba jednak wiedzieć wszystko, dodała na zakończenie, by ocenić pewne rzeczy..."

A jednak coś niedopowiedzianego krąży wokół sołtysa Szwejkowskiego. Ludzie na wsi mówią i sądzą raczej niechętnie. Nigdy niewiadomo, czy jutro nie trzeba będzie pobiec do sołtysa ze swoim interesem. Paulina Terlikowska natomiast nie kryje się ze swym sądem: — To człowiek, który za wódkę wszystko zrobi.

Terlikowska i jej mąż są repatriantami. Gdy przybyli w te strony otrzymali gospodarkę ośmiohektarową. Ale leżała ona za górą, pod lasem. Były wprawdzie wówczas wolne inne gospodarki, ale Terlikowska nie wiedziała, że aby je otrzymać, należało wręczyć pewnym osobom „porękawiczne". Określenie to jest po prostu łagodną odmianą słowa — łapówka.

— Pięć razy składałam podanie o przydział innej gospodarki, aż gdy mąż przy wywózce drzewa z lasu złamał nogę, to mi podanie uwzględniono i przydzielono gospodarkę bliżej. Dostałam siedem i pół hektara i te oto stare zabudowania. Było to przed rokiem. W czerwcu. Tam obsialiśmy wszystko jak się patrzy...

Na te zasiewy dokonane przez Terlikowskich połaszczyła się Krystyna Cygankówna. Nie dla siebie zresztą, a dla szwagra, który pracował w mieście jako piekarz i praw żadnych do gospodarki nie miał. Ale znaleźli się „życzliwi", którzy Cygankównie dopomogli. Wśród nich był i sołtys Szwejkowski. Potwierdził on podanie Cygankówny o nadanie dawnego gospodarstwa Terlikowskich, do czego prawa nie miał. Decyduje o tym zasadniczo aktyw wiejski. Ale ponieważ przewodniczący GRN Mazur był po stronie Szwejkowskiego, więc podanie Cygankówny uwzględniono. Z tą chwilą Cygankówna nie dawała Terlikowskim spokoju, wyganiając ich z gospodarki, lżąc, a nawet posuwając się do rękoczynów. Czym tłumaczył się ten naglący pośpiech? Troską gospodarską? Chęcią zadbania o przydzielone gospodarstwo? Czy po prostu uzyskaniem korzyści własnych? Postępowanie Cygankówny wskazało na istotę zagadnienia. Po zbiorach chciała zdać gospodarkę, lecz zamiar na razie został udaremniony interwencją Terlikowskich w województwie. Jaka była rola Szwejkowskiego w tej sprawie? Więcej niż niewyraźna Nic więc dziwnego, że pisząc o nim Worcell nie dopowiadał pewnych rzeczy, choć rozstrzygnąć powinien je kolektyw gromadzki. A jeżeli składa się on z przyjaciół Szwejkowskiego?

Rola korespondenta terenowego czy też sprawozdawcy jest trudna i odpowiedzialna. Nastawiony on jest na skutek swej działalności na różne szykany i w walce z nim wróg ima się wszelkich sposobów. Nawet gdy piszący wymierza objektywną sprawiedliwość, skrupulatnie kierując się dobrem społecznym, znajdą się tacy, którzy dopatrzą się w tym zła... dla swojej wsi. Obserwator społeczny, za jakiego uchodzi w gromadzie korespondent terenowy, dla wielu jest przysłowiową „solą w oku". Tam, gdzie niejednemu jakieś drobne nieporozumienie sąsiedzkie czy też w miejscu pracy uszłoby niepostrzeżenie, staje się wielkim oskarżeniem w stosunku do osoby korespondenta.



Nauczycielka szkoły podsta. — ob. Czopowa

Worcell gospodarki w Trzebieszowicach nie ma. Mieszka tam z żoną Antoniną, Polką urodzoną pod Żytomierzem w Związku Radzieckim. Jest to młoda energiczna kobieta, przewodniczy miejscowemu Kołu Gospodyń Wiejskich.

— Nieraz ludzie pytają mnie, jak było t a m, w moich stronach rodzinnych? Władza radziecka umożliwiła mi zdobycie wykształcenia, ukończenia „agrotechnikum". Rodzice moi są Polakami i należą do kołchozu, gdzie wiedzie się im bardzo dobrze. Znam dobrze moje rodzinne strony i wiem, jak tam jest. Wszystkim powodzi się dobrze. Gdy o tym mówię we wsi, zdaję sobie sprawę, że niejednemu to się nie podoba...

Worcellowa została przez hitlerowców wywieziona na roboty do Rzeszy i tam poznała swego męża. Zna doskonale jego przedwojenną twórczość, widać, że dumna jest z męża-pisarza. Prowadzi dom i dopomaga mężowi w jego utrzymaniu dorabiając robieniem swetrów. Chciałaby przejść nawet do bardziej aktywnej pracy, ale nie pozwala jej na to stan zdrowia.

Worcell jest autorem śmiałej powieści pt. „Zaklęte rewiry", opisującej środowisko kelnerów, w której ukazał on całą prawdę życia. Za to spotkał się z wieloma szykanami tego środowiska. Następną jego książką był zbiór opowiadań pt. „Spotkania o zmroku". Po wojnie Worcell osiedlił się na ziemiach zachodnich, prowadził przez jakiś czas gospodarstwo, ale na skutek złego stanu zdrowia a bardziej jeszcze zgnębiony pierwszą fazą walki o „Rewolucję w Guranowie" (owocem konkursowy reportaż w 1950 r. we „Wsi") zrezygnował z gospodarki i przeniósł się do Trzebieszowic. Napisał powieść, ale bardzo nierówną i niepogłębioną społecznie, wymagającą zatem jeszcze dużej pracy. Napisał też sztukę sceniczną o powstaniu spółdzielni produkcyjnej. Ale sztuka ta leży u wydawcy, który domaga się daleko idących zmian Kiedy bieda przycisnęła Worcella (ma on dwoje dzieci), nie zawahał się pracować jako zwykły robotnik przy załadunku wagonów na stacji. Ostatnio podjął pracę jako kelner w miejscowej gospodzie ludowej.

— Praca tam — powiedział mi— ukazała jak na dłoni cały mechanizm gminy. Kto się spotyka, z kim, jakie sprawy są ubijane przy kieliszku, a wódka bezlitośnie demaskuje i odsłania prawdziwe intencje...

— Pracuje pan tam jeszcze?

Worcell milczy. Żona chce przyjść mu z pomocą, ale nie daje on jej dojść do głosu dodając twardo:



Ogólny widok Trzebieszowic

— Nie. Zostałem przed paru dniami zwolniony...

Gdy wracał z Gospody wieczorem, prawie zawsze wychodziła na przeciw żona. Bała się o jego bezpieczeństwo. Reportaże Worcella, pisane z pasją i bezkompromisowością narobiły mu wrogów. O „wypadek" więc nie trudno. Kiedy reportaże jego ukazywały się we „Wsi" pisarz i jego żona wykupowali w Kłodzku i Lądku-Zdroju wszystkie egzemplarze, gdyż woleli, by nie dostały się w ręce „niepowołanych", a przez Worcella opisanych czy też wymienionych choćby z nazwiska.

Prezes gminny ZSCh a zarazem członek Gminnego Komitetu ZSL Jan Krycz na moje zapytanie o zwolnienie Worcella z pracy i o powody, odpowiada dość ogólnikowo.

— Szkoda, by się tu w gospodzie marnował. Trzeba go wziąć stąd i dać mu coś po jego fachu. Pytacie. czy może pije? Któż u nas nie pije. Ale nie, Worcell nałogowo nie pije. Społecznie pracował...

— To zajęcie nie było dla niego — podkreślała w swej wypowiedzi nauczycielka Czopowa, a kierownik szkoły. Kukulski, dodał: — Trzeba go wciągnąć do pracy oświatowej. Fakt zamieszkiwania tutaj nakłada nań obowiązki wobec społeczności...

Po wypowiedziach mieszkańców Trzebieszowic, rozumiem dlaczego Worcell przestał pisać. Mimo pewnych zastrzeżeń co do jego osoby sąsiedzi jego przyznawali autorowi „Zaklętych rewirów" talent i poniekąd byli dumni, że żyje ich życiem i środowiskiem. Zastrzeżenia. niewypowiedziane zresztą jasno, dotyczyły „mieszania" się Worcella w życie gromady Powieść o wsi podkłodzkiej, o troskach i radościach jej mieszkańców, to rzecz z której niewątpliwie byliby zadowoleni, ale reportaże przyjmowane były z daleko mniejszym entuzjazmem.

Zbliżamy się więc do zakończenia „sprawy Worcella". Nazwijmy ją tak dla uproszczenia zagadnień. Worcell należy do tych nielicznych pisarzy, którzy żyją terenem, wciągnięci weń przez samo życie. Ma on więc wszelkie warunki do napisania powieści o tych sprawach, jakie przeżywał sam i jego rodzina w ciągu ostatnich ośmiu lat. Ale posiada wszelkie warunki z wyjątkiem... *bytowych*. Stojący właściwie poza gromadą, mieszkający tam tylko, może zmarnować swoje wysiłki na gonienie za groszem, tak potrzebnym na utrzymanie rodziny Trzeba mu przyjść z pomocą, nakłonić do właściwej pracy, ułatwić życie. a wtedy otrzymamy dzieło o wsi na ziemiach zachodnich, na które tak czekamy. Kto się ma jednak zaopiekować Worcellem? Widzimy dwie instytucje, powołane do tego: Związek Literatów Polskich i Ministerstwo Kultury i Sztuki Nie wolno nam bowiem dopuścić by się zmarnował pisarz i człowiek

J. K. Maciejewski



Henryk Worcell, Wł Dobrowolski (syn) i jego ojciec

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

W ODWIEDZINACH U ŚMIECHURSKIEGO

NIE żałuję tych odwiedzin Wprawdzie przebyłem daleką drogę, tłoczyłem się w pociągach i ledwom znalazł miejsce w przepełnionym autobusie, ostatecznie jednak dobrnąłem do Kostrzyna, dużej gminnej wsi, leżącej w powiecie Środa. Z miejsca zapytałem o Śmiechurskiego Czesława.

Wygląda na typowego zrzędę Dać mu tylko głos, a będzie narzekał prawdziwym zamiłowaniem. Patrzy na mnie uważnie, taksuje moją osobę trochę, jak by tu powiedzieć — z poznańska Oczy jego wędrują uważnie z góry na dół, od cyklistówki do butów. Wreszcie pyta:

— Wyście z gazety?

A kiedy przytaknąłem, z miejsca rozpoczął swoją litanię.

— O panie, prasa dzisiaj mocna, sprawdźcie koniecznie czy plan na zboże, żywiec i mleko był tego roku sprawiedliwy i czy podatki aby nie za duże.

— A co wam się widzi, że państwo akurat w waszej gromadzie przesoliło? Nie wykonaliście planów?

— Ja? Ja tu przodujący, zboże u mnie na 100 procent a mleko i żywiec na 150. Podatek też w porządku.

Stary — jak to mówią — ugryzł się w język, speszył. Zrozumiał, że przyłapałem go na zwykłej sprzeczności. I znowu czuję jego bystre oczy na sobie, patrzące lekko podejrzliwie, ale i z pewnym szacunkiem. Wreszcie powiedział:

— Wy z gazety lubicie się pytać. Zagadujecie, niech ja se posłucham.

Zapytałem, czy w gromadzie są kułacy i jak wyglądają ze skupem i kontraktacją. Nie posłuchał se Śmiechurski, ale dopiero teraz zaczął gadać na całego. Taki już z niego chłop.

— A są dranie, są! Robić im się nie chce Zdają ziemię do Gminnej Rady Narodowej, a ta podrzuca mało i średniorolnym te hektarki jak kukułka jajka.

Z miejsca uświadomiłem sobie, że natrafiłem na bardzo interesującą sprawę, najwidoczniej żywo obchodzącą Śmiechurskiego, a może i innych chłopów. Ileż ziemi kułackiej podrzuciła im GRN i w jaki sposób chłopi ją obrabiają?

Stary jest już wyraźnie podenerwowany Opowiada, że z łaski GRN kilku biedniaków stało się średniakami, kilku średniaków „pogrubiało", znaczy przekroczyło 10 ha.

— A teraz rady sobie dać nie możemy — Śmiechurski wybucha gwałtownie, bierze mnie pod rękę i energicznie zawraca. Dochodziliśmy właśnie do budynku GRN.

— To przez tych urzędników!

— Po coście brali w takim razie ziemię, chcieliście się zbogacić, przyznajcie się?

Zdumiała mnie odpowiedź tego poznańskiego średniaka.

— Wzięlim, bo się nie może zmarnować tyle hektarów rzepaku, jęczmienia browarnianego, lnianki, czarnej gorczycy. Toć to wszystko kontraktowane. Nigdy nie byliśmy na końcu to i przez kułaków zostać nie mogliśmy, rozumiecie?

Rozumiem. Śmiechurski mówił to wszystko z dumą współgospodarza gromady. Te kilka lat zorganizowanych akcji gospodarczych, ożywiły go i politycznie. Stary wyraźnie oddzielił się od kułaków, skup i kontraktacja wprowadziła go na rynek handlowy, przyniosła ekonomiczną niezależność. Stał się uspołecznionym chłopem. Dobrze, dobrze, ale czemu stary taki zły?

— W zeszłym roku każdy osobno obrabiał te kułackie hektary, a będzie tego ponad 30. Tyraliśmy jak mogli. A kułacy cygara se palili i pisali podania do GRN o umorzenie podatków, że niby ziemi nie mają i obniżkę skupu. A przecież myśmy byli podobni do ich dawnych parobków

Rzeczywiście było się o co złościć. Z jednej strony poczucie zbiorowej odpowiedzialności za wykonanie planu nie pozwoliło mało i średniorolnym pozostawić dobrej ziemi odłogiem. Z drugiej poważne obciążenie, wyczekiwanie na pomoc ze strony POM-u, przy zwiększonej odpowiedzialności z nie swoją ziemię. Ale chłopi wytrwali.

— No ale chyba złościcie się jeszcze za zeszły rok, w tym założyliście przecie Zespół Uprawowy, a wy Śmiechurski jesteście członkiem zarządu Dobrze mówię?

Nie dobrze. Spotkała mnie nowa niespodzianka. Stary złościł się przede wszystkim za ten rok. Nie mogłem tego w żaden sposób pojąć. Co za zrzęda! Wszystko mu źle! Obrabiają wspólnie, łatwiej to i szybciej, mają umowę na pomoc z POM-u i zagwarantowane pierwszeństwo. Obrodziło lepiej niż kułakom, a Śmiechurskiego nawet publicznie pochwalili. Co za kawały urządza mi stary?

Kończymy rozmowę już w domu. Śmiechurski zaprosił kilku towarzyszy z zespołu. Wyglądało to trochę uroczyście. Wszyscy się ładnie uśmiechali, ale nikt nic nie mówił. Myślałem początkowo, że spróbują postawić mi wódki i zaproponują jakieś uderzenie w GRN. Może chodzi im o uzyskanie na własność tych hektarów, jakieś wieczyste nadanie, każdemu po trochu.

Rzeczywiście! Nie spodziewałem się tego, co zaszło.

Brzanek zaczął od narzekania na POM.

— Widzicie sprawa jest taka: powiadają — zapłaćcie połowę pieniędzmi za pomoc, resztę w naturze. A przecież tę naturę — kontraktujemy. Do ładu dojść nie można.

Wiedziałem, że nie o to chodzi. Wreszcie Śmiechurski zagaił w imieniu zebranych.

— Ja wiem, że wy nie rolnik, ale i tak możecie mieć głowę nie od parady. Tego roku gospodarujemy lepiej niż w zeszłym Wspólnie obrobiliśmy kułacką ziemię i jakoś samorodnie zaczęliśmy pomagać sobie na indywidualnych gospodarstwach.

Do czego on prowadzi? Nie mogłem się doczekać dalszych słów A staremu akurat nie śpieszyło się tym razem. Zadumał się, pociągnął papierosa, popatrzył uważnie po zebranych.

— Ta ziemia jest nasza i nie nasza. Rozebrać jej między siebie nie możemy, bo nie da tyle co na wspólnym, a planu zniżyć nie można. Jakby to wyglądało? Wziąść między siebie to kłopot większy. Ludzi u nas w rodzinach mało. Co by tu zrobić, żeby pracować wspólnie, a ziemia była nasza, tyle w nią człowiek kładzie pracy i potu. Tyle się o wyniki namartwi.

Stary umilkł jakby zadowolony, że przedstawił sytuację bez wyjścia. Więc o to mu chodziło!

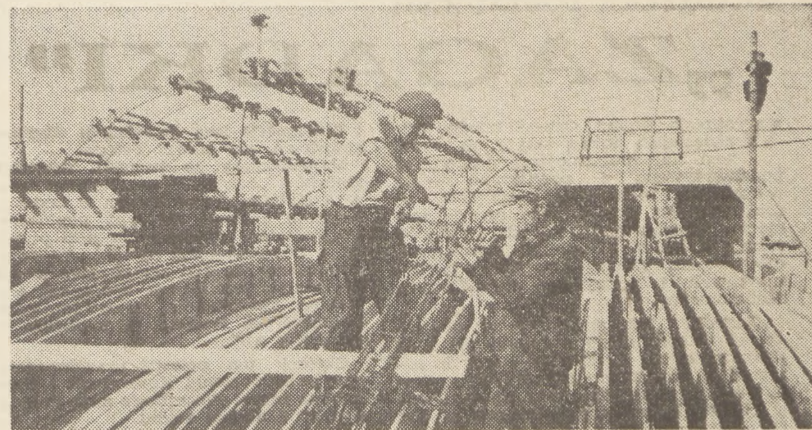
Jasne, że od indywidualnego gospodarowania na porzuconej ziemi musieli przejść do zespołowego. Walczyli twardo o wyższą wydajność i honor gromady w wykonywaniu planu skupu i kontraktacji. Cofnąć się teraz nie mogą, a co dalej — nikt z nich powiedzieć nie umie.

— Pomyślcie o spółdzielni produkcyjnej. Ziemia będzie najbardziej wspólna i najbardziej wasza własna

Zapadła cisza. Nikt mnie wprawdzie nie poparł, ale też nikt nie zaprotestował. Czy grupa uprawowa przemieni się w socjalistyczny kolektyw?

Wyjeżdżając nie umiałem sobie na to pytanie odpowiedzieć. Ale myślę, że nie bez znaczenia był silny uścisk dłoni jakim pożegnał mnie Śmiechurski, Brzanek i kilku innych...

Wiesław Jażdżyński



FELIKS BĄBOL

KOMBINAT PRZYJAŹNI

PALI się! Ludzie, pali się... Obudzono komendanta straży. Migiem ubrał się, nasadził na głowę ciężki hełm i wybiegł z izby.

— Gdzie się pali?

— Na Bugaju pewnie...

Komendant spojrzał na wielką łunę, w pewnej jednak chwili pokiwał głową i tym, co stali najbliżej, pokazał palcem czoło.

— Tu się pali! — I, nic sobie nie robiąc z wrażenia, jakie wywołał, ruszył do chałupy Przed samymi drzwiami odwrócił się nagle i dodał:

— To wy jeszcze nie wiecie? Przecież to fabryka się buduje, a że tyle świateł, to i co? Żeby szybciej — ludzie budują i w nocy. Spać spokojnie, chłopaki!

Łuna świateł z Bugaju pod Piotrkowem dochodziła do Krężny, do Poniatowa, widzieli ją wyraźnie chłopi w Witowie, Moszczenicy i nawet w Gazomi. Wieść docierała szybko poprzez ugory i piaski pól, na wiosnę 1950 roku wszyscy chłopi w powiecie wymieniali w rozmowach najnowsze wiadomości. Słowo „kombinat" nie schodziło z ust:

— To duża fabryka, ten kombinat, będzie moc pracy i teraz przy budowie i potem, gdy już ruszy...

Ale sława kombinatu była zersza. Mówiło się o nim w całym kraju, mówiło się więc i w Łodzi. Dzięki temu dobry prządzalnik Rodewald któregoś dnia postanowił:

— Jadę, tam przecież robota pionierska. Lubię taką robotę!

I „zamienił" Łódź na Piotrków Bo to był taki okres: ludzie „z głową" bardziej uświadomieni, fachowcy, przyjeżdżali na Bugaj, wołał ich patos wielkiego budownictwa, zaś setki chłopów z podpiotrkowskich wsi ciągnęło nowe i nieznane, praca i chleb.

×

Lokalizacja nie trwała długo, praca inżynierów radzieckich nad sporządzeniem dokumentacji technicznej dobiegała końca Na Bugaj poczęły płynąć nieprzerwanie materiały i maszyny Kolejarze na stacji w Piotrkowie nigdy przedtem nie mieli tyle roboty z przeładunkami co owego 1950 roku Zaroiło się na ogromnym placu budowy od ludzi — z najodleglejszych zakątków powiatu przybywali chłopi, zgłaszali się do murarki, do robót betoniarskich Po 1 maja tegoż roku, gdy w obudowie fundamentu spoczął akt erekcyjny Kombinatu, noce podobne były dniom — ten sam rozgwar robotniczych brygad, to samo tempo tak charakterystyczne dla wielkich budów Lampy elektryczne zastępowały słońce Kolejka sulejowska dyszała ciężko dowożąc ludzi Wesoło przy śpiewie pięły się mury prządzalni cienkoprzędnej, umacniała się też przyjaźń i porozumienie z technikami i budowniczymi radzieckimi.

×

Szumiały jeszcze bokami wielkiego placu budowy łany zboża, ale tuż obok wystrzelały już mury gigantycznej prządzalni. Biegły po niebie chmury ale szybciej jeszcze toczyły się po torach wagony z materiałami. Zbrojenia murów chłonęły materiał nienasycenie. Wtedy to właśnie nasi ludzie otrzymali pamiętną lekcję nowego stylu pracy Chodziło o betonowanie szedów nad prządzalnią.

— Gdybyśmy chcieli je betonować po staremu — mówił jeden z inżynierów radzieckich — zabrało by to nam może 40, a może 50 dni. Ale my spróbujemy to zrobić szybciej Zbudujemy w tym celu kombajn...

I pokazali, jak taki kombajn powinien wyglądać. W lot poszukano szyn, zbudowano odpowiednie podwozie, na podwoziu uruchomiono cały zespół urządzeń, na pozór prostych, ale jakże celowych! Kombajn podjeżdżał pod szedy, robił „swoje" i posuwał się po szynach dalej Z kilkudziesięciu dni czas trwania roboty skrócono w ten sposób do kilku.

Ludzie nie czekali na robotę — robota czekała na ludzi. Dziesiątki i setki skrzyń z maszynami prządzalniczymi przybywały na teren budowy dzień i noc. Wraz z nimi przybyło 90 radzieckich „speców" od montażu. Brygady kończyły prace przy budowie ogromnej hali fabrycznej a jednocześnie przygotowywano się do drugiej wielkiej bitwy.

— Przyjaciele — mówił wtedy inż. Białoszapka, który przybył wraz z monterami — montaż maszyn i urządzeń na prządzalni to ważna rzecz. — A zwracając się do polskich monterów ciągnął dalej:

— Pokażemy wam maszyny, zapoznamy z ich częściami tych, którzy nie znają jeszcze radzieckich wrzecienic i maszyn obrączkowych-wych...

×

Na wieść o nowym etapie budowy wielkiej fabryki znów zaszumiało na wsiach piotrkowskich.

— Chciałbym poznać radziecką technikę — wynurzał swe pragnienia Stefan Opala.

— Ty? Śmiechu warte! — wydziwiali sąsiedzi — Nie dasz rady. Czy ty wiesz co to jest montażowanie? Robiłeś kiedy co innego, niż przy pługu?

Nie zachwiał się Opala. Zgłosił się do kierownictwa budowy i wkrotce należał do brygady monterów Było ich z dwustu. Garnęli się do tej ciekawej roboty ludzie zupełnie czasem surowi, ślusarze, kowale, jacyś mechanicy czy też, jak Opala i tylu innych — chłopi wprost od pługa Nie zdziwiło to radzieckich monterów.

— Kto chce, może się szybko nauczyć — mawiał inż. Nieskierow — wytłumaczymy chętnym co i jak.

×

W lipcu ub. roku ruszyła przędzalnia średnia, odbudowana w starych murach Manufaktury Ale gdy na rocznicę Rewolucji Październikowej — 6 listopada 1951 zaczęły dudnić maszyny i zespoły prządzalnicze w nowym budynku prządzalni cienkiej fakt ten stał się wydarzeniem dla wszystkich. Ciągnęły ze wsi piotrkowskich wycieczki chłopów i ciekawych ludzi. Olśniewał ich każdy szczegół nowej fabryki. Nadziwić się nie mogli, jak to w 18 miesięcy można zamienić łąki w nowoczesną fabrykę

Zadzierali głowy do góry, by lepiej dojrzeć źródło jarzeniowych świateł, czyniących z nocy dzień i zupełnie nieszkodliwych dla oczu robotnika przy maszynie, zwiedzali urządzenia

Z dumą i podziwieniem patrzyli na radzieckich inżynierów, tych, którzy robili plany i tych, którzy w codziennej walce z czasem pomagali polskim załogom w przyswojeniu nowych, postępowych metod pracy Za wycieczkami ruszyła do kombinatu wielka fala ludzka ze wsi.

— W takiej fabryce to aż miło pracować i zdrowo i można się czegoś nauczyć...

×

Minął rok. Z ekipy radzieckich inżynierów i fachowców pozostało tylko czterech — inż Nieskierow, Żelajew Bielakow i Bruchanow. Mieli obserwować maszyny w czasie rocznego okresu gwarancyjnego.

— Prządzalnia cienka zdała egzamin na piątkę — mówi o tym Rodewald, który „zamienił" Łódź na Piotrków i który w międzyczasie został kierownikiem prządzalni. — Pomagali nam nasi przyjaciele przez cały ten czas Dzięki nim wyszliśmy też z kłopotów na wrzecienicach, gdzie nie osiągaliśmy właściwej wydajności Zbadali dokładnie maszyny, wykryli błędy i dziś wrzecienice pracują na medal! Więc i z wykonaniem planu dużo łatwiej. Popatrzcie — prządzalnia cienka: październik i listopad po 105 proc....

Ale okazuje się, że pomogło nie tylko tych 90 monterów radzieckich, którzy maszyny składali jak zegarki, nie tylko tych czterech inżynierów którzy z uwagą śledzili pracę maszyn przez cały rok. Pomógł załodze również znany już dziś milionom w Polsce radziecki inżynier Kowalow i jego metoda.

Właśnie przy pomocy jej metody instruktorka Otylia Zielińska uczy dziewczęta wiejskie dobrej pracy na maszynach Metoda inż. Kowalowa sprawiła że 18-letnia dziewczyna z Poniatowa Janina Kiełkiewicz po rocznej pracy w kombinacie osiąga już 111 czy 114 proc. normy, to inż. Kowalow sprawia, że co miesiąc wzrasta przeciętnie wykonanie bazy o 9 proc., a w listopadzie nawet o 11.

Rodewald od czasu do czasu zagląda do grubego albumu, wypisuje cyfry, kalkuluje.

— To projekt radzieckich inżynierów — mówi — jest w nim wszystko, co trzeba. Łatwo mogę porównać pracę każdego zespołu na prządzalni z założeniami planu zaplanowali bowiem i wydajność zatrudnienie. Oni — inżynierowie i technicy z Wielkiego Kraju Rad pomogli nam przy budowie właśnie dwóch fabryk Bo jedna to ta z żelaza a druga — to ta żywa powstała z tysięcy chłopów ze wsi

Taka to wspaniała zasługa *Kombinatu Przyjaźni!*

Feliks Bąbol

WOJCIECH SMUŁA

Inspektor Winniczek w terenie



J. K Maciejewski

POSUWAŁEM się za inspektorem Winniczkiem z opuszczoną głową, w stanie niemal ekstatycznego skupienia, zważając, by kroczyć dokładnie śladami jego gumowych butów. Wreszcie inspektor wychylił nos z szala, by oświadczyć nie bez zadowolenia:

— Jesteśmy na miejscu! Zaraz zarządzę gorącej herbaty...

Stanęliśmy u zielonej furtki. Odczytałem napis: „Zarząd Gminnej Spółdzielni w Chrobaczowie". Inspektor nacisnął klamkę. Furtka ani drgnęła.

— Tam do kata! — zawołał. — Gdzież w takim razie to zebranie?

Nadsłuchiwaliśmy w milczeniu. Potem inspektor Winniczek przelazł przez płot i załomotał do drzwi

— Jest tam kto?

Cisza. Nawet echo nie raczyło odpowiedzieć.

— I cóż teraz? — spytałem.

— Trzeba działać! — zadecydował. — Udajmy się gdzieś na herbatę... Ładna niedziela, psiakrew!

Poszliśmy On przodem, ja śladami jego gumowych butów. Po chodzie pełnym stanowczości, której nabył przy wydawaniu ważkich decyzji i zleceń na szczeblach gminnych, odgadywałem teraz w inspektorze człowieka niepospolitego Po trosze też przypomniałem sobie, co o nim w powiecie powiadają... On nie przychodzi — p r z y b y w a, nie widzi — s p o s t r z e g a, nie mówi — p r z e m a w i a, nie podpisuje — „s k ł a d a s w ą s y g n a t u r ę", nie robi — d z i a ł a.

— Posterunek MO... — zwróciłem uwagę na biały budyneczek pośród malowniczych świerków.

— Dadzą nam herbaty? — ożywił się inspektor.

— Tego nie wiem — odparłem — lecz dowiemy się, gdzie mieszka prezes...

Dyżurny milicjant okazał się człekiem gościnnym. Przysunął nam krzesła do kaflowego pieca, a sam zajął się poszukiwaniem członków zarządu gminnej spółdzielni. Grzejąc nogi przy piecu i popijając gorącą kawę, słyszeliśmy jak telefonował z drugiej izby w różne strony świata. Wymienialiśmy ze sobą spojrzenia pełne najbardziej różowych nadziei.

W kilka minut później milicjant zjawił się z rozpromienioną twarzą. Z nawyku służbowego, który staje się drugą naturą człowieka, recytował nam z oszołamiającą dokładnością:

— Pilśniak Wincenty, lat 42, żonaty, dwoje dzieci płci męskiej, bez nałogów, cztery hektary, p r e z e s g m i n n e j s p ó ł d z i e l n i u Chrobaczowie, miejsce zamieszkania: gromada T r ę b a c z e koło poczty... Grzywacz Ignacy, lat 33, kawaler, bezrolny, znaki szczególne: łysy, s e k r e t a r z g m i n n e j s p ó ł d z i e l n i w Chrobaczowie, miejsce zamieszkania: T r ę b a c z e u Jana Kąpielskiego chłopa średniorolnego, lat 58, żonatego...

— Wystarczy! — wdarł się w ten potok wymowy inspektor Winniczek. — Jak daleko do wsi Trębacze?

— Iii, niedaleko... Stąd pięć kilometrów polem. Ale dzisiaj lepiej drogą. Drogą nie będzie dalej jak siedem kilometrów. Za godzinę będziecie na miejscu...

— Całą godzinę w takiej zadymce? — oburzył się Winniczek. — A nie macie tutaj jakiego roweru?

— Jest, ale służbowy...

Poszliśmy tedy w zamieć i poniewierkę Winniczek przodem, ja śladami jego gumowych butów. Nos inspektora wyrażał całe piekło nieokiełzanych uczuć. Dyszał zemstą i był krwawo-czerwony jak zemsta.

Minęło już dawno południe, kiedy dobiliśmy przemoczeni i zziębnięci do gromady Trębacze. Pocztę znaleźliśmy bez większego trudu, opodal z krytego papą małego domku uchyliła nam drzwi kobieta.

— Męża nima!

— A gdzie jest prezes? — indagował inspektor.

— W terenie...

— To niby gdzie?

— A bo ja wim? Może sekretarz powie!

— Gdzie mieszka sekretarz?

— A tam... — tu szeroki gest dłonią, obejmujący pół wioski.

Poszliśmy szukać sekretarza Znaleźliśmy dom na skraju gromady. Otworzyła nam drzwi żona 58-letniego Jana Kąpielskiego, chłopa średniorolnego bez nałogów...

— Sekretarza nima.

— A gdzie jest?

— W terenie!

— Po jakiej linii?

— Służbowej.

— A dokładnie?

— Spytajcie sołtysa... Sołtys będzie wiedział...

Udaliśmy się wobec tego na drugi kraniec wioski. Sołtysa nie zastaliśmy. Był w terenie. Sołtysina nic nie wiedziała

— Więc kto u licha ma wiedzieć? — grzmiał inspektor.

— Pan Binek będzie wiedział...

— Kto to jest pan Binek?

— Pan Binek? To przecie przewodniczący GRN.

— Gdzie mieszka?

— Ano w Chrobaczowie...

— W Chrobaczowie? — zagrzmiał inspektor. — Tam do kata! Przecież myśmy stamtąd dopiero przyszli...

Po czym, doznając niejakiego olśnienia, z właściwą sobie bystrością Winniczek ponownie zwrócił się do sołtysiny:

— A wesela odbywają się często w tej okolicy?

— Jak u ludzi, bywają...

— A dzisiaj?

— Dzisiaj też pewnie.

— Zanotuję, to... Ważny szczegół. A teraz wracajmy!

W Chrobaczowie skorzystaliśmy po raz drugi z przytulnej gościnności posterunku M.O. Dyżurny milicjant usadowił nas blisko kaflowego pieca i dał gorącej kawy. Sam poszedł telefonować. Zjawił się po długiej chwili z ponurą miną.

— Nic z tego — oświadczył. — Przewodniczący GRN w terenie, jego zastępca w terenie, I sekretarz Komitetu Gminnego w terenie, II-gi sekretarz...

— ...w terenie! — trafił w sedno inspektor.

— Pociąg do Łodzi za dwadzieścia minut — napomknąłem, patrząc na zegarek.

Winniczek przyjrzał mi się z pogardą.

— A raport? Kto za mnie raport napisze? Wy jedźcie. Bardzo proszę. Ale ja, tutaj, na posterunku, jak żołnierz... do końca... — potrząsnął groźnie wiecznym piórem. — Słyszeliście, w okolicy odbywają się wesela. Co to znaczy, pytacie? (Wcale nie pytałem). Ho, ho dużo to może znaczyć. Wesela też potrafią odciągać aktyw gminny od konkretnej roboty, od zebrania... Muszę zbadać... Tak — przede mną wesele...

W dwa dni później dowiedziałem się, że gmina Chrobaczów wykonała w całości wszystkie swoje obowiązki wobec państwa. Nie zważając na niepogodę i dzień świąteczny aktyw gminny dotarł do wszystkich gromad. Nie czekano na inspektora! On zaś — człowiek stanowczy, trzeba przyznać — dotarł na wesele.

Wojciech Smuła

Notatnik z pola walki

(Dokończenie ze str. 7)

sztuki europejskiej, która w ubiegłych latach, jak powiedziałem, błąkała się nieraz po bezdrożach i upadała w proch i w błoto, tracąc najważniejszą ze swoich wiar, wiarę we własne przeznaczenie, idea pokoju jest wielkim ratunkiem, ożywczym źródłem, krynicą nowego życia".

Słowa te mówi pisarz z wiarą tym większą, że opartą na własnym doświadczeniu. Wiemy jak wielką ożywczą rolę w twórczości tegorocznego laureata Nagrody Państwowej odegrała walka o pokój i aktywny udział w niej pisarza. Dowodem tego jest sama „Sprawa Pokoju", zawierająca tyle nowych pięknych wierszy. Miejmy nadzieję, że ten „ożywczy prąd" w twórczości tego wybitnego pisarza ogarnie nie tylko publicystykę i poezję, ale i prozę powieściową, w której Iwaszkiewicz jest takim mistrzem. Na razie musimy wyrazić zadowolenie, że przełom taki dokonał się w poezji, dając w niej nowe, nieprzemijające wartości.

Publicystyka nigdy nie wychodziła na złe twórczości najwybitniejszych pisarzy. Nie trzeba na to przywoływać przykładu Krasickiego, Prusa i Żeromskiego, Fadiejewa, Gorkiego czy Szaginian. Przez publicystykę wielcy realiści pogłębiali znajomość życia, poznawali jego prawa, uczyli się zarówno artyzmu jak i pokonywania własnych obciążeń i skrzywień ideologicznych. Nie jest przy tym publicystyka gatunkiem pomocniczym dla nauki realistycznego pisania, ale gatunkiem samodzielnym, posiadającym same w sobie niemniej trwałe wartości, a którego głównym zadaniem jest bezpośrednie reagowanie na reportażowe niemal potrzeby chwili. Dlatego nie powinni jej unikać nasi pisarze Kruczkowski i Iwaszkiewicz dwaj tak różni w swojej dotychczasowej drodze pisarskiej twórcy są dla nich żywym, zachęcającym do naśladowania przykładem.

Janusz Maciejewski

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

„ZAGADKI"

W okresie Sejmu Czteroletniego najzwięźlejszą formą satyry, a zarazem najpopularniejszą, najszybciej podchwytywaną i powtarzaną przez warszawską ulicę były epigramaty — „*zagadki*". Są one dziełem prawie wyłącznie autorów anonimowych, którzy w formie krótkiej i zwięzłej (dwuwiersz, czterowiersz, rzadko sześciowiersz) demaskowali i wyszydzali „największych reakcjonistów.

„Zagadki" tak popularne w okresie sejmu czteroletniego z reguły nie były drukowane, ale krążyły w licznych odpisach i notatkach, najczęściej przekazywane drogą ustną przez opowiadacza słuchaczowi, który z kolei sam stawał się opowiadaczem.

Wychodziły one spod pióra ludzi „Kuźnicy", lub jej sympatyków. Niewątpliwie autorem wielu zagadek był Franciszek Zabłocki, chociaż ścisłe określenie jego autorstwa jest niemal niepodobieństwem. Często na temat tej samej osoby krążyło kilka „zagadek", w których w różnych wariantach przewijała się ta sama myśl.

W rękopisach z okresu sejmu czteroletniego odnajdujemy znaczną ilość „zagadek". Niektóre powtarzają się po kilka i kilkanaście razy w różnych albumach, zbiorkach, czy nawet listach.

Najpełniejszy ze znanych dotychczas zbiorków „zagadek" znajduje się jednak w Archiwum Wojewódzkim w Łodzi i obejmuje przeszło 200 tych popularnych epigramatów. Rękopis ten nosi przydługi i pretensjonalny tytuł: „*Zagadki y odpowiedzi na nie, zamykające w sobie charaktery lub intrygi biskupów, wojewodów, kasztelanów, ministrów, posłów i niektórych kobiet. In publicum wydane 1791 AN*".

Zbiorek ten powstał prawdopodobnie już po uchwaleniu Konstytucji 3 Maja, a kopista zebrał stosunkowo dużą ilość „zagadek" z okresu sejmu.

Jak wskazuje tytuł tego zbioru, „zagadki" nie szczędziły nikogo. Przed ich ciosem nie chroniły ani biskupie fiolety, ani wpływy, ani protekcje ambasadorów.

„Zagadki" dają przekrój „góry" feudałów polskich, pokazują ich prawdziwe oblicze, znane ludziom współczesnym, nie są paszkwilem, nie mają w sobie cech oszczerstwa, lecz tylko surowe stwierdzenie i przypomnienie prawdy.

W świetle „zagadek" jaskrawo przedstawia się zdradziecka rola ówczesnej hierarchii kościelnej.

Oto jak określono w „zagadkach" biskupa Ignacego Massalskiego, zdrajcę i sprzedawczyka powieszonego przez lud warszawski w czasie insurekcji kościuszkowskiej:

W uściech cnota, w sercu zdrada
O ojczyźnie zawsze gada
Siedzi blisko przy tronie
Fiolet w Robronie.

Godnym kompanem Massalskiego był Józef Kossakowski — biskup inflancki, również powieszony w czasie insurekcji kościuszkowskiej, hulaka, utracjusz i zdrajca, ozdoba salonów księżny Sapieżyny i zaufany Stackelberga.

Tę znienawidzoną postać łatwo było „odgadnąć" w czterowierszu:

Biskup przystojny, mówca zabawny,
Kursor wyborny, gracz w wista sławny
Intrygant zręczny podszyty cnotą,
Króla i naród oddał za złoto.

Inni infułaci również nie zdołali ukryć się przed biczem satyry

Nadto skąpy dla kraju, dla kurew wspaniały,
Na oko patriota, sercem Prusak cały.
Ma niektóre przymioty, lecz te ćmi niestety
Niewdzięczność dla tej, co mu wdziała fiolety.

Za tym czterowierszem widziano otyłą sylwetkę agenta pruskiego, biskupa kujawskiego — Rybińskiego.

Każdy rozpoznawał biskupa chełmskiego, Wojciecha Skarszewskiego, zagorzałego wroga reform, karierowicza i rozpustnika, którego Targowica mianowała podkanclerzem koronnym, po Kołłątaju, czytając lub słuchając „zagadki".

Wysuszony jak stokfisz, a jak zmora blady
Za to, że na zniszczenie Warszawy dawał rady,
By ją ciężkim nałożyć koszarnym podatkiem
Udarowan trzydziestu tysiącami datkiem.

Po tych najbardziej znienawidzonym zdrajcach spośród przedstawicieli hierarchii, których łatwo było współczesnym rozpoznać w każdym z przytoczonych czterowierszy idą miernoty w infułach, mniej znane ze swej działalności politycznej.

Chociaż nie ma swego zdania, ale jest poczciwy,
Dom jego jest bawiący, dla wszystkich otwarty,
Nie tyle jest roztropny, ile uporczywy.
W którym księży żałuje, ogrywając ich w karty.

(biskup poznański — Okęski)

Porachujcież się biskupy,
Który tu z was głupi:
Kapelan niedawny
Dźwiga dom starodawny.

(biskup żmudzki — Giedroyć)

Po biskupach idą czterowiersze o wojewodach, kasztelanach i ministrach. Bohaterowie przyszłej Targowicy znaleźli się pod szczególnie ciężkim ostrzałem:

Mina z polska kozacka,
Krew go splamiła bracka
Kielich w ręce, w uściech cnota
Nie wiem za co „patriota".

Tym „patriotą" był Franciszek Ksawery Branicki, hetman wielki koronny, przywódca wszystkich odłamów staroszlacheckiego wsteczniclwa. Sam siebie nie nazywał inaczej jak „patriotą" i niemal każdą swą mowę zaczynał od wychwalania „dawnych cnót", które wg niego obecnie upadły.

Adama Łodzię Ponińskiego, awanturnika i szalbierza, podskarbiego koronnego, złodzieja grosza publicznego i „bohatera" smutnej pamięci sejmu grodzieńskiego poznawano w czterowierszu:

Dusza czarna, głowa śmiała,
Przedaż braci dyktowała
Czoło miedziane, serce pod zasłoną,
O szubienicę nań w Izbie proszono *)

Tak samo łatwo rozpoznawano Piotra Ożarowskiego, kasztelana wojnickiego, mianowanego przez Targowicę hetmanem wielkim koronnym w epigramacie:

Brodę jak kozioł nosi do góry zadartą,
Duszę dla Stackelberga zawsze ma otwartą,
Wszak się to przywiązanie jasno widzieć daje
Kiedy poseł chce siedzieć, krzesło mu podaje.

Księżna Czartoryska, generałowa ziem podolskich, zręczna intrygantka i plotkarka również została ugodzona ciosem „zagadek":

Żona niegodna, matka lada jaka
We wszystkim zmienna, lecz w zemście jednaka
W chlubną przybrana postać patriotki
Braci, ojczyznę przez swe jątrzy plotki.

Przed ostrym i zuchwałym na owe czasy słowem, skromnych często nieznanych satyryków drżeli najzamożniejsi feudałowie. Marionetki magnackie żądały w izbie sejmowej, aby „czernidła bezimiennych druków pohamowane zostały". Lecz żaden sztuczny zakaz nie mógł zakneblować ust opinii publicznej, której tak bały się kliki magnackie. Choć w 1790 roku wyszły 2 ustawy, nakazujące, aby każdy utwór, nawet czterowiersz czy dwuwiersz był podpisany nazwiskiem autora, satyra nadal ferowała wyroki na zdrajców, w myśl zasady wyrażonej we wstępie do „zagadek", „GDYŻ PRAWDĘ MÓWIĆ TRZEBA ZAWSZE ŚMIELE".

Władysław Bortnowski

*) W roku 1790 Poniński za pospolite złodziejstwa został oddany po sąd sejmowy. Posłowie patrioci domagali się wówczas kary śmierci dla zdrajcy i złodzieja. Targowica rehabilitowała Ponińskiego.

KWIRYNA KUCZMÓWNA

KOBIETY Z SĘDZIEJOWIC

BYŁA to jedna z tych rozmów, jakie często prowadzimy w drodze. Wracałam z powiatowego Łasku do Łodzi. Autobus miał defekt. Wysiedliśmy w gminnej wsi Sędziejowice. Każdy z pasażerów poszedł w swoją stronę.

Zobaczyłam sklep tekstylny GS-u. Zwabiły mnie tam podniesione głosy kobiet. Przed ladą tłok. Sprzedająca rozkłada bezradnie ręce, a tęga brunetka w ładnym pasiaku wykrzykuje:

— Do diabła z taką polityką! Nie kupujemy, bo nie potrzebujemy. Dajcie towar, a nie ubranie, to będziemy kupować...

Wcale nie bagatelna sprawa. Trudno było mi powstrzymać ciekawość. Pytam więc:

— A dlaczego na gotowe ubranie nie ma zapotrzebowania, tylko na materiał?

W sklepie zapanowała cisza. Kobiety umilkły, wyraźnie przestraszone własną odwagą. Ich oczy pytały — kto zacz? Ustaliły widać, że kobieta jak każda inna, zdecydowały więc wygarnąć całą prawdę.

— Metr cajgu kosztuje 14 złotych, każdego na trzy metry stać, a gotowe ubranie nie z cajgu i nie robocze — 160 złotych. I gotowego tutaj nie dobierzesz akuratnie. To potem trza jeszcze spruć i pasować. A po co u nas były kursy szycia? Kilkanaście bab w okolicy potrafi i chłopa ubrać od stóp do głów. Więc jak mamy pruć, a umiemy szyć to kto by nie wolał materiału? Czytaliśmy, że w Zaborowie 67 chłopów przeszło kurs weterynarii i całej gminie bydła i nierogacizny teraz pilnują. Jest z tego pożytek. A u nas baby szyją, a w sklepie — gotowe ubrania.

Teraz posypały się głosy jak z rogu obfitości.

— Ludzie kochani, chłopi wszystkiemu winni, powiadam wam, że chłopi!

— Na zimę to nam chłopy letnie chustki podarowały...

— Nic ino by te gwoździe i żelastwo sprowadzali!

— A bo taki wie czy ma chłopak co na tyłek włożyć? Daj mu koszule, gacie, skarpetki, albo onuce i już leci na zebranie do Komitetu Sklepowego.

— U nas wody nie ma, to gumiaki sprowadzili, bo im ładnie błyszczą i pasta na nie nie wychodzi, a na ten letni kurz to wiatrówek nie raczyli zamówić.

Zdumiewająca historia! Kobiety Sędziejowickie w naturalny sposób dochodzą do istotnego zapotrzebowania gromady na rozmaite towary. Doskonały materiał na członkinie Komitetów Sklepowych. Porywa mnie ta przygodna rozmowa. Rezygnuję z autobusu. Pojadę następnym, mogę zresztą wracać choćby i za kilka dni.

— A dlaczego tak się dzieje u was?

— Chłopy się rządzą bez pojęcia. Wiecie co zrobili tej wiosny? Przyszedł piękny i tani jedwab. Ale, że nie dużo, więc też uradzili każdej kobiecie po kawałku na spódnice. Tak nas juchy kochają!



Zebrane przypominają sobie to zdarzenie, wybucha wielki śmiech.

— Mój, jak zawsze strasznie ważny powiada — ano odetnijcie każdy ile trzeba dla kobiety. Ale ile trzeba — żaden nie wiedział. Więc mój znowu — kobiety przecie obejmujecie, wiecie jakie są w pasie, odetnijta i dobra. Sam droń nie wiedział, po dwudziestu latach małżeństwa jaka jestem w krzyżu. Przyniósł tyle co dla niemowlęcia.

— A mnie tyle na szerokość, że wlazłyby dwie — taki łobuz, a na długość — obraza Boska!

— A słyszałyście o Weronice Troszczyńskiej? — zapytałam niespodziewanie, wykorzystując chwilę odprężenia i ciszy.

Nie słyszały. Opowiadam więc o tej dzielnej kobiecie z Zalesia Wielkiego w krotoszyńskim powiecie. Przed laty robotnica w majątku obszarnika a dziś? Przewodnicząca Koła ZSCh w gromadze, prezes Koła Gospodyń Wiejskich, radna w GS-ie i Sołtys na Zalesiu. To ci dopiero kobieta!

Słuchały, nie bardzo się orientując co to wszystko ma wspólnego z ich losem i możliwościami.

Milczenie przerywa Grabowa — owa tęga brunetka w pasiaku.

— A nasza Klockowa to co — gorsza?

Klockowa to sprzedawczyni. Uśmiecha się łagodnie, jest zażenowana. I jej życie nie było łatwe, samotna, bez ziemi tułała się po służbach, i kułakowi oprzątała podwórze i księdzu myła garnki. Pierwsza to sklepowa w całej gminie.

— A dajta spokój, jedna Klockowa co się nadaje. Nie nasza rzecz w powiecie politykować, o towar się rozbijać. Co chłopskie było to i jest. A z babskim tak samo — nos do koryta dla świń i kury macać.

— Ta, ta... ta — przedrzeźnia mówiącą Grabowa — a spódnicy nie masz. Właśnie, że chłopy biorą się za babskie sprawy. Trza to im odebrać.

Zanosi się w Sędziejowicach na „babską rewolucję".

Kwiryna Kuczmówna

Gazetka gminna

O Salomonie, przysłowiach i mleczaku z Karwic

Czy można wierzyć, proszę gazetki, przysłowiom? Powiada przysłowie, że z próżnego i Salomon nie naleje, ale widać Salomon nie przechodził praktyki u naszego mleczarza Franka Słowikowskiego z Karwic gm. Stużno, bo nasz Słowikowski potrafi nalać i z próżnego. Ot, nalał tak młynarzowi Winiarskiemu, który nie odstawiał mleka a plan ma wykonany.

No, cóż, powiecie, zapisać nie sztuka, ale mleka będzie brakować i wszystko się wyda. He, he, nie znacie naszego Słowikowskiego, powiedzieliśmy przecież, że on Salomona w kozi róg zapędził. W tym właśnie cała rzecz, że młynarz Winiajski mleka nie odstawia a mleko jest. Nic nie brakuje. Powiecie, cud — ano na to wyglądało.

Nie tylko takie cuda zdarzyły się u nas w mleczarni. Posłuchajcie. Krowy w Karwicach są nie najlepsze, zawsze na nie narzekali w powiatowej mleczarni w Opocznie, że za chude mleko dają, urządzali nam pogadanki i odczyty, instruktorów nasyłali, no i widać kilka krów wzięło to sobie do serca, bo nagle zaczęły dawać bardzo tłuste mleko. 5 proc. tłuszczu! Możebyśmy się i nie dziwili, gdyby dziwnym trafem nie były to krowy... rodzinki Słowikowskiego.

Niektóre kobiety twierdziły, że Słowikowski to „zamawiacz" i krowy czaruje i nawet zaczęły go prosić.

— (Kochany Słowikowski, możebyście i nasze krowy „zamówili"...

Ale Słowikowski przegonił je i zwymyślał, że są ciemne i w zabobony wierzą.

A jednak, proszę gazetki, w końcu uwierzyliśmy z powrotem w mądrość przysłów, szczególnie w jedno, które mówi: „póty dzban... mleko nosi, póki się ucho nie urwie... Urwało się w końcu, że tak powiem, z wielkim trzaskiem, ucho naszemu dobremu mleczarzowi Słowikowskiemu. Cóż się okazało? Ano okazało się, że Słowikowski, to był nie tylko mleczarz ale i... chemik. Do próbek mleka swojej rodzinki dolewał śmietany, a że na podstawie próbek ustala się w powiecie procent tłuszczu a więc i cenę — to i rodzinka Słowikowskiego nieźle na tym wychodziła.

No, dobrze, powiecie, ale co z tym nalewaniem mleka z próżnego?

Tu nam pomogło drugie przysłowie: „ziarnko do ziarnka a zbierze się miarka". Na tym to przysłowiu oparł Słowikowski gmach swojej ultrasalomonowej mądrości. Po prostu ujmował każdemu z nas, odstawionego mleka po kilka kieliszeczków (a do kieliszka miał niezłą zaprawę) no i kumotrowi Winiarskiemu z tych kieliszków sztukował.

— Ale — zapytacie — jak to się stać mogło, że tak długo mleczarnia powiatowa w Opocznie mimo naszych skarg na tym się nie połapała? No bo instruktorem i... kontrolerem z ramienia mleczarni w Opocznie był nie kto inny jak kumoter Winiarski. Był on także gorącym wyznawcą, miłośnikiem i praktykiem przysłowia: „ręka rękę myje...".

Stefan Zakolec

Dzieje pewnej młocarni

Przysłowie mówi, że dla chcącego nie ma nic trudnego. Ale co zrobić, kiedy termin odstaw zboża bliski, a młocarnia przecina ziarno i psuje prawie jedną trzecią część żyta? Oczywiście młocarnię naprawić. Tak byłoby w współczesnej powieści, gdzie by autor-schematysta nadomiar obwinił o zepsucie tej maszyny miejscowych kułaków. W rzeczywistości bywa jednak inaczej, choć i bohaterowie pozytywni się znajdą. Mimo, że młocarnia w gromadzie Dęba, pow. Opoczno była zepsuta, gospodarze w terminie i w planowej wysokości zboże na skup odstawili. Teraz więc w powieści o omłotach w Dębach powinien wystąpić kułak pokazując swą zmartwioną twarz. Ale w życiu bywa inaczej. Zmartwiona jest bowiem cała wieś, gdyż jednak maszyna to dobro społeczne. Kto więc temu winien, że gospodarze zamiast korzystać z jej pomocy, musieli pracowicie wywijać cepami na klepisku, nie chcąc złamać danego słowa?

Historia tej maszyny sięga jeszcze ubiegłego roku. Wszyscy się na nią w Dębach cieszyli, bo to i pożytek wielki, trudu ubywa, a w szybkości nikt jej nie da rady. Tymczasem obsługa tej młocarni, należąca do GOM-u w Studziennej zbyt silnie dokręciła jej klepisko, a zboże do omłotów brała za wilgotne. I maszyna cięła źle. Chłopi na to nie zważali, bo byli przekonani, że tak być musi. Bo przecież maszyna jak i człowiek ma swoje wymagania. Odwieźli zboże na punkt skupu, a odbierali je ci sami pracownicy Ośrodka Maszynowego. Okazało się, że wszystko było w porządku ze zbożem w Dębach, natomiast w Studziennej już nie chcieli uznać tych popsutych ziaren. „Źle wymłócone" — powiedzieli. A przecież byli to ci, którzy przyjeżdżali do gromady i do spółdzielni produkcyjnej namawiali. I byli to ci, którzy młócili. Jak więc tłumaczyć to wszystko? Jedni z gospodarzy dębianskich twierdzili, że tak właśnie będzie w zachwalanej spółdzielni, inni zaś, rozsądniejsi, winili o to wszystko kierownika Bugzela. Ale wszyscy na ogół zrozumieli, gdzie tkwił błąd. Dlatego też w roku bieżącym większość chłopów wolała młócić cepami, czy kieratami niż tracić żyto. Ale czyż to nie wstyd dla Ośrodka Maszynowego, gdy nawet w Warszawie wiedzą o jego złej gospodarce maszynami?

Gospodarze w Dębach trudności się nie zlękli, zboże oddali, lecz GOM maszyny do tej pory nie naprawił. Nawet nie przebudził jego kierowników odgłos obijania bijakami na klepiskach Dębu. Pisarz-schematysta nazwałby taki fakt „działaniem wroga klasowego". My zaś, nie będziemy tacy srodzy, wystarczy, że wytknęliśmy błędy i wskazaliśmy na niedbalstwo! Ale liczymy, że się ono więcej nie powtórzy. Bo przecież przysłowie: „dla chcącego nic trudnego", obowiązuje także i pracowników GOM-u w Studziennej!

Jan Kionowicz

TADEUSZ GICGIER

Piosenka o gminie Kulejnoga

I

W bok od miasta — mimo drogi
długie leżą tam odłogi.

Oglądają je wciąż, mierzą —
a odłogi dalej leżą.

Zespół gminny miał nadzieję,
że się ugór sam zasieje.

Ale ugór jak to ugór —
nie poradzi nic bez pługów.

II

Oj, chmielu, chmielu, chmielu nieboże,
ktoś podchmielony śpiewa na dworze.

Oj, chmielu, chmielu, chmielu nieboże,
to jeden z radnych — pożal się, Boże!

Oj, chmielu, chmielu, chmielu nieboże,
czemu bez wódki żyć on nie może?

III

Most spróchniały wpadł do rzeki,
kiedy Marcin jechał z mlekiem.

Miał za tydzień mieć wesele —
chorzał biedak trzy niedziele.

W szkole dziury są w pułapie,
więc deszcze sobie kapie, kapie...

To na włoski, to na noski,
kapie dzieciom z owej wioski.

Kułak małorolnych łupi
i setki składa do kupy.

Ma w komorze tajną jatkę —
bije świnie w niej ukradkiem.

Kiedy on tam świnie bije —
jeden radny z drugim pije.

Nocą prześpią się gdzieś w rowie,
a od rana znów: „Na zdrowie!..."

IV

Obok Rady — w owej gminie
także GS głośno słynie.

W tym GS-ie, jak wieść niesie,
od kumotrów aż się trzęsie.

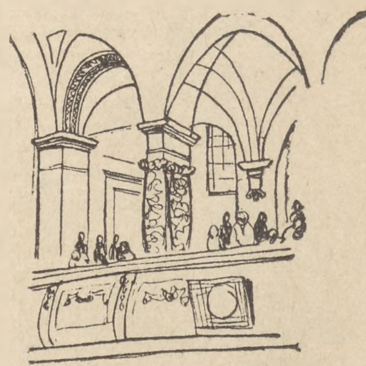
Tam kumoter kumotrowi
towar dzieli po połowie.

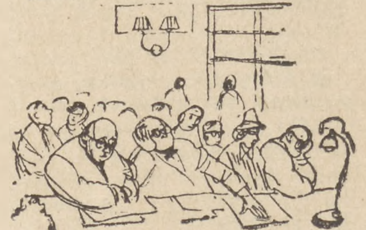
Nie dostaniesz nawet otrąb,
jeśli nie jest kum kumotrom.

Jak udzielni rządzą władcy,
lecz ich końca rychło patrzyć.

W komitywie żyją chwacko —
więc wylecą całą paczką!

Na konkursie im. Wieniawskiego







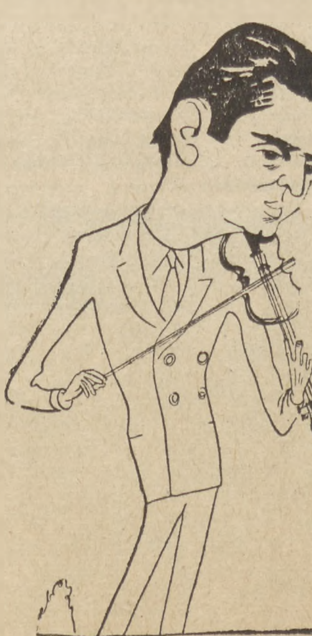
Marine Jaszwili — ZSRR



Antoni Moravec — CSR



Csaba Bokay — WĘGRY



Henryk Palulis — POLSKA

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL

Redaguje Komitet

Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 7-52-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7.
Tel.: Red. Nacz. 727-86. Tel.: Redakcji 751-80 dod. wewnętrzny 91, 63.

Warunki prenumeraty:
miesięcznie — 3 zł, kwartalnie — 9 zł, półrocznie — 18 zł, rocznie — 36 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.

RSW „PRASA", Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-26583